

CZASAMI
KŁAMIE.



W
ydawnic
ab
two

ALICE
FEENEY

ALICE
FEENEY

CZASAMI KŁAMIĘ

Przełożyła Agnieszka Walulik



Tytuł oryginału: *Sometimes I Lie*
Copyright © Alice Feeney 2017
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Walulik, MMXVII
Wydanie I
Warszawa MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Teraz. Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, grudzień 2016

Wtedy. Tydzień wcześniej – poniedziałek, 19 grudnia 2016

Teraz. Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, grudzień 2016

Wtedy. Poniedziałek, 19 grudnia 2016 – popołudnie

Teraz. Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, grudzień 2016 – wieczór

Wtedy. Poniedziałek, 19 grudnia 2016 – wieczór

Przedtem. Poniedziałek, 16 września 1991

Teraz. Wtorek, 27 grudnia 2016

Wtedy. Wtorek, 20 grudnia 2016 – rano

Przedtem. Czwartek, 24 października 1991

Wtedy. Wtorek, 20 grudnia 2016 – popołudnie

Teraz. Środa, 28 grudnia 2016 – rano

Wtedy. Wtorek, 20 grudnia 2016 – wieczór

Przedtem. Środa, 13 listopada 1991

Teraz. Środa, 28 grudnia 2016

Wtedy. Środa, 21 grudnia 2016 – rano

Przedtem. Sobota, 7 grudnia 1991

Teraz. Czwartek, 29 grudnia 2016

Wtedy. Środa, 21 grudnia 2016 – popołudnie

Przedtem. Sobota, 14 grudnia 1991

Teraz. Czwartek, 29 grudnia 2016

Wtedy. czwartek, 22 grudnia 2016 – rano

Wtedy. Czwartek, 22 grudnia 2016 – rano

[Przedtem. Niedziela Wielkanocna, 1992](#)
[Teraz. Czwartek, 29 grudnia 2016](#)
[Wtedy. Czwartek, 22 grudnia 2016 – wieczór](#)
[Przedtem. Środa, 14 października 1992](#)
[Teraz. Piątek, 30 grudnia 2016](#)
[Wtedy. Piątek, 23 grudnia 2016 – rano](#)
[Przedtem. Piątek, 30 października 1992](#)
[Teraz. Piątek, 30 grudnia 2016](#)
[Wtedy. Piątek, 23 grudnia 2016 – popołudnie](#)
[Przedtem. Piątek, 11 grudnia 1992](#)
[Teraz. Piątek, 30 grudnia 2016](#)
[Wtedy. Piątek, 23 grudnia 2016 – późne popołudnie](#)
[Wtedy. Piątek, 23 grudnia 2016 – wczesny wieczór](#)
[Przedtem. Wtorek, 15 grudnia 1992](#)
[Teraz. Sylwester 2016](#)
[Wtedy. Piątek, 23 grudnia 2016 – wieczór](#)
[Przedtem. Piątek, 18 grudnia 1992](#)
[Teraz. Sylwester 2016](#)
[Wtedy. Wigilia 2016 – rano](#)
[Wtedy. Wigilia 2016 – pora lunchu](#)
[Przedtem. Sobota, 19 grudnia 1992](#)
[Teraz. Sylwester 2016](#)
[Wtedy. Wigilia 2016 – popołudnie](#)
[Przedtem. Poniedziałek, 21 grudnia 1992](#)
[Teraz. Sylwester 2016](#)
[Wtedy. Wigilia 2016](#)
[Przedtem. Wigilia 1992](#)

[Wtedy. Wigilia 2016](#)

[Teraz. Sylwester 2016](#)

[Teraz. Sylwester 2016](#)

[Wtedy. Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016](#)

[Wtedy. Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – popołudnie](#)

[Przedtem. Czwartek, 7 stycznia 1993](#)

[Teraz. Poniedziałek, 2 stycznia 2017](#)

[Wtedy. Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – wczesny wieczór](#)

[Teraz. Wtorek, 3 stycznia 2017](#)

[Wtedy. Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – wieczór](#)

[Teraz. Wtorek, 3 stycznia 2017](#)

[Przedtem. Niedziela, 14 lutego 1993](#)

[Wtedy. Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – późny wieczór](#)

[Teraz. Wtorek, 3 stycznia 2017](#)

[Potem. Sześć tygodni później, 15 lutego 2017](#)

[Potem. Środa, 15 lutego 2017 – czwarta rano](#)

[Później. Wiosna 2017](#)

[Od autorki](#)

Dla mojego Daniela. I dla niej

Nazywam się Amber Reynolds. Są trzy rzeczy, które powinniście o mnie wiedzieć:

1. Jestem w śpiączce.
2. Mój mąż już mnie nie kocha.
3. Czasami kłamię.

Teraz
Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, grudzień 2016

Zawsze lubiłam moment zawieszenia między snem a jawą. Te kilka cennych ułamków sekund, zanim otworzy się oczy, kiedy człowiek przyłapuje się na wierze, że jego sny mogą być rzeczywistością. Chwila niezwyklej przyjemności albo bólu, nim zmysły na powrót dojdą do głosu i poinformują cię, kim, czym i gdzie jesteś. Teraz jednak, jeszcze przez sekundkę, rozkoszuję się złudzeniem, które pozwala mi sobie wyobrazić, że mogę być kimkolwiek, gdziekolwiek, mogę być kochana.

Czuję na powiekach światło i zwracam uwagę na platynową obrączkę na palcu. Wydaje się cięższa niż zwykle, jakby jej waga ściągała mnie do ziemi. Moje ciało jest przykryte prześcieradłem; pachnie obco i zastanawiam się, czy przypadkiem nie jestem w hotelu. Ulatnia się wszelka pamięć o tym, o czym śniłam. Próbuję ją pochwycić, usiłuję być kimś, kim nie jestem, i pozostać gdzieś, gdzie mnie nie ma, ale nie mogę. Nadal jestem tylko sobą i tylko tutaj, gdzie – wiem to już teraz – wcale nie pragnę być. Bolać mnie ręce i nogi i jestem tak straszliwie zmęczona, nie chce mi się uchylać powiek, aż przypominam sobie, że i tak nie mogę tego zrobić.

Niczym podmuch lodowatego powietrza ogarnia mnie panika. Nie mogę sobie przypomnieć, co to za miejsce i jak się tu dostałam, ale przynajmniej wiem, kim jestem. *Nazywam się Amber Reynolds. Mam trzydzieści pięć lat. Moim mężem jest Paul.* Powtarzam sobie w głowie te trzy fakty, trzymam się ich kurczowo, jakby mogły mnie ocalić, lecz mimo to pamiętam, że czegoś w tej historii brakuje, ktoś wyrwał ostatnie kartki. Gdy już uzupełniam w miarę możliwości wspomnienia, na powrót je zagrzebuję, aż cichną w mojej głowie na tyle, bym znowu mogła myśleć, czuć, próbować doszukać się w tym jakiegoś sensu. Jedno wspomnienie odmawia jednak posłuszeństwa, uparcie próbuje wydostać się na powierzchnię, ale nie chce dać mu wiary.

Do mojej świadomości przebija się odgłos jakiejś aparatury, wykradając mi ostatnie strzępy nadziei i pozostawiając tylko niechcianą pewność, że znajduję się w szpitalu. Sterylny smród tego miejsca sprawia, że mam ochotę wymiotować. Nienawidzę szpitali. To domy śmierci i spóźnionego żalu, nigdy dobrowolnie bym do żadnego nie weszła, nie mówiąc już o pobycie.

Przedtem byli tu jacyś ludzie, obcy, teraz to pamiętam. Posługiwali się słowem, którego postanowiłam nie słyszeć. Przypominam sobie zamieszanie, podniesione głosy i strach, nie tylko mój własny. Wysilałam się, by przywołać coś jeszcze, ale umysł mnie zawodzi. Stało się coś bardzo złego, tylko nie wiem co ani kiedy.

Czemu go tu nie ma?

Czasem niebezpiecznie jest zadawać pytanie, kiedy zna się już odpowiedź.

On mnie nie kocha.

Zaznaczam sobie tę myśl.

Słyszę otwierane drzwi. Dźwięk kroków, a potem wraca cisza, ale nie idealna, już nie tak czysta. Wyczuwam stęchły odór papierosów, z prawej strony słyszę długopis drapiący po papierze. Ktoś po mojej lewej odkasłuje i dopiero teraz zdaję sobie sprawę,

że w pokoju są dwie osoby. Obcy ludzie w ciemnościach. Jest mi zimniej niż przedtem i czuję się straszliwie mała. Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona.

Chciałabym, żeby ktoś coś powiedział.

– Kto to? – pyta kobiecy głos.

– Nie mam pojęcia. Biedaczka, co za tragedia – odpowiada druga kobieta.

Żałuję, że w ogóle się odezwały. Zaczynam krzyczeć.

Nazywam się Amber Reynolds! Jestem prezenterką radiową! Dlaczego nie wiecie, kim jestem?

Raz za razem wykrzykuję te same słowa, ale kobiety nie zwracają na to uwagi, bo na zewnątrz milczę. Na zewnątrz jestem nikim i nie mam imienia.

Chcę zobaczyć tę siebie, którą widzą one. Chcę usiąść, wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Chcę znowu coś poczuć. Cokolwiek. Kogokolwiek. Chcę zadać tysiące pytań. Wydaje mi się nawet, że chcę poznać na nie odpowiedzi. Kobiety znowu posłużyły się tym słowem, co wcześniej, tym, którego nie chcę słyszeć.

Wychodzą, zamykając za sobą drzwi, ale słowo pozostaje i jestem z nim sam na sam, nie mogę go już ignorować. Nie mogę otworzyć oczu. Nie mogę się poruszyć. Nie mogę się odezwać. Słowo wypływa jak bańka powietrza, pęka w zetknięciu z powierzchnią i wiem, że jest prawdziwe.

Śpiączka.

Wtedy

Tydzień wcześniej – poniedziałek, 19 grudnia 2016

W mroku wczesnego poranka skradam się na dół, ostrożnie, żeby nie zbudzić męża. Wszystko leży na swoim miejscu, a mimo to jestem przekonana, że o czymś zapomniałam. Naciągam gruby płaszcz, żeby uchronić się przed zimnem, i przechodzę przez kuchnię, rozpoczynając codzienny rytuał. Zaczynam od tylnych drzwi: raz za razem przekręcam klamkę, póki nie mam pewności, że są zamknięte.

W górę, w dół. W górę, w dół. W górę, w dół.

Potem staję przed dużą kuchenką i uginam ramiona w łokciach, jakbym przymierzała się do dyrygowania imponującą orkiestrą gazowych palników. Moje dłonie układają się w znajomy kształt; wskazujące i środkowe palce obu rąk odnajdują kciuki. Szepczę do siebie cicho, jednocześnie patrząc uważnie, czy wszystkie pokrętła i przyciski są wyłączone. Sprawdzam wszystko trzy razy, moje paznokcie wystukują coś w alfabecie Morse'a, który ja jedna potrafię odszyfrować. Kiedy się upewniam, że wszystko jest zabezpieczone i na swoim miejscu, wychodzę z kuchni. W drzwiach przystaję na chwilę, by sprawdzić, czy dziś jest jeden z tych dni, kiedy muszę wrócić i zacząć wszystko od początku. Ale nie.

Skradam się po trzeszczącej podłodze korytarza, biorę swoją torebkę i sprawdzam zawartość. Telefon. Portfel. Klucze. Zamykam, otwieram, sprawdzam jeszcze raz. Telefon. Portfel. Klucze. W drodze do drzwi powtarzam wszystko po raz trzeci. Zatrzymuję się na sekundę i patrzę wstrząśnięta na kobietę w lustrze, która tak samo wpatruje się we mnie. Mam twarz, która kiedyś mogła być ładna, ale teraz ledwo ją poznaję. Mieszana paleta jasnych i ciemnych kolorów. Długie czarne rzęsy ocieniają duże zielone oczy. Nad nimi są gęste brązowe brwi, a poniżej zadomowiły się smutne cienie. Moja skóra jest niczym blade płótno naciągnięte na kościach policzkowych. Włosy mam w ciemnym odcieniu brązu wpadającym niemal w czerń. Proste, oklapłe pasma zwieszają się na ramiona, bo nic innego im nie zostało. Przeczesałam je szorstko palcami i ściągam w kucyk, związuję gumką z nadgarstka, by nie spadały mi na twarz. Rozchyłam usta, jakbym chciała coś powiedzieć, lecz wydobywa się z nich tylko powietrze. Z lustra patrzy na mnie twarz gotowa do radia.

Przypominam sobie, która godzina, i upominam się, że pociąg nie będzie na mnie czekać. Nie pożegnałam się – cóż, chyba jakoś to przeżyjemy. Wyłączam światło i wychodzę z domu, sprawdzając trzykrotnie, czy zamknęłam drzwi, po czym ruszam ścieżką przez oświetlony poświatą ogród.

Pora jest wczesna, ale i tak jestem spóźniona. Madeline na pewno siedzi już w biurze, wszystkie gazety zostały przeczytane i splądrowane w poszukiwaniu dobrych tematów. Producentki przeglądają papierowe truchła, a ona sarka i domaga się najlepszych wywiadów do dzisiejszego programu. Taksówki są już w drodze, by odebrać i wyrzucić z siebie nadmiernie podekscytowanych, za to niedostatecznie przygotowanych gości. Każdy poranek jest inny, a jednak wszystko to stało się całkowitą rutyną. Dołączyłam do zespołu *Porannej kawy* pół roku temu, ale nic nie

toczy się zgodnie z planem. Mogłoby się wydawać, że mam wysnioną pracę, tylko że czasem przecież śnią nam się koszmary.

Robię krótki przystanek w lobby, by kupić kawę dla siebie i koleżanki, po czym wspinam się po kamiennych schodach na piąte piętro. Nie lubię wind. Przyklejam do twarzy uśmiech i w końcu wkraczam do biura, myśląc, że to właśnie wychodzi mi najlepiej: zmieniam się tak, by dopasować do potrzeb otaczających mnie ludzi. Mogę być „przyjaciółką Amber” albo „żoną Amber”, ale w tej chwili jestem „Amber z radia”. Potrafię zagrać każdą rolę, w której obsadziło mnie życie. Znam wszystkie kwestie; bardzo długo je ćwiczyłam.

Słońce dopiero co wstało, ale tak jak się spodziewałam, mały, złożony w większości z kobiet zespół jest już na miejscu. Trzy młode i pełne entuzjazmu producentki, napędzane kofeiną i ambicją, siedzą pochylone przy biurkach. Otoczone stertami książek, starymi scenariuszami i pustymi kubkami, stukają w klawiatury, jakby od tego zależało ich życie. W przeciwległym kącie widzę światło lampy w prywatnym gabinecie Madeline. Siadam przy swoim biurku i włączam komputer, odwzajemniając serdeczne uśmiechy i pozdrowienia. Ludzie to nie lustra, nie widzą cię tak, jak ty sam siebie postrzegasz.

Madeline zwolniła w tym roku już trzy asystentki. Nikt nie jest w stanie przetrwać na tym stanowisku. Ja nie chcę własnego biura i nie potrzebuję asystentki, wolę siedzieć tu ze wszystkimi. Miejsce obok mnie jest puste. O tej porze Jo powinna już tu być i martwię się, że może coś się stało. Spuszczam wzrok na stygnącą kawę, którą dla niej kupiłam, i zmuszam się, by zabrać ją do gabinetu Madeline. Niech to będzie gałązka oliwna.

Przystaję w drzwiach niczym wampir, którego trzeba zaprosić do środka. Gabinet jest załóżnie mały, to zwyczajnie zaadaptowany schowek – Madeline nie zgadza się siedzieć z resztą zespołu. Każdy skrawek ścian pokrywają oprawione zdjęcia, na których pozuje ona z różnymi sławami, a za biurkiem znajduje się mała półka z nagrodami. Madeline nie podnosi głowy. Patrzą na jej brzydkie krótkie włosy z siwymi odrostami wyglądającymi spod czarnej strzechy. Liczne podbródki układają się jeden na drugim, a resztę pofałdowanego ciała litościwie skrywają czarne, workowate ubrania. Lampa na biurku rzuca światło na klawiaturę, nad którą zawisły przyozdobione pierścieniami palce. Wiem, że Madeline mnie widzi.

– Pomyślałam, że ci się przyda – mówię, rozczarowana prostotą tych słów, kiedy tak długo musiałam ich szukać.

– Postaw na biurku – odpowiada Madeline, nie odrywając oczu od ekranu.

Nie ma za co.

W kącie ciężko pracuje mały wiatrakowy grzejnik i czuję, jak po nogach pnie mi się pachnące lekko spalenizną ciepełko, które nie pozwala mi odejść. Przyłapuję się na tym, że gapię się na brodawkę na policzku Madeline. Czasem tak mam; moje oczy skupiają się na jakiejś niedoskonałości, jakbym na chwilę zapomniała, że dana osoba wie, że patrzę na coś, co wolałaby ukryć.

– Jak weekend? – pytam w końcu.

– Nie jestem jeszcze gotowa na rozmowy – mówi Madeline.

Zostawiam ją samą.

Z powrotem przy biurku przeglądam stertę przesyłek, które zbierały mi się od piątku; kilka tragicznie zapowiadających się powieści, których nigdy nie przeczytam, trochę listów od wielbicieli i zaproszenie na imprezę charytatywną, które przyciąga moją uwagę. Sączę kawę, marząc o tym, co mogłabym włożyć i kogo ze sobą zabrać, gdybym poszła. Naprawdę powinnam się bardziej angażować w działalność dobroczynną, po prostu jakoś nigdy nie starcza mi czasu. Madeline jest nie tylko głosem *Porannej kawy*, ale też twarzą Kryzysowego Dziecka. Zawsze mnie dziwiło, że współpracuje z największą krajową organizacją charytatywną dla dzieci, bo przecież ona ich nienawidzi i żadnych nie ma. Nigdy nawet nie wyszła za mąż. Jest całkiem sama, ale nigdy samotna.

Posortowawszy pocztę, czytam brief do dzisiejszego programu. Zawsze dobrze liznąć wcześniej trochę kontekstu. Nie mogę znaleźć swojego czerwonego długopisu, więc idę do szafki z artykułami biurowymi.

Ktoś uzupełnił zapasy.

Oglądam się przez ramię, a potem patrzę z powrotem na półki pełne schludnie ułożonych rzeczy. Łapię garść samoprzylepnych karteczek i czerwone długopisy, które wpycham do kieszeni. Wybieram wszystkie, aż pudełko zostaje puste. Pozostałych kolorów nie ruszam. Żadna z producentek nawet nie podnosi wzroku, kiedy wracam do biurka; nie widzą, jak chowam wszystko do szuflady i zamykam ją na klucz.

Kiedy już zaczynam się martwić, że moja jedyna koleżanka dziś nie przyjdzie, Jo wchodzi do biura i uśmiecha się do mnie. Ubrana jest tak samo jak zawsze, w niebieskie dżinsy i białą koszulkę, jakby wciąż tkwiła w latach dziewięćdziesiątych. Jej botki, których rzekomo nienawidzi, mają wytarte obcasy, a jasne włosy są wilgotne od deszczu. Siada przy sąsiednim biurku, naprzeciwko pozostałych producentek.

– Przepraszam za spóźnienie – szepcze.

Nikt poza mną nie zwraca na nią uwagi.

Jako ostatni, jak zwykle, pojawia się Matthew, wydawca programu. Jego spodnie rurki pękają w szwach – Matthew nosi je nisko na biodrach, żeby nie uciskały wydatnego brzuszka. Są trochę przykrótkie na jego długie nogi i odsłaniają kolorowe skarpetki wystające z lśniących brązowych butów. Matthew kieruje się prosto do swojego schludnego biurka pod oknem, z nikim się nie witając. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego zespół składający się z samych kobiet i produkujący program kobiecy jest zarządzany przez mężczyznę. No, ale z drugiej strony to Matthew zaryzykował i dał mi szansę, kiedy moja poprzedniczka niespodziewanie odeszła z pracy, więc chyba nie powinnam się skarżyć.

– Matthew, skoro już raczyłeś się pokazać, możesz do mnie zajrzeć? – pyta Madeline z drugiej strony redakcji.

– A on już myślał, że ten poranek nie może być gorszy – szepcze Jo. – Nadal jesteśmy umówione na drinka po pracy?

Kiwam głową, czując ulgę, że Jo nie zamierza znowu zniknąć zaraz po programie.

Patrzemy, jak Matthew łapie swoje notatki i pędzi do gabinetu Madeline. Poły jego ekstrawaganckiego płaszcz powiewają za nim, jakby chciały go unieść w powietrze. Kilka chwil później Matthew wyłania się na powrót z zagniewaną miną, czerwony na policzkach i zmieszany.

– Lepiej chodźmy do studia – mówi Jo, wrywając mnie z zamyślenia.

Słusznie, w końcu za dziesięć minut wchodzimy na antenę.

– Sprawdzę, czy Jej Królewska Mość jest gotowa – odpowiadam, z przyjemnością widząc, że skłoniłam Jo do uśmiechu.

Matthew unosi zadbaną brew i rzuca mi spojrzenie. Nie powinnam była mówić tego na głos.

Zegar odlicza ostatnie minuty do pełnej godziny i wszyscy przygotowują się do programu. Razem z Madeline idziemy do studia i zajmujemy zwykle miejsca na zaciemnionej scenie. Jo i reszta producentek obserwują nas przez ogromną szybę z bezpiecznych wyżyn galerii, jakbyśmy były zwierzętami z różnych gatunków, omyłkowo zamkniętymi na tym samym wybiegu. Na galerii jest jasno i głośno, pełno tam różnokolorowych guzików, które wydają się straszliwie skomplikowane, biorąc pod uwagę, jak proste jest w sumie to, co robimy: rozmawiamy z ludźmi i udajemy, że sprawia nam to przyjemność. W samym studiu z kolei panuje ciemność i niezręczna cisza. Stoją tu tylko stół, kilka krzeseł i dwa mikrofony. Madeline i ja siadamy bez słowa w półmroku, ignorując się nawzajem i czekając, aż zapali się czerwona lampka informująca o rozpoczęciu transmisji i będziemy mogły zacząć pierwszą część programu.

– Dzień dobry, zapraszamy na poniedziałkowe wydanie audycji *Poranna kawa*, przy mikrofonie Madeline Frost. Za chwilę dołączy do nas bestsellerowa autorka E.B. Knight, ale najpierw pomówimy o rosnącej liczbie kobiet będących głównymi żywicielkami rodziny. W rozmowach ze słuchaczami poruszymy temat wymyślonych przyjaciół. Czy mieliście ich w dzieciństwie? Może nadal macie...? Zadzwońcie do nas.

Znajome brzmienie jej radiowego głosu uspokaja mnie i przełączam się na autopilota, czekając na swoją kolej, by coś powiedzieć. Zastanawiam się, czy Paul już wstał. Ostatnio nie jest sobą; przesiaduje do późna w ogrodowej komórce, którą przerobił na gabinet do pisania, i kładzie się spać tuż przed tym, jak ja wstaję z łóżka, albo w ogóle nie śpi. Mówi na tę komórkę „chatka”. Ja wolę nazywać rzeczy po imieniu.

Spędziliśmy kiedyś wieczór z E.B. Knight. To było zaraz po sukcesie debiutanckiej powieści Paula. Ponad pięć lat temu, niedługo po tym, jak się poznaliśmy. Wtedy byłam reporterką telewizyjną. Wiadomości lokalne, nic specjalnego. Ale widok siebie na ekranie zmusza człowieka do dbania o wygląd. W tamtych czasach byłam szczupłą, nie umiałam gotować; przed Paulem nie miałam dla kogo tego robić, a rzadko chciało mi się wysilać dla siebie samej. Poza tym byłam zbyt zajęta pracą. Przeważnie przygotowywałam materiały o wybojach na drodze albo kradzieży cyny z kościelnego dachu, aż któregoś dnia wtrąciło się przeznaczenie. Nasza specjalistka od show-biznesu zachorowała i posłano mnie w zastępstwie, żebym zrobiła wywiad z jakąś nową gwiazdą literacką. Nawet nie przeczytałam jego powieści. Miałam kaca i wcale mi się nie podobało, że muszę odwalać cudzą robotę, ale wszystko się zmieniło, kiedy do pokoju wszedł Paul.

Jego wydawca wynajął do tego wywiadu apartament w Ritzu. Pomieszczenie sprawiało wrażenie sceny, a ja czułam się jak aktorka, która nie nauczyła się kwestii. Pamiętam, że strasznie się denerwowałam, lecz kiedy Paul usiadł naprzeciwko mnie,

zdałam sobie sprawę, że jest jeszcze bardziej stremowany. To był jego pierwszy wywiad dla telewizji i jakimś cudem udało mi się rozluźnić atmosferę. Po programie poprosił mnie o wizytówkę; nie sądziłam, że coś się za tym kryje, ale kamerzysta przez całą drogę do samochodu z lubością komentował „chemię” między nami. Gdy Paul zadzwonił do mnie wieczorem, czułam się jak pensjonarka. Rozmawialiśmy zupełnie swobodnie, jakbyśmy się znali od dawna. Powiedział, że za tydzień musi iść na jakieś rozdanie nagród i nie ma kogo zabrać. Zastanawiał się, czy jestem wolna. Owszem, byłam. Podczas ceremonii siedzieliśmy przy jednym stole z E.B. Knight; to prawie tak, jakbyśmy jedli kolację z legendą – bardzo pamiętna pierwsza randka. E.B. Knight była czarująca, bystra i dowcipna. Odkąd usłyszałam, że zaproszono ją do programu, cieszyłam się na kolejne spotkanie.

– Miło panią widzieć – mówię, kiedy producentka wprowadza ją do studia.

– Ja też się cieszę, że mogę panią poznać – odpowiada, zajmując miejsce.

W ogóle mnie nie poznała; jak łatwo mnie zapomnieć.

Drobną twarz osiemdziesięcioletniej pisarki okalają białe włosy obcięte na pazia – jej znak rozpoznawczy. Cała wygląda nieskazitelnie, nawet zmarszczki równo jej się układają. Sprawia wrażenie łagodności, ale umysł ma bystry i żywy. Jej policzki pociągnięte są różem, a błękitne oczy lśnią mądrze i czujnie, strzelają po studiu, aż wreszcie odnajdują swój cel. E.B. Knight uśmiecha się serdecznie do Madeline, jakby patrzyła na jakąś bohaterkę. Goście czasem tak mają. W sumie mi to nie przeszkadza.

Po programie idziemy wszyscy do sali konferencyjnej na omówienie. Siadamy, czekając na Madeline. Kiedy wreszcie się zjawia, w pokoju zalega cisza. Matthew zaczyna omawiać kolejne segmenty, co się udało, co nie poszło za dobrze. Madeline nie wygląda na zadowoloną, jej usta układają się w taki wyraz, jakby usiłowała rozwinąć cukierek tyłkiem. Reszta siedzi cicho, a ja znowu zacynam błędzić myślami.

Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma.

Madeline wtrąca coś ze skwaszoną miną.

Jaka tajemnica twa?

Cmoka i przewraca oczami.

Leć wysoko w niebo, leć.

Kiedy kończą jej się niewerbalne sposoby wyrażenia krytyki, wszyscy wstają i zaczynają się rozchodzić.

Jak diament jasno świeć.

– Amber, mogę cię prosić na słówko? – pyta Matthew, przywołując mnie z powrotem na ziemię. Sądząc po jego tonie, nie mam wyboru. Matthew zamyka drzwi, a ja znowu siadam, próbując wyczytać z jego twarzy, o co może chodzić. Jak zwykle jednak jej wyraz jest nieprzenikniony, pozbawiony wszelkich emocji; gdyby umarła mu matka, człowiek nawet by się nie zorientował. Matthew bierze herbatnik z talerza, który wystawiamy dla gości, i gestem zaprasza, żebym się poczęstowała. Kręcę odmownie głową. Matthew nigdy się nie spieszy, kiedy ma do powiedzenia coś trudnego. Próbuje się do mnie uśmiechnąć, ale wkrótce męczy się tym i w zamian odgryza kawałek ciastka. Kilka okruchów przykleja się do cienkich warg, które otwierają się i zamykają jak u złotej rybki, kiedy Matthew usiłuje znaleźć właściwe słowa.

– Mógłbym zacząć od gadania o pierdołach, spytać, jak leci, udawać, że mnie to obchodzi, ale wolę przejść prosto do rzeczy – zaczyna wreszcie.

Żołądek ściska mi się ze strachu.

– Słucham – mówię, ale wcale nie chcę tego słuchać.

– Jak ci się układa z Madeline? – pyta, odgryzając kolejny kęs.

– Tak jak zawsze, ona mnie nie znosi – odpowiadam bez zastanowienia. Teraz moja kolej na fałszywy uśmiech i przywdziewam go, nie odrywając metki, żebym mogła go potem zwrócić.

– Owszem, i w tym cały kłopot – mówi Matthew. Nie powinno mnie to dziwić, ale mimo wszystko dziwi. – Wiem, że nie ułatwiała ci życia, kiedy dołączyłaś do zespołu, ale jej też nie było łatwo się do ciebie przyzwyczaić. A sytuacja między wami się nie poprawia. Może ci się wydaje, że słuchacze tego nie wyczuwają, ale jest inaczej. To naprawdę ważne dla programu i dla reszty zespołu, żebyście się dogadywały. – Matthew wbija we mnie wzrok, czekając na odpowiedź, której nie umiem udzielić. – Myślisz, że mogłabyś popracować nad waszymi relacjami?

– No, mogę spróbować...

– Świetnie. Aż do dzisiaj nie miałem pojęcia, jak bardzo nie podoba jej się ta sytuacja. Postawiła mi swego rodzaju ultimatum. – Matthew przerywa i odchrząkuje, po czym kończy: – Ona chce, żebym cię kimś zastąpił.

Czekam na ciąg dalszy, który nie nadchodzi. Słowa wiszą między nami, podczas gdy ja próbuję je zrozumieć.

– Czy to znaczy, że mnie zwalniasz?

– Skąd! – zaprzecza Matthew, ale jego twarz mówi co innego. Zastanawia się, co powiedzieć. Jego dłonie stykają się czubkami palców przy piersiach, wyglądają jak kościelna iglica albo jakby modlił się niedbale. – No, w każdym razie jeszcze nie. Daję ci czas do Nowego Roku, żebyś nad tym popracowała. Przykro mi, że muszę ci to mówić przed samymi świętami.

Jakby z wysiłkiem rozkłada skrzyżowane długie nogi i odsuwa się ode mnie najdalej, jak pozwala mu na to krzesło. Jego usta wykrzywają się dziwnie, jakby w oczekiwaniu na moją odpowiedź poczuł jakiś bardzo nieprzyjemny smak. Nie wiem, co mam powiedzieć. Czasem wydaje mi się, że lepiej nic nie mówić, bo nie da się przekręcić cytatu z ciszy.

– Jesteś świetna i wszyscy za tobą przepadamy – dodaje Matthew – ale rozum: to Madeline jest osiłą *Porannej kawy*, prowadzi ten program od dwudziestu lat. Przykro mi, lecz jeśli będę musiał między wami wybierać, to mogę podjąć tylko jedną decyzję.

Teraz

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, grudzień 2016

Próbuję wyobrazić sobie otoczenie. Nie leżę na oddziale, za cicho na to. Nie jestem też w kostnicy; czuję swój oddech, lekki ból w piersiach za każdym razem, kiedy płuca z wysiłkiem napełniają się powietrzem. Jedyne, co słyszę, to stłumiony dźwięk jakiegoś pikającego w pobliżu urządzenia. Przynosi mi on dziwną pociechę: mój jedyny towarzysz w niewidzialnym wszechświecie. Zaczynam liczyć piknięcia, kolekcjonuję je w głowie, bojąc się, że ucichną, i nie wiedząc, co by to oznaczało.

Wreszcie dochodzę do wniosku, że leżę w prywatnym pokoju. Wyobrażam sobie siebie zamkniętą w szpitalnej celi, czas ścieka wolno po czterech ścianach, zbierając się w kałużę brudnej brei, która kiedyś wreszcie mnie zatopi. Jednak do tego czasu będę przebywać w tej nieskończonej przestrzeni, w której złudzenie splata się z rzeczywistością. Chwilowo nic więcej nie robię, tylko istnieję i czekam, choć nie wiem, na co. Przywrócono mi ustawienia fabryczne – nie tyle funkcjonuję, ile zwyczajnie sobie jestem. Poza niewidzialnymi murami życie toczy się dalej, ale ja tkwię nieruchomo, milcząca i zamknięta w sobie.

Ból fizyczny jest rzeczywisty i domaga się, bym go czuła. Zastanawiam się, jak ciężkie odniosłam obrażenia. Moją czaszkę ściska coś przypominającego imadło, co pulsuje w rytm mojego serca. Zaczynam ewaluować swoje ciało od stóp do głów, na próżno próbując postawić jakąś diagnozę. Coś nie pozwala mi zamknąć ust, czuję jakiś przedmiot zaklinowany między wargami i zębami, wpychający się po języku do gardła. Moje ciało wydaje się dziwnie nieznajome, jakby należało do kogoś innego, ale wszystko jest na miejscu, aż po czubki palców u stóp. Czuję wszystkie dziesięć – co za ulga. Jestem tu cała, duszą i ciałem, po prostu ktoś musi mnie na powrót uruchomić.

Zastanawiam się, jak wyglądam, czy ktoś uczesał mi włosy i umył twarz. Nie jestem próżna i zawsze wołałam, by mnie słyszano, lecz nie widziano, a najlepiej, żeby w ogóle nie zwracano na mnie uwagi. Nie jestem nikim wyjątkowym, nie tak jak ona. Już raczej zwykłym cieniem. Małą smużką brudu.

Czuję przerażenie, ale jakiś pierwotny instynkt mówi mi, że z tego wyjdę. Dam sobie radę, bo muszę dać. Zawsze daję.

Słyszę odgłos otwieranych drzwi i zbliżających się do łóżka kroków. Widzę przez zamknięte powieki jakieś ruchome cienie. Dwa. Wyczuwam tanie perfumy i sprej do włosów. Cienie rozmawiają, ale nie rozróżniam do końca słów, jeszcze nie. Na razie to tylko hałas, jak zagraniczny film bez napisów. Jedna z postaci wyjmuję spod prześcieradła moje lewe ramię. To dziwne uczucie, jak kiedy w dzieciństwie człowiek udaje, że ma bezwładne kończyny. Wzdrygam się wewnętrznie, czując na skórze kobiece palce. Nie lubię być dotykana przez obcych. W ogóle nie lubię być dotykana przez nikogo, nawet przez niego, już nie.

Kobieta owija coś wokół górnej części mojego ramienia i dochodzę do wniosku, że to opaska uciskowa, bo się zaciska. Kobieta łagodnie odkłada moją rękę i przechodzi na drugą stronę. Druga pielęgniarka – bo zakładam, że to pielęgniarki – staje w nogach

łóżka. Słyszę szelest papieru dotykanego przez docieklive palce i wyobrażam sobie, że kobieta czyta książkę albo moją szpitalną dokumentację. Dźwięki się wyostają.

– Ta jest ostatnia, potem możesz się zbierać. Co jej się stało? – pyta ta bliżej mnie.

– Przywieźli ją wczoraj wieczorem. Jakiś wypadek – odpowiada ta druga, przemieszczając się po pokoju. – Wpuśćmy tu trochę światła, dobrze? Może nie będzie tak ponuro.

Słyszę chrzęst z trudem przesuwanych zasłon i spowija mnie nieco jaśniejszy odcień mroku. Potem nagle coś ostrego wbija mi się bez ostrzeżenia w ramię. To dziwne uczucie i pod wpływem bólu wycofuję się do środka. Pod moją skórą rozchodzi się coś chłodnego, wkrada się w moje ciało, aż staje się częścią mnie. Głosy pielęgniarek przywołują mnie z powrotem.

– Zadzwonili do rodziny? – pyta ta, która wydaje się starsza.

– Ma męża. Próbowali się do niego dodzwonić, ale od razu włączała się sekretarka – odpowiada ta druga. – Można by pomyśleć, że zauważy nieobecność żony w Boże Narodzenie.

Boże Narodzenie.

Szukam w swojej bibliotece wspomnień, ale zbyt wiele półek świeci w niej pustkami. Nie pamiętam nic ze świąt. Zazwyczaj spędzamy je z moją rodziną.

Czemu nikogo przy mnie nie ma?

Zauważam, że bardzo zaschło mi w ustach, i czuję smak zakrzepłej krwi. Dałabym wszystko za odrobinę wody i zastanawiam się, jak zwrócić na siebie uwagę pielęgniarek. Skupiam się cała na ustach, na ułożeniu ich w jakiś kształt i zrobieniu choćby najmniejszej wyrwy w ogłuszającej ciszy, ale wszystko zawodzi. Jestem duchem uwięzionym w sobie samej.

– No dobrze, to ja już idę, skoro nic się nie dzieje.

– Na razie, pozdrów Jeffa.

Drzwi otwierają się i gdzieś daleko słyszę radio. Do moich uszu dobiega dźwięk znajomego głosu.

– Tak przy okazji, ona pracuje w *Porannej kawie*. Kiedy ją przynieśli, znaleźli w jej torbie przepustkę z pracy – mówi ta, która wychodzi.

– Naprawdę? Nigdy o niej nie słyszałam.

Ale ja słyszę ciebie!

Drzwi się zatrząskują, cisza powraca i nagle znikam, już mnie tam nie ma, krzyczę bezgłośnie w ciemność, która mnie połknęła.

Co się ze mną stało?!

Mimo tego wewnętrznego krzyku na zewnątrz jestem pozbawiona głosu i idealnie spokojna. W prawdziwym życiu płacą mi za mówienie w radiu, ale teraz mnie uciszono, teraz jestem niczym. Ciemność ubija moje myśli, aż wreszcie dźwięk ponownie otwieranych drzwi sprawia, że wszystko staje. Domyślam się, że to druga pielęgniarka zbiera się do wyjścia, i chcę krzyknąć, błagać, by została, wyjaśnić, że po prostu zgubiłam się nieco w króliczej norze i potrzebuję pomocy, żeby odnaleźć drogę powrotną. Ale ona nie wychodzi. To ktoś inny wszedł do pokoju. Czuję jego zapach, słyszę jego płacz i wyczuwam jego szok na mój widok.

– Tak cię przepraszam, Amber. Już jestem przy tobie.

Chwyta mnie za rękę, nieco za mocno. Może w tej chwili sama się zgubiłam, ale on zgubił mnie lata temu i teraz już nie dam się odnaleźć. Druga pielęgniarka wychodzi, by dać nam trochę prywatności, a może zwyczajnie czuje się niezręcznie, widzi, że coś jest nie tak. Nie chcę, żeby wyszła, nie chcę, żeby zostawiła mnie z nim sam na sam, ale nie wiem dlaczego.

– Słyszysz mnie? Proszę cię, obudź się – powtarza on raz za razem.

Mój umysł wzdraga się na dźwięk jego głosu. Imadło znowu ściska mi czaszkę, jakby na skronie napierały tysiące palców. Nie pamiętam, co mi się stało, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że ten człowiek, mój mąż, miał z tym coś wspólnego.

Wtedy
Poniedziałek, 19 grudnia 2016 – popołudnie

Z początku byłam wdzięczna, kiedy Matthew powiedział, że resztę dnia mam wolną. Cały zespół rozszedł się już na lunch, co oznaczało, że mogłam uniknąć wszelkich pytań i fałszywej troski. Dopiero teraz, kiedy przedzieram się przez Oxford Street jak łosoś płynący pod prąd w strumieniu turystów i zakupowiczów, dochodzi do mnie, że zrobił to przez wzgląd na siebie; żaden mężczyzna nie chce siedzieć i gapić się na załzawioną twarz kobiety, mając świadomość, że to jego wina.

Jest grudniowe popołudnie, ale niebo jest błękitne, słońce przedziera się zza rozproszonych chmur, tworząc iluzję pięknego dnia na tle mgiełki zwątpienia. Czuje, że muszę przystanąć i się zastanowić, więc to robię. Na samym środku zatłoczonej ulicy, ku irytacji wszystkich przechodniów.

– Amber?

Podnoszę wzrok na uśmiechniętą twarz stojącego przede mną wysokiego mężczyzny. Z początku mam w głowie pustkę, a potem nagle rozpoznaję go i zalewają mnie wspomnienia. Edward.

– Cześć, co u ciebie? – mówię z trudem.

– Wszystko super. Tak się cieszę, że cię widzę.

Całuje mnie w policzek. Nie powinnam przywiązywać takiej wagi do swojego wyglądu, lecz mimo to obejmuję się ramionami, jakbym próbowała się ukryć. On wygląda tak samo jak dawniej. Prawie w ogóle się nie postarzał, choć musiało upłynąć jakieś dziesięć lat od naszego ostatniego spotkania. Jest opalony, jakby dopiero co wrócił z ciepłych krajów, na jego włosach widzę jasne pasemka, ani śladu siwizny. Taki zdrowy, zadbany, widać, że fantastycznie się czuje w swojej opalonej skórze. Jego ubrania wyglądają na nowe i kosztowne. Podejrzewam, że garnitur pod długim wełnianym płaszczem jest szyty na zamówienie. Świat zawsze był dla Edwarda za mały.

– Wszystko w porządku? – pyta.

Przypominam sobie, że przecież płakałam. Na pewno wyglądam strasznie.

– Tak. No, właściwie nie. Po prostu usłyszałam właśnie niezbyt dobre wieści.

– Przykro mi.

Kiwam głową, podczas gdy on czeka na rozmowę, której nie umiem poprowadzić. W tej chwili jedyne, o czym mogę myśleć, to jak bardzo go zraniłam. Nigdy właściwie nie wyjaśniłam, dlaczego nie mogę się już z nim spotykać, po prostu jednego dnia opuściłam jego mieszkanie, przestałam odbierać telefony i zupełnie skreśliłam go ze swojego życia. Edward studiował wtedy w Londynie, ja zresztą również. Wciąż jednak mieszkałam z rodzicami i tylko nocowałam u niego najczęściej, jak mogłam, póki wszystko się nie skończyło. Potem już nigdy tam nie wróciłam.

Wpada na mnie kobieta zajęta pisaniem wiadomości. Kręci głową, jakbym to ja była winna temu, że nie patrzyła, jak idzie. Ta kolizja wytrząsa ze mnie kilka słów.

– Przyjechałeś do Londynu na Boże Narodzenie? – pytam.

– Tak. Właściwie dopiero co przeprowadziłem się tu z dziewczyną, nowa praca

w wielkim mieście.

Moją ulgę szybko zastępuje coś innego. Oczywiście, że o mnie zapomniał. Wmawiam sobie, że się cieszę, i zmuszam twarz do niezbyt entuzjastycznego uśmiechu, któremu towarzyszy niedbałe kiwnięcie głową.

– Widzę, że to nie najlepsza pora – mówi Edward. – Proszę, oto moja wizytówka. Fajnie byłoby kiedyś pogadać. Muszę pędzić na spotkanie, bo już jestem spóźniony, ale wspaniale było cię zobaczyć, Amber.

Biorę wizytówkę i znowu próbuję się uśmiechnąć. Edward dotyka mego ramienia i na powrót znika w tłumie. Zwiewa, aż się za nim kurzy.

Biorę się w garść i przełączam na autopilota. Nogi same niosą mnie do małego baru tuż przy Oxford Street. Bywałam tu z Paulem, kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Ale już tu nie zaglądamy, nie pamiętam, kiedy ostatnio wyszliśmy na miasto. Myślałam, że znajoma atmosfera tego miejsca da mi poczucie bezpieczeństwa, ale tak nie jest. Zamawiam duży kieliszek czerwonego wina i manewruję przez bar do jedyne wolnego stolika w pobliżu kominka. Nie ma przed nim żadnej kratki zabezpieczającej. Odsuwam krzesło nieco dalej od ognia, choć chciałabym się ogrzać. Gapię się na swój kieliszek malbeca, z powodzeniem odcinając się od otaczającej mnie świątecznej wrzawy. Muszę sprawić, by polubiła mnie kobieta, która nie lubi nikogo. Może jeśli dostatecznie długo będę się wpatrywała w to wino, wpadnę na jakieś rozwiązanie. W tej chwili nic mi nie przychodzi do głowy.

Upijam łyk, bardzo mały. Dobre. Zamykam oczy, przełykam i rozkoszuję się smakiem, kiedy płyn spływa mi do gardła. Ależ byłam głupia. Tak świetnie mi szło, a teraz wszystko stoi pod znakiem zapytania. Powinnam była bardziej się postarać z Madeline, trzymać się planu. Nie mogę stracić tej pracy, jeszcze nie teraz. Musi istnieć jakieś rozwiązanie, po prostu nie jestem pewna, czy sama na nie wpadnę. Potrzebuję pomocy. Żałuję tej myśli i poprawiam się: potrzebuję więcej alkoholu.

Kiedy kieliszek robi się pusty, zamawiam następny. Czekając, wydjmuję z torebki telefon. Wybieram numer Paula. Powinnam była od razu do niego zadzwonić, nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Nie odbiera, więc próbuję jeszcze raz. Nic, tylko sekretarka. Nie zostawiam wiadomości. Pojawia się drugi kieliszek i upijam łyk, chcę się jakoś znieczulić, ale wiem, że powinnam zwolnić. Muszę zachować przytomność umysłu, jeśli mam naprowadzić wszystko z powrotem na właściwe tory – co zrobię, bo nie mam wyboru. Powinnam być w stanie sama to wszystko ogarnąć, ale nie mogę.

– Widzę, że zaczęłaś beze mnie – mówi Jo, odwijając z szyi absurdalnie długi szalik i wsuwając się na krzesło naprzeciwko mnie. Spogląda na mnie uważniej i jej uśmiech znika. – Co się stało? Wyglądasz strasznie.

– Więc jeszcze nie wiesz?

– O czym?

– Miałam rozmowę z Matthew.

– To tłumaczy tę przygnębioną minę – mówi Jo, przeglądając kartę win.

– Chyba stracę pracę.

Jo wbija wzrok w moją twarz, jakby czegoś na niej szukała.

– Co ty, kurwa, gadasz?

– Madeline postawiła mu ultimatum. Albo ja zniknę, albo ona to zrobi.

- I powiedział ci, że masz spadać? Tak po prostu?
- Nie do końca. Mam czas do Nowego Roku, żeby przekonać ją do zmiany zdania.
- Więc zrób to.
- Niby jak?
- Nie wiem, ale nie mogą ci tego zrobić.
- Moja umowa wygasa w styczniu, więc wystarczy, że zwyczajnie jej nie przedłużą, i po sprawie, nie miałabym się do czego przyczepić. Poza tym dzięki temu będą mieli całą świąteczną przerwę, żeby znaleźć kogoś na moje miejsce. – Patrzę, jak Jo trawi te informacje, i widzę, że dochodzi do tego samego wniosku co ja kilka godzin temu.
- Dramaty się ciebie trzymają, co?
- Wiem, mam przesrane, prawda?
- Jeszcze nie. Coś wymyślimy, ale najpierw potrzebujemy więcej wina – oświadcza Jo.
- Poproszę jeszcze raz to samo – mówię do przechodzącego kelnera i odwracam się z powrotem do niej. – Nie mogą mnie jeszcze wywalić.
- Nie wywałą.
- Nie miałam czasu, żeby zrobić wszystko, co zaplanowałam.
- Kelner nadal stoi w pobliżu i patrzy na mnie z zatroskaną miną. Uśmiecham się do niego. Kiwa głową i idzie po wino. Rozglądam się po barze i widzę po skierowanych na mnie oczach, że mówię za głośno. Czasem tak mam, kiedy jestem zmęczona albo pijana. Upominam się, żeby ściszyć trochę głos.
- Gdy tylko dostajemy kieliszki, Jo każe mi wyciągnąć z torby notes, a potem otworzyć na czystej kartce i napisać na górze wielkimi czerwonymi literami PROJEKT MADELINE. Robię to, podkreślając na dodatek słowa. Jo należy do osób, które lubią wszystko zapisywać. Takie nawyki mogą przysporzyć kłopotów, jak człowiek nie będzie uważał. Ona wlepia wzrok w notes, a ja piję kolejny łyk wina, rozkoszując się ciepłym rozgrzewającym ciałem. Uśmiecham się i Jo odpowiada uśmiechem. Wpadłyśmy na ten sam pomysł dokładnie w tym samym momencie. Często nam się to zdarza. Jo dyktuje, co mam pisać, a ja zapisuję skrętnie każde słowo, próbując za nią nadażyć. To może się udać.
- Ona myśli, że nigdy jej nie wywałą, że *Poranna kawa* równa się Madeline Frost – mówi Jo.
- Zauważam, że nawet nie dotknęła swojego kieliszka.
- Dokładnie to samo powiedział Matthew. Może to będzie nasz nowy slogan – mówię, spodziewając się uśmiechu w odpowiedzi. Lecz Jo się nie uśmiecha. Zamiast tego stwierdza:
 - Tylko że ona nie wie, jak poszła twoja rozmowa z Matthew. Więc może trzeba ją przekonać, że wszyscy mają już dość jej fochów i że to ona wyleci.
 - Przecież nigdy by tego nie zrobili.
 - Ale ona nie wie tego na sto procent. W dzisiejszych czasach każdego da się zastąpić i zaczynam myśleć, że jeśli zasiejemy dość ziaren, pomysł się przyjmie. Bez tej pracy Madeline byłaby niczym. To całe jej życie, nic poza tym nie ma.
 - To prawda. Ale jak? Nie starczy nam czasu, nie na tym etapie. – Znowu zaczynam płakać. Nie umiem nad tym zapanować.

– W porządku. Popłacz sobie, jak musisz, wyrzuć to z siebie. Na szczęście ładnie wyglądasz, kiedy ryczysz.

– Nigdy ładnie nie wyglądam.

– Czemu tak mówisz? Jesteś piękna. No fakt, mogłabyś się nieco bardziej wysilić...

– Dzięki.

– Sorry, ale taka jest prawda. Brak makijażu nie sprawia, że wyglądasz blado i interesująco, tylko zwyczajnie blado. Masz ładną figurę, ale ciągle ją ukrywasz pod tymi samymi starymi szmatkami.

– Próbuję się ukryć.

– No to przestań.

Ma rację, strasznie się zapuściłam. Przypominam sobie Edwarda, na pewno się cieszy, że nie jesteśmy już parą.

– Właśnie wpadłam na Oxford Street na byłego faceta – mówię, przyglądając się Jo w oczekiwaniu na reakcję.

– Którego?

– Nie musisz tego mówić w ten sposób, nie było ich aż tak wielu.

– Więcej niż u mnie. No więc który to był?

– Nieważne. Ale poczułam się jak szmaciara, totalna porażka. Po prostu wolałabym, żeby nie widział mnie w takim stanie.

– A kogo to obchodzi? W tej chwili musisz się skupić na tym, co ważne. Idź i kup sobie nowe ciuchy; kilka sukienek, fajne buty, coś z obcasem, i przy okazji jakiś makijaż. Jutro musisz wyglądać na zadowoloną i pewną siebie, w razie czego kupuj na kartę kredytową. Madeline wie, że Matthew musiał dziś z tobą rozmawiać, więc na pewno się spodziewa, że będziesz zdołowana, pewnie sądzi, że w ogóle nie przyjdiesz do pracy. Zrób jej na przekór. Rozpuścimy jakieś ploty na mediach społecznościowych. Przejmiemy kontrolę nad sytuacją. Wiesz, co masz robić.

– Tak, wiem.

– No to idź na zakupy, a potem wracaj do domu. Połóż się wcześniej, a jutro idź do pracy i wyglądamy powalająco, jakbyś nie miała żadnych trosk.

Wstaję, żeby wykonać polecenie. Dopijam wino i płacę rachunek. Zawsze robiłam wszystko po bożemu, ale teraz jestem gotowa pojechać po bandzie. Przed wyjściem z baru wydzieram z notesu kartkę z Projektem Madeline, gniotę ją, wrzucam do ognia i patrzę, jak papier brązowieje i płonie.

Teraz
Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, grudzień 2016 – wieczór

Zaczynam spadać i zapominam o strachu – jestem za bardzo zajęta zauważaniem, że ręka, która mnie pchnęła, wygląda zupełnie jak moja własna. Lecz kiedy tak mknę w ciemność, podążają za mną najgorsze obawy. Chcę krzyczeć, ale nie mogę, ta znajoma dłoń zaciska się mocno na moich ustach. Nie jestem w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku, ledwo mogę oddychać. Gdy przerażenie wytrąca mnie z powracającego koszmaru, budzę się i wpadam w następny. Nadal nie mogę sobie przypomnieć, co mnie spotkało, nieważne, jak bardzo się staram, nieważne, jak bardzo muszę to wiedzieć.

Ludzie wchodzą i wychodzą, słyszę kakofonię pomruków i dziwnych odgłosów, czuję mieszaninę zapachów. Nieokreślone kształty zawisają nade mną i obok, jakbym znajdowała się pod wodą, tonęła we własnych błędach. Czasem mam wrażenie, jakbym leżała na dnie zarośniętego stawu, a ciężar mulistej wody mnie przytłacza, wypełnia sekretami i brudem. Chwilami myślę, że wołałabym już utonąć, przynajmniej wreszcie by się to skończyło. Nikt mnie tu na dnie nie widzi, ale przecież zawsze byłam niewidzialna. Nowy świat dokoła mnie obraca się w zwolnionym tempie tuż poza moim zasięgiem, a ja leżę idealnie nieruchoma, pogrążona w mroku.

Od czasu do czasu udaje mi się wynurzyć na tyle długo, by skupić się na dźwiękach i przyspieszyć je tak, że znowu stają się rozpoznawalne, jak w tej chwili. Słyszę szelest przewracanej kartki, to na pewno jeden z tych głupich kryminałów, które on tak lubi. Inni przychodzą i odchodzą, ale on ciągle tam siedzi, już nie jestem sama. Zastanawiam się, dlaczego nie odłożył książki i nie podszedł do mnie, skoro się obudziłam, po czym przypominam sobie, że przecież dla niego nadal jestem nieprzytomna, w jego przekonaniu nic się nie zmieniło. Tracę wszelkie poczucie czasu, nie wiem, czy jest dzień, czy noc. Jestem milczącym, żyjącym trupem. Słyszę otwierane drzwi i ktoś wchodzi do pokoju.

– Dzień dobry, panie Reynolds. Nie powinien pan tu przesiadywać tak późno, ale ten jeden raz możemy chyba zrobić wyjątek. Byłem tu, kiedy wczoraj wieczorem przywieziono pana żonę.

Wczoraj wieczorem?

A ja mam wrażenie, jakbym leżała tu już całe dni.

Głos lekarza brzmi znajomo, ale to pewnie nic dziwnego, skoro się mną zajmował. Wyobrażam sobie, jak wygląda. Widzę poważnego mężczyznę o zmęczonych oczach i zmarszczonym czole porośniętym liniami od całego smutku, którego musiał być świadkiem. Wyobrażam go sobie w białym kitlu, a potem przypomina mi się, że lekarze już ich nie noszą, teraz wyglądają jak wszyscy, i wizerunek, który sobie stworzyłam, błędnie, a potem niknie.

Słyszę, jak Paul upuszcza książkę i krząta się bez sensu; zawsze czuł się niezręcznie w towarzystwie personelu medycznego. Założę się, że wstanie i uściśnie lekarzowi dłoń, właściwie wiem to na pewno, nie muszę go widzieć, żeby dokładnie wiedzieć, jak się

zachowa, potrafię przewidzieć każdy jego ruch.

– Chciałby pan, żeby ktoś obejrzał panu rękę? – pyta lekarz.

Co mu się stało w rękę?

– Nie, wszystko w porządku – mówi Paul.

– Jest pan pewien? Chyba jest mocno potłuczona. To żaden kłopot.

– Wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości, ale dziękuję. Orientuje się pan, ile czasu będzie w takim stanie? Nikt nie chce mi powiedzieć. – Głos Paula brzmi dziwnie, wydaje się cichy i zduszony.

– Na tym etapie bardzo trudno to stwierdzić. Pana żona odniosła podczas wypadku poważne obrażenia...

W tym momencie na jakiś czas przestaję słuchać, w mojej głowie rozbrzmiewają tylko te słowa. Wysilam się mocno, ale nadal nic, żadnego wspomnienia o wypadku. Przecież ja nawet nie mam samochodu.

– Mówił pan, że był tu, kiedy ją przywieziono... a czy był ktoś jeszcze? To jest, czy ktoś jeszcze został ranny? – pyta Paul.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Więc była sama?

– W wypadku nie brały udziału żadne inne pojazdy. Muszę panu zadać trudne pytanie... na ciele pana żony są pewne ślady. Wie pan, skąd się wzięły?

Jakie ślady?

– Sądziłem, że to po wypadku – mówi Paul. – Nie widziałem ich wcześniej...

– Rozumiem. A czy pana żona próbowała kiedyś robić sobie krzywdę?

– Oczywiście, że nie! Ona nie jest taka.

A niby jaka jestem, Paul?

Może wiedziałby, gdyby poświęcał mi nieco więcej uwagi.

– Wspominał pan, że kiedy żona wyszła wczoraj z domu, była zdenerwowana. Wie pan, o co chodziło? – pyta lekarz.

– Różne rzeczy. Ostatnio ma kłopoty w pracy.

– Ale w domu wszystko w porządku?

Między naszą trójką zapada niezręczna cisza, aż wreszcie przełamuje ją głos Paula.

– Czy ona będzie sobą, kiedy się obudzi? Czy będzie wszystko pamiętać?

Tak mocno zastanawiam się nad tym, czego takiego wolałby, żebym nie pamiętała, że prawie przegapiam odpowiedź lekarza.

– Jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć, czy odzyska pełną sprawność. Odniosła bardzo ciężkie obrażenia. Nie miała zapiętego pasa...

Przecież zawsze zapinam pasy.

– ...musiała jechać bardzo szybko, żeby przelecieć tak przez szybę, a podczas uderzenia doznała poważnego urazu głowy. Ma szczęście, że w ogóle tu jest.

Szczęście.

– Musimy po prostu cierpliwie czekać – mówi lekarz.

– Ale w końcu się obudzi, prawda?

– Przykro mi. Czy możemy do kogoś zadzwonić, żeby dotrzymał panu towarzystwa? Jakiś krewny? Przyjaciel?

– Nie. Mam tylko ją – mówi Paul.

Kiedy słyszę, jak to mówi, łagodnieję. Kiedyś nie była to prawda. Kiedy się poznaliśmy, Paul był tak popularny, że każdy chciał się z nim przyjaźnić. Jego pierwsza powieść odniosła natychmiastowy sukces. Paul nie znosi, kiedy tak mówię, zawsze poprawia, że był to natychmiastowy sukces, na który pracował dziesięć lat. Ale nie potrafiło to długo. Przez chwilę było jeszcze lepiej, a potem nagle zrobiło się o wiele gorzej. Paul nie mógł już pisać, słowa po prostu nie chciały się zjawiać. Sukces złamał jego, a porażka – nas oboje.

Słyszę zamykane drzwi i zastanawiam się, czy znowu jestem sama, po czym rozlega się cichy odgłos przyciskanych klawiszy i wyobrażam sobie, jak Paul wysyła wiadomość. Coś w tym obrazie się nie zgadza i zdaję sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widziałam, by do kogoś esemesował. Nie licząc mnie, jedynymi osobami w jego życiu są jego matka, która odmawia kontaktu poza okazjonalnym telefonem, kiedy czegoś chce, i agentka, która zwykle porozumiewa się z nim mailowo, bo teraz nie mają już wielu tematów do rozmów. Paul i ja wysyłamy co prawda wiadomości do siebie nawzajem, no ale kiedy do mnie pisze, jestem gdzie indziej. Moje myśli są tak głośne, że Paul je słyszy.

– Powiedziałem im, gdzie jesteś. – Wzdycha i podchodzi bliżej do łóżka.

Pewnie mówi o mojej rodzinie. Nie mam wielu przyjaciół. Znowu zapada między nami cisza i po grzbiecie przebiega mi niezrozumiały dreszcz. Na myśl o rodzicach czuję ukłucie bólu. Nie wątpię, że usiłował się z nimi skontaktować, ale ostatnio często podróżują i czasem trudno ich złapać. Bywa, że nie rozmawiam z nimi przez całe tygodnie, choć nie zawsze dlatego, że są za granicą. Zastanawiam się, kiedy przyjadą, po czym poprawiam pytanie: czy w ogóle przyjadą. Nie jestem ich ulubionym dzieckiem, tylko córką, którą zawsze mieli.

– Suka – mówi Paul głosem, którego prawie nie poznaję.

Słyszę szuranie krzesła po podłodze. Cienie na moich powiekach pogłębiają się i wiem, że Paul nachyla się nade mną. Znowu ogarnia mnie mimowolna ochota, by krzyknąć, więc to robię. Ale nic się nie dzieje.

Jego twarz jest teraz tak blisko mojej, że czuję na szyi jego gorący oddech.

– Trzymaj się – szepcze mi Paul do ucha.

Nie wiem, co mają znaczyć te słowa, ale drzwi się otwierają i jestem ocalona.

– O Boże, Amber. – To moja siostra Claire.

– Nie powinno cię tu być – mówi Paul.

– Oczywiście, że tak. A ty powinieneś od razu do mnie zadzwonić.

– Żałuję, że w ogóle zadzwoniłem.

Nie rozumiem tego konfliktu między dwoma górującymi nade mną cieniami. Claire i Paul zawsze dobrze się dogadywali.

– Tak czy inaczej, jestem. Co się stało? – pyta Claire, podchodząc bliżej.

– Znaleźli ją o kilka mil od domu. Samochód jest do kasacji.

– Kogo obchodzi twój cholerny samochód...

Nigdy nie jeżdżę samochodem Paula. W ogóle nigdy nie siadam za kierownicą.

– Wszystko będzie dobrze, Amber – mówi Claire, biorąc mnie za rękę. – Jestem przy tobie. – Jej zimne palce zaciskają się na mojej dłoni i przypominają mi się dzieciństwo. Claire zawsze lubiła trzymać się za ręce. A ja nie.

– Ona cię nie słyszy. Jest w śpiączce – mówi Paul i wydaje się dziwnie zadowolony.
– W śpiączce?
– Jesteś z siebie dumna?
– Wiem, że się martwisz, ale to nie moja wina.
– Nie? Pomyślałem, że masz prawo wiedzieć, ale to nie znaczy, że jesteś tu mile widziana.

W głowie mam zamęt i nie rozumiem nic z tego, co mówią, czuję się, jakbym przebywała w równoległej rzeczywistości, gdzie nic nie ma sensu.

– Co ci się stało w rękę? – pyta Claire.

O co chodzi z tą jego ręką?

– Nic.

– Powinien to obejrzeć lekarz.

– Nic mi nie jest.

Pokój, którego nie widzę, zaczyna wirować. Z trudem usiłuję utrzymać się na powierzchni, ale woda burzy się dookoła mnie i we mnie, na powrót pochłania mnie i ściąga w mrok.

– Paul, proszę cię. To przecież moja siostra.

– Ostrzegła mnie, żebym ci nie ufał.

– Zachowujesz się niedorzecznie.

– Doprawdy? – Zapada cisza o wiele głębsza niż przedtem. – Wynoś się stąd.

– Paul!

– Powiedziałem, żebyś się wyniosła!

Tym razem nie ma żadnego wahania. Słyszę stukot obcasów oddalającej się Claire. Drzwi otwierają się i zamykają, i znowu zostaję sam na sam z człowiekiem, który mówi jak mój mąż, ale zachowuje się jak obcy człowiek.

Wtedy
Poniedziałek, 19 grudnia 2016 – wieczór

Wysiadam z pociągu i wracam cichymi podmiejskimi uliczkami do domu i Paula. Nadal nie jestem pewna, czy zdołam uratować pracę, ale może przynajmniej kupię sobie czas na zrobienie tego, co muszę zrobić. Nie powiem mu. Jeszcze nie teraz. Może w ogóle nie będę musiała.

Nie byłaby to pierwsza praca, którą straciłam, od kiedy jesteśmy razem. Moja kariera telewizyjna urwała się gwałtownie dwa lata temu, kiedy szef zrobił się nagle nadmiernie serdeczny. Nie certolił się zbytnio. Któregoś wieczoru wsunął mi rękę pod spódnicę. Następnego dnia ktoś podrapał kluczami jego bmw na firmowym parkingu. Szef uznał, że to ja, i już nigdy nie stanęłam przed kamerą. Ale więcej mnie już nie obmacywał. Odeszłam, zanim znalazł pretekst, żeby mnie zwolnić, i odetchnęłam z ulgą, bo po prawdzie nienawidziłam pracować w telewizji. Za to Paul był zrozpaczony. Podobała mu się tamta wersja mnie. Uwielbiał ją. A w domu ciągle plątałam mu się pod nogami. Nie byłam już kobietą, z którą się ożenił. Byłam bezrobotna, przestałam się stroić i nie miałam żadnych ciekawych anegdotek do opowiadania. W zeszłym roku pojechaliśmy na wesele. Nowożeńcy przysiedli się do nas i spytali, czym się zajmuję. „Niczym”, powiedział Paul, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Ktoś, kogo kochał, stał się nikim, kogo nienawidził.

Mówił, że kiedy stale kręcę się po domu, nie może się skupić na pisaniu. Więc wybudował sobie cacy komórkę na drugim końcu ogrodu, żeby móc udawać, że mnie nie ma. Aż sześć miesięcy temu Claire zauważyła ogłoszenie o pracy w *Porannej kawie* i przesłała mi link, zachęcając, żebym się zgłosiła. Nie sądziłam, że dostanę tę robotę, ale dostałam.

Idę chwiejnie ogrodową ścieżką i szukam w torebce kluczy. Ze zdziwieniem słyszę z domu odgłosy muzyki i śmiechu. Paul nie jest sam. Przypominam sobie, że po południu próbowałam się z nim skontaktować, ale nie odebrał i nie oddzwonił. Ręce trzęsą mi się lekko, kiedy otwieram drzwi wejściowe.

Siedzą na kanapie i się śmieją, Paul na swoim zwykłym miejscu, Claire na moim. Prawie pusta butelka wina i dwa kieliszki pozują na stoliku przed nimi do nudnej martwej natury.

Przecież ona nawet nie lubi czerwonego wina.

Mój widok chyba ich zaskakuje i zaczynam się czuć jak intruz we własnym domu.

– Cześć, siostra. Co u ciebie? – mówi Claire, wstając i całując mnie w oba policzki.

Jej designerskie rurki są tak obcisłe, że wyglądają jak namalowane sprejem, a z dołu wystają drobne wypedikiowane stopy. Kiedy się podnosi, obcisły biały top odsłania nieco więcej, niż powinien. Nie przypominam sobie, żebym go wcześniej widziała, musi być nowy. Claire ubiera się, jakbyśmy ciągle były młode, jakby mężczyźni nadal patrzyli na nas w ten sposób. Jeśli tak jest, to ja tego nie zauważyłam. Jej długie jasne włosy zostały bezlitośnie potraktowane prostownicą. Tkwią niewzruszenie za jej

uchem, jakby miała na głowie niewidoczną opaskę. Wszystko w niej jest schludne, porządne, pod kontrolą. Całkowite przeciwieństwo mnie. Claire staje blisko, czeka, aż coś powiem. Czuję jej perfumy w nosie, w gardle, smakuję je na języku. Znajome, ale niebezpieczne. Mdląco słodkie.

– Myślałam, że miałaś iść po pracy na drinka – mówi Paul, nie podnosząc się z kanapy.

Mruży lekko oczy na widok moich reklamówek z zakupami – w środku jest kilka nowych ubrań zawiniętych schludnie w bibułę. Milcząco wyzywam go, by odważył się coś powiedzieć. To moje pieniądze, sama je zarobiłam. Wydam, na co mi się podoba. Odstawiam torby, zauważając głębokie czerwone ślady po plastikowych uchwytach, które wryły mi się w dłoń.

– Odwołane – mówię w kierunku Paula, po czym odwracam się do Claire. – Nie wiedziałam, że wpadniesz. Wszystko w porządku? – Wiem, co się tu dzieje.

– Jak najbardziej. David znowu pracuje do późna. Wpadłam do ciebie na babskie pogaduchy, ale zapomniałam, że w przeciwieństwie do mnie masz życie towarzyskie.

Za bardzo się stara, wygląda, jakby twarz ją bolała od uśmiechu.

– A gdzie dzieci? – pytam.

Jej uśmiech blednie.

– U sąsiadów, nic im nie jest. Nie zostawiłabym ich bez opieki.

Odwraca się do Paula, ale on tylko gapi się w podłogę. Jej usta są fioletowe od wina, a policzki zaróżowione, nigdy nie miała mocnej głowy. I nagle to dostrzegam, ten wyraz w jej oczach: niebezpieczny błysk, który już kiedyś widziałam. Claire wie, że go zauważyłam i że nie zapomniałam, co to oznacza.

– Chyba już pójde, jest później, niż myślałam – mówi.

– Namawiałabym cię, żebyś została, ale muszę porozmawiać z mężem. – Zamierzałam powiedzieć „z Paulem”, lecz moja podświadomość uznała widocznie, że trzeba zmienić scenariusz.

– Oczywiście, zresztą wkrótce się zobaczymy. Mam nadzieję, że w pracy wszystko gra – mówi Claire, podnosząc swoją torebkę oraz płaszcz i zostawiając na stoliku kieliszek z niedopitym winem.

Gdy tylko drzwi się zamykają, ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Wiem, że powinnam pójść za nią i przeprosić, by wiedziała, że nadal ją kocham i wszystko jest między nami okej. Ale tego nie robię.

– Niezręczna sytuacja – stwierdza Paul.

Nie odpowiadam, nawet na niego nie patrzę. Bez zastanowienia przekręcam dwa razy zamek w drzwiach i zanoszę kieliszek Claire do kuchni. Paul idzie za mną i staje w progu. Wylewam purpurowy płyn do zlewu. Na białej porcelanie widać ciemnoczerwone plamy. Odkręcam wodę, żeby je spłukać.

– Rzeczywiście, trochę się zdziwiłam na widok siostry urządzającej sobie przytulny wieczorek z moim mężem.

Wino, które wcześniej wypijałam, sprawia, że mówię trochę niewyraźnie. Widzę po minie Paula, że jego zdaniem jestem śmieszna albo zazdrosna, albo jedno i drugie. Nie o to chodzi. Po prostu boję się, co to oznacza, że zastałam ich w takiej sytuacji. Jestem właściwie pewna, że Claire nie spodziewała się mojego powrotu, no i zostawiła komuś

dzieciaki, więc musiała to zaplanować. Nie potrafię mu tego wyjaśnić, nie uwierzyłby mi, nie zna jej tak jak ja i nie wie, do czego jest zdolna.

– Nie wygłupiaj się. Mam na myśli to, jak się zachowałeś, zwyczajnie ją wyprosiłeś. Przyszła, żeby się z tobą zobaczyć, była bardzo przygnębiona.

– Jeśli naprawdę chciała zobaczyć się ze mną, może powinna najpierw zadzwonić.

– Mówiła, że dzwoniła, kilka razy. Nie odbierałaś.

Przypominam sobie, że Claire rzeczywiście dzwoniła dziś dwa razy. Za pierwszym razem w trakcie mojej rozmowy z Matthew, jakby wyczuła, że coś jest nie tak. Odwracam się twarzą do Paula, ale nie wiem, co powiedzieć. W tej chwili wszystko mnie w nim irytuje. Nadal jest pociągającym mężczyzną, ale życie, które prowadzi, sprawiło, że wydaje się zmęczony i zużyty, jak lśniące srebro, które z czasem robi się matowe i śniedzieje. Jest za chudy, jego skóra wygląda, jakby zapomniała, co to słońce, a włosy są za długie jak na mężczyznę w jego wieku, ale w końcu Paul nigdy nie dorósł. Widzę po jego zaciśniętej szczęce, że jest na mnie zły, i z jakiegoś powodu mnie to podnieca. Od miesiący się nie kochaliśmy, ostatni raz był w naszą rocznicę. Może tak to już teraz będzie – seks tylko od święta.

Odwracam się do kuchenki i moje palce układają się w znajome kształty. Kiedyś starałam się tego przy nim nie robić, ale już mi nie zależy.

– Coś się wydarzyło w pracy? – pyta.

Nie odpowiadam.

– Nie rozumiem, czemu nadal tam siedzisz.

– Bo muszę.

– Ale dlaczego? Pieniądze nam niepotrzebne. Mogłabyś znowu spróbować w telewizji.

Rozmowę tłumi warstwa ciszy, gasząca słowa, które zawsze myślimy, ale nigdy ich nie wypowiadamy. Radio uśmierciło jego gwiazdę telewizji. Dalej wbijam wzrok w piekarnik i zaczynam odliczać pod nosem.

– Mogłabyś przestać? To nienormalne – mówi Paul.

Nie zwracam na niego uwagi i kontynuuję swój rytuał. Czuję na sobie wzrok męża.

Jadą, jadą misie, tra la la la la.

Ostatnio ciągle tylko się kłócimy.

Śmieją im się pysie, cha cha cha cha cha.

Im bardziej staram się utrzymać nasz związek, tym szybciej się rozpada.

Przyjechały do lasu, narobiły hałasu.

Nie należę do płaczliwych osób, inaczej wyrażam smutek.

Przyjechały do boru, narobiły rumoru.

Chciałabym móc wyznać mu prawdę.

Jadą, jadą misie.

W mojej głowie włącza się wspomnienie z dzieciństwa. Wolałabym go uniknąć.

– Wszystko w porządku? – pyta Paul, wreszcie odrywając się od framugi.

– Nie – szepczę i pozwalam mu się objąć.

To prawda, ale niecała.

Przedtem
Poniedziałek, 16 września 1991

Kochany Pamiętniczku,

dzisiaj miałam ciekawy dzień. Zaczęłam nową szkołę. Samo w sobie nie jest to zbyt interesujące, bo dość często zmieniam szkoły, ale dzisiaj było jakoś inaczej, miałam wrażenie, że może tym razem wszystko się ułoży. Moja nowa wychowawczyni wydaje się miła. Założę się, że kiedy mama ją pozna, powie coś w rodzaju: „Od razu widać, że pani MacDonald nie żałuje sobie przy stole”. Mama często mówi takie rzeczy, ma wtedy na myśli, że ktoś jest za gruby. Mama mówi, że trzeba dbać o wygląd, bo chociaż nie powinno się sądzić ludzi po pozorach, i tak wszyscy to robią. Pani MacDonald jest starsza od mamy, ale młodsza, niż była Bunia. Przedstawiła mnie klasie, nie robiąc wokół tego zamieszania, nie tak jak większość nauczycieli, a potem kazała mi zająć miejsce. Była tylko jedna wolna ławka na samym końcu, więc usiadłam właśnie tam. Jak na pierwszy dzień poszło całkiem nieźle. Mama mówi, że tym razem na pewno tu zostaniemy, ale mawiała tak i wcześniej.

Klasa czyta właśnie dziennik dziewczynki, która nazywa się Anna Frank, ale dopiero zaczęli, więc niewiele przegapiłam. Koleżanka z sąsiedniej ławki pozwoliła mi czytać ze swojego egzemplarza. Powiedziała, że mogę jej mówić Taylor, choć tak właściwie to jej nazwisko, nie imię, ale nieważne. Zauważyłam na jej marynarce ślady po kredzie i już wiem, że to jedna z tych, których inne dzieci nie lubią.

Jako zadanie domowe mamy przez cały tydzień prowadzić dziennik, trochę jak Anna Frank, tylko że ona robiła to o wiele dłużej. Najlepsze, że nawet nie musimy go oddawać do przeczytania, bo pani MacDonald powiedziała, że dzienniki zawsze powinny być prywatne. Pomyślałam, że w takim razie mogłabym w ogóle sobie darować, ale mama i tata znowu się kłócą na dole, więc uznałam, że nie zaszkodzi spróbować.

Nie wydaje mi się, że mój dziennik będzie tak ciekawy jak dziennik Anny Frank. Nie jestem bardzo ciekawą osobą. Pani MacDonald powiedziała, że jeśli nie będziemy wiedzieli, co napisać, powinniśmy po prostu pomyśleć o trzech rzeczach, które uczciwie moglibyśmy o sobie powiedzieć. Mówi, że każdy jest w stanie wymyślić trzy rzeczy i że uczciwość wobec siebie jest ważniejsza niż uczciwość wobec innych. A więc oto pierwsze trzy rzeczy, którymi się podzielę. Wszystko to prawda.

1. Mam prawie dziesięć lat.
2. Nie mam żadnych przyjaciół.
3. Moi rodzice mnie nie kochają.

Problem z prawdą polega na tym, że jest okropna.

Moja Bunia umarła na raka. Zamieszkaliśmy z nią, kiedy zachorowała, ale wcale jej się od tego nie polepszyło. Miała sześćdziesiąt dwa lata, co brzmi

staro, ale mama powiedziała, że to właściwie dość młody wiek na śmierć. Spędzałam z Bunią dużo czasu, zawsze zabierała mnie w fajne miejsca i słuchała, co mam do powiedzenia. Nie miała dużo pieniędzy, ale na ostatnie święta podarowała mi ten dziennik. Uważała, że pisanie o swoich uczuciach pomoże mi sobie z nimi poradzić. Minął już prawie rok, a ja jej nie posłuchałam, ale teraz tego żałuję. Żałuję, że nie zapisałam sobie tego wszystkiego, co mówiła, bo już zaczęłam to zapominać.

Myślę, że rodzice kiedyś mnie kochali, ale przyniosłam im tyle rozczarowań, że zużyłam ich miłość. Nawet siebie nawzajem nie kochają, ciągle tylko się kłócą i krzyczą na siebie. Chodzi o wiele spraw, ale przeważnie o pieniądze, których nie mamy. No i o mnie. Raz tak się wydzierali, że sąsiedzi wezwali policję. Mama mówiła, że to straszny wstyd, i kiedy policja wreszcie sobie poszła, pokłócili się przez to jeszcze bardziej. Teraz już tam nie mieszkamy, więc mama mówi, że to nie ma znaczenia i w ogóle ludzie nie powinni wtykać nosa w nie swoje sprawy. Kiedy się tu przenieśliśmy, powiedziała, że to będzie „nowy początek” i „czy nie będzie miło poznać nowych przyjaciół?”. Nie zauważyła, że nie miałam nawet starych.

Dawniej, kiedy przeprowadzaliśmy się w nowe miejsce, szukałam sobie koleżanek, ale zawsze było mi bardzo smutno, kiedy musiałam się z nimi żegnać. Teraz szkoda mi zachodu. Zresztą, na co mi koleżanki? Kiedy ktoś zaprasza mnie na urodziny, mówię tylko „nie, dziękuję” i że rodzice by mi nie pozwolili, chociaż to nieprawda. Nawet nie pokazuję mamie zaproszeń, od razu wyrzucam je do kosza. Problem z chodzeniem w odwiedziny do innych polega na tym, że potem oni chcą przychodzić do ciebie. A poza tym Bunia zawsze mawiała, że książki to lepsi przyjaciele niż ludzie. Mówiła, że książki mogą mnie zabrać wszędzie, jeśli tylko im na to pozwolę, i moim zdaniem miała rację.

Kiedy Bunia umarła, mama mówiła, że wyremontujemy dom, ale tego nie zrobiliśmy. Śpię w pokoju Buni, w łóżku, w którym położyła się któregoś dnia i już się nie obudziła. Mama mówiła, że mogę dostać nowe łóżko, ale ja nie chcę, jeszcze nie teraz. Czasami wydaje mi się, że nadal czuję zapach Buni, co jest głupie, bo pościel była wielokrotnie prana i zmieniana. W moim pokoju stoją dwa łóżka. Drugie należało do dziadka, ale on nie umarł w nim, tylko w jakimś obcym domu.

Nic nie słyszę, co znaczy, że rodzice przestali się kłócić, przynajmniej na razie. Teraz tata otworzy butelkę czerwonego wina i naleje sobie duży kieliszek. Mama w tym czasie wyjmie z zamrażalnika coś na kolację i naleje sobie drinka, który wygląda jak woda, ale nią nie jest. Kiedy dorosnę, nigdy nie będę piła alkoholu, nie podoba mi się, co robi z ludźmi. Zjemy w milczeniu lazanie z mikrofalówki, aż w końcu mama albo tata przypomną sobie, żeby zapytać o mój pierwszy dzień w szkole. Powiem, że wszystko w porządku, opowiem trochę o nauczycielach i lekcjach, a oni będą udawać, że słuchają. Gdy tylko tata skończy jeść, weźmie resztę wina i pójdzie do gabinetu. Dawniej była to szwalnia Buni. Tata przechrzczył ją na gabinet, ale

wcale tam nie pracuje, tylko ogląda telewizję na małym telewizorze. Mama pozmywa naczynia, a ja będę siedzieć sama w salonie, oglądając duży telewizor, póki nie nadejdzie pora na spanie. O dziewiątej mama każe mi iść na górę. Ustawia sobie budzik, żeby jej o tym przypominał. Kiedy już się położę i rodzice będą myśleli, że śpię, znowu zaczną się kłócić. Gdy byłam mała, Bunia śpiewała mi piosenki na dobranoc. Jada, jada misie, tra la la la la. Kiedyś nie lubiłam tej kołysanki, ale teraz nucę ją sobie od czasu do czasu, żeby zagłuszyć krzyki taty i płacz mamy. I tak mniej więcej wygląda moje życie. Mówiłam, że nie jest tak ciekawe, jak życie Anny Frank.

Teraz
Wtorek, 27 grudnia 2016

Słyszę ulewę, która próbuje wybudzić mnie z tego bezbrzeżnego snu. Brzmi jak nieustępliwa armia maleńkich paznokci postukujących w szybę. Wyobrażam sobie kolejne uparte kropelki – kiedy ponoszą klęskę i nie udaje im się przełamać czaru, zmieniają się w spływające po szkle łzy. Wydaje mi się, że jest noc, bo zrobiło się ciszej niż przedtem. Fantazjuję, że mogę wstać, podejść do okna i wyciągnąć rękę na zewnątrz, poczuć deszcz na skórze i popatrzeć w nocne niebo. Tęsknię za tym i zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś zobaczę gwiazdy. Wszyscy jesteśmy zrobieni z ciała i z gwiazd, ale w końcu obracamy się w proch. Trzeba błyszczeć, póki się da.

Choć jestem sama, ciągle słyszę w głowie głos Paula. „Trzymaj się”. Próbuję, ale wszystko mi się wymyka. Nie rozumiem, dlaczego kłócił się z Claire, przecież zazwyczaj świetnie się dogadują. Claire jest młodsza ode mnie, ale zawsze we wszystkim mnie wyprzedza. Mówiono mi, że jesteśmy do siebie podobne, ale ona jest jasnowłosa i piękna, a ja mam ciemne włosy i wyglądam jak kiepska piosenkarka od coverów. Claire była nowiutką, lepszą córką, jakiej zawsze pragnęli rodzice – uważali, że jest doskonała. Ja też z początku tak myślałam, ale gdy tylko pojawiła się w domu, poszłam w odstawkę. Rodzice nigdy nie poznali jej tak, jak ja, nie widzieli tego, co ja.

Czuję, że zaczynam odpływać. Opieram się ze wszystkich sił i nagle, akurat kiedy zamierzam się poddać, otwierają się drzwi.

Wiem, że to ona.

Claire zawsze używała tych samych perfum co mama; nie zmienia przyzwyczajień. I zawsze za mocno się spryskuje. Kiedy chodzi wolno po pokoju, czuję też delikatny zapach płynu do płukania na jej ubraniach. Pewnie ma na sobie coś obcisłego i kobiecego, w co ja nigdy nie zdołałabym się wcisnąć. Słyszę stukanie jej szpilek na podłodze i zastanawiam się, na co patrzy. Nie spieszy się. Jest sama.

Podsuwa sobie krzesło i siada przy łóżku – teraz jej kolej, żeby czytać mi z wyłączonym dźwiękiem. Od czasu do czasu słyszę szelest przewracanych stron. Przygotowała sobie na wizytę książkę. Już widzę jej wymanikiurowane dłonie trzymające ją na kolanach. Zaczynam wyobrażać sobie ten pokój jako sterylną bibliotekę, a siebie samą jako upiorną bibliotekarkę, która wydaje wyrok milczenia na każdego, kto tu wchodzi. *Ćśśśś*. Claire zazwyczaj czyta szybko, ale strony przewracają się dość wolno, więc wiem, że tylko udaje. Jest w tym dobra.

– Szkoda, że nie ma tu rodziców – mówi.

A ja się z tego cieszę.

Pragnie tego przez wzgląd na siebie, nie na mnie. Oni pewnie pomyśleliby, że to wszystko moja wina, jak zwykle. Słyszę, jak Claire odkłada książkę, którą niby czytała, wstaje i podchodzi nieco bliżej. Moje myśli rozbrzmiewają coraz głośniejsze, aż wreszcie jestem zmuszona ich słuchać, ale kłębią się i zderzają w głowie, więc na żadnej nie mogę się skupić dostatecznie długo, żeby nabrała sensu. Claire nachyliła się nade mną tak nisko, że czuję w jej oddechu zapach kawy.

– Nadal masz we włosach szkło – mówi szeptem.

Gdy tylko jej słowa docierają do moich uszu, odnoszę wrażenie, że coś wciąga mnie szybko z powrotem. To tak, jakbym szła tyłem przez bardzo długi i ciemny tunel. Nagle odkrywam, że siedzę na wysokiej gałęzi obumarłego drzewa. Spuszczam wzrok i widzę, że nadal jestem w szpitalnej koszuli. Rozpoznaję ulicę pod sobą – mieszkam w pobliżu, jestem prawie w domu. W oddali słyszę pomruk burzy i dochodzi do mnie zapach spalenizny, lecz nie odczuwam strachu. Wyciągam rękę, by dotknąć deszczu, który właśnie zaczął padać, ale moja dłoń pozostaje całkowicie sucha. Wszystko, co widzę, jest w najciemniejszym odcieniu czerni, poza maleńkim światełkiem w oddali. Tak się cieszę na jego widok... ale nagle zdaję sobie sprawę, że to wcale nie gwiazda, tylko światło samochodu. Dołącza do niego drugie takie samo. Wiatr przyspiesza i widzę na drodze auto jadące w moją stronę, zbyt szybko. Spoglądam na ulicę pod sobą i widzę na środku jezdni dziewczynkę w różowym puchatym szlafroku. Śpiewa.

Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma.

Unosi głowę w moim kierunku.

Jaka tajemnica twa.

Pomyliły jej się słowa.

Leć wysoko, wzdłuż i w szerz.

Samochód jest już blisko, krzyczę na nią, by zeszła z drogi.

To nie leki, wariujesz.

Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że dziewczynka nie ma twarzy.

Samochód skręca, by ją ominąć, wpada w poślizg i rozbija się o drzewo, na którym siedzę. Siła uderzenia niemal strąca mnie z gałęzi, ale ktoś z oddali mówi: „Trzymaj się”. Pode mną czas zwolnił. Dziewczynka śmieje się niepowstrzymanie, a ja patrzę z przerażeniem, jak przez przednią szybę wypada ciało kobiety. W zwolnionym tempie leci w powietrzu, otulone peleryną z tysiąca szklanych odłamków. Ląduje ciężko na jezdni równo pode mną. Spoglądam znów na dziewczynkę, która przestała się śmiać. Podnosi palec wskazujący do miejsca, gdzie powinny znajdować się jej usta. Ćśśś. Przenoszę wzrok na ciało kobiety. Wiem, że to ja leżę tam w dole, ale nie chcę nic więcej widzieć. Zamykam oczy. Panuje cisza, nie licząc radia w samochodzie, które nadal gra świąteczne piosenki z wnętrza poskręcanej metalowej skorupy. Muzyka urywa się nagle i ponad statycznymi trzaskami dociera do mnie głos Madeline. Siedzę na swojej gałęzi i zakrywam uszy rękami, ale nadal słyszę, jak ciągle powtarza te same słowa:

Dzień dobry, witamy w Porannej kawie.

Nic się nie dzieje przez przypadek.

Zaczynam krzyczeć, ale głos Madeline tylko przybiera na sile. Słyszę dźwięk otwieranych drzwi i spadam z drzewa prosto na szpitalne łóżko.

– Jestem – mówi Paul.

– Widzę – odpowiada Claire.

– Co oznacza, że możesz już sobie iść. Kiedy ja tu jestem, ty wychodzisz. Tak się umawialiśmy.

– Sam się umawiałeś – mówi Claire. – Nigdzie nie idę.

Podnosi z łóżka porzuconą książkę i siada na swoim krześle. Na chwilę zapada cisza,

a potem słyszę, jak Paul siada po drugiej stronie pokoju. Mam wrażenie, że to wszystko ciągnie się bardzo długo. Nie jestem pewna, czy przez cały czas pozostaję przytomna, czy przysypiam, może przegapiłam jakieś fragmenty. Ktoś wykrada mi godziny. Odcinki, które chcę zobaczyć, są kasowane, zanim mam okazję je obejrzeć.

Słyszę kolejne głosy, nowe. Z początku wszyscy wydają się przekrzykiwać i słowa mieszają się w drodze do moich uszu. Muszę się bardzo skupić, żeby móc je rozplątać.

– Pan Reynolds? Jestem nadkomisarz Jim Handley, a to posterunkowa Healey. Czy możemy porozmawiać na korytarzu? – pyta męski głos od strony drzwi.

– Oczywiście – mówi Paul. – Czy to ma związek z wypadkiem?

– Naprawdę lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności – odpowiada nadkomisarz.

– W porządku, ja wyjdę – odzywa się Claire.

Wychodzi z pokoju, a ja czuję, jak coś ściska mnie w żołądku. Słyszę trzask zamykanych drzwi i chrząknięcie.

– To pańskim samochodem jechała żona przedwczoraj wieczorem, prawda? – pyta nadkomisarz.

– Zgadza się – odpowiada Paul.

– Wie pan, dokąd jechała?

– Nie.

– Ale widział pan, jak wyjeżdża?

– Tak.

Słyszę długi, przeciągnięty wdech.

– Wkrótce po tym, jak karetka przywiozła pana żonę do szpitala, dwóch naszych kolegów pojechało do państwa domu. Nie zastali pana.

– Szukałem jej.

– Na piechotę?

– Zgadza się. Ale następnego dnia rano, kiedy wrócili, byłem w domu.

– Więc wiedział pan, że poprzedniego dnia była u pana policja?

– No cóż, wtedy nie wiedziałem, ale sam pan właśnie powiedział...

– Policjanci, którzy odwiedzili pana wczoraj rano, zostali wysłani, by poinformować, że pana żona jest w szpitalu. Ale ci wcześniej pojechali tam, ponieważ ktoś doniósł, że kłócili się państwo na ulicy.

Paul nie odpowiada.

– Jeśli nie wiedział pan, dokąd żona się wybierała, to gdzie pan jej szukał?

– Byłem pijany, w końcu były święta. Miałem mętlik w głowie. Łaziłem przez jakiś czas...

– Widzę, że ma pan zabandażowaną rękę, co się stało?

– Nie pamiętam.

Kłamie, wiem to, chociaż nie wiem, skąd.

– Rozmawialiśmy z personelem szpitala, który był na zmianie, kiedy przywieziono pana żonę. Mówią, że niektóre z jej obrażeń są starsze niż te odniesione w wypadku. Wie pan, skąd mogły się u niej wziąć?

Jakie obrażenia?

– Nie – mówi Paul.

- Nie zauważył pan śladów na jej szyi ani sińców na twarzy? – pyta policjantka.
- Nie – powtarza Paul.
- Panie Reynolds, chyba naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiali w jakimś bardziej ustronnym miejscu – mówi nadkomisarz. – Chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami na komisariat.

W pokoju zapada cisza.

Wtedy
Wtorek, 20 grudnia 2016 – rano

– Zdołałam zarezerwować ci stolik w Langham, musiałam skorzystać ze znajomości – mówię.

– Wspaniale. A po co? – pyta Matthew, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

Za niecałe dziesięć minut wchodzimy na antenę i prawie wszyscy, łącznie z Madeline, poszli już do studia.

– Na twój brunch – mówię.

– Z kim? – Matthew patrzy na mnie nieuważnie i nagle jego mina zmienia się na widok mojej nowej sukienki, makijażu, włosów potraktowanych szczotką i suszarką.

Siada nieco prościej i łaskawie unosi lewą brew w pełen podziwu łuk. Przyłapuję się na pytaniu, czy naprawdę jest gejem, czy tylko mimowolnie tak zakładałam.

– Dzisiejszy panel. Goście do audycji o kobietach po pięćdziesiątce. Rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu – przypominam.

– Naprawdę?

– No tak. Wspominałeś, że chcesz je potem gdzieś zabrać, pogadać o pomysłach na przyszłość.

– Jakich pomysłach?

– Mówiłeś, że musimy być bardziej innowacyjni, rozruszać trochę audycję.

– Rzeczywiście, brzmi jak coś, co mógłbym powiedzieć.

Wcale nie. Matthew nadal się waha, więc bombarduję go resztą porządnie przeciwiczonych kwestii.

– Myślały, że spotkacie się bezpośrednio po programie, ale jak chcesz, mogę to odwołać, wymyślę jakiś pretekst.

– Nie, nie. Chyba już pamiętam. Madeline też idzie?

– Nie, tylko ty i goście.

Matthew marszczy brwi.

– Chodzi o to, żeby mogły swobodnie rozmawiać o tym, co ich zdaniem dobrze działa w programie, a co nie. – Tych słów sobie nie przygotowałam, ale same spływają mi na język i odnoszą skutek.

– Jasne, brzmi rozsądnie. O trzeciej mam fizjoterapię, więc od razu po spotkaniu się zmyję.

– Jasne, szefie.

– Dzisiaj gośćmi *Porannej kawy* będzie Jane Williams, redaktorka „Savoir-Faire”, największego brytyjskiego miesięcznika dla kobiet, oraz pisarka i prezenterka Louise Ford. Będziemy rozmawiać o kobietach po pięćdziesiątce w mediach – mówi Madeline i wypija łyk wody.

Tym razem wygląda na to, że czuje się w studiu równie niekomfortowo jak ja. Pod osłoną biurka z całej siły wpijam sobie paznokcie w kolana, ból uspokaja mnie na tyle, że jestem w stanie powstrzymać się przed ucieczką z małego, ciemnego pomieszczenia.

Wczoraj wieczorem, kiedy Paul brał prysznic, założyłam fałszywe konto na Twitterze. Zajęło mi to pięć minut. Wkleiłam kilka znalezionych w internecie zdjęć kotów i do rana miałam ponad stu obserwatorów. Nienawidzę kotów. I nie mogę też udawać, że znam się na mediach społecznościowych. To znaczy, owszem, wiem, o co chodzi, po prostu nie rozumiem, czemu ludzie poświęcają im tyle czasu. Przecież to nie jest rzeczywiste. To tylko hałas. A jednak cieszę się, że tak robią. Odkąd dwadzieścia minut temu zamieściłam pytanie: „Czy Madeline Frost opuszcza poranną kawę?”, przetweetowano je osiemdziesiąt siedem razy, a hashtag #FrostIdzieDoPiachu okazał się strzałem w dziesiątkę. To ostatnie to pomysł Jo.

Makijaż, którego normalnie nie noszę, wydaje się ciążyć mi na skórze. Czerwona szminka pasuje do nowej sukienki i ta pieczołowicie dobrana zbroja daje mi poczucie bezpieczeństwa. Maski ochronna ukrywa moje blizny i koi sumienie; robię tylko to, co muszę, żeby przetrwać. Przyłapuję się na tym, że wypadam z roli i gapię się na swoje palce. Są czerwone. W pierwszym odruchu wydaje mi się, że krwawię, ale potem przypominam sobie, że po prostu skubałam umalowane usta.

Na chwilę siadam na dłoniach, żeby ukryć je przed samą sobą. Muszę zachować spokój albo nigdy się nie uda. Mimowolnie przygryzam dolną wargę, a potem powstrzymuję się i skupiam całą uwagę na połowicznie opróżnionej szklance Madeline. Syk i bulgotanie gazowanej wody, która się w niej znajduje, zdają się narastać w miarę, jak wpatruję się w napój. Przestrzajam słuch z powrotem na głos Madeline i próbuję skoncentrować się na rozmowie.

Uśmiecham się do uczestniczek programu, siedzących z nami przy stole. Jak miło z ich strony, że zgodziły się przyjść w tak krótkim terminie. Patrzę na ich twarze, podczas gdy one dalej próbują się nawzajem zagłuszyć. Obie przyjęły zaproszenie i plotą bzdury z tego samego powodu: autopromocja. Każda z nas ma własny powód, by tu dziś siedzieć. Gdyby zderzyć z nas wszystkie warstwy tak, by pozostała tylko ta najbardziej podstawowa, najmniejszym wspólnym mianownikiem byłaby potrzeba bycia wysłuchanym, dania o sobie znać ponad zgiełkiem współczesnego życia. Ten jeden raz nie chcę być osobą, która zadaje pytania, za to chciałabym, żeby ktoś inny wysłuchał moich odpowiedzi i powiedział, czy moja wersja prawdy nadal jest poprawna. Czasem, żeby postąpić słusznie, trzeba zrobić coś niesłusznego, takie życie.

Twarz zaczyna mnie boleć od przyklejonego do niej uśmiechu. Moje wysiłki zmierzające do tego, by zaprezentować się jako kobieta szczęśliwa, przynoszą efekt, ale są wyczerpujące i przyłapuję się na tym, że co chwilę spoglądam na zegar na ścianie studia. Coraz bardziej mi się spieszy, ale tu, w tym pomieszczeniu, czas zwolnił i więzi mnie w zastygłych minutach. Za każdym razem, kiedy moje oczy nudzą się śledzeniem scenariusza programu, przenoszą się na zegar, aż w końcu wpatruję się w niego jak zahipnotyzowana, podążając wzrokiem za dużą wskazówką, która nieustannie krążeniem podstępnie odmierza nicość. Dźwięk tykania, którego nigdy dotąd nie zauważyłam, robi się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż prawie przestaję słyszeć, co mówią goście. Widzę na galerii twarze członków zespołu i mam wrażenie, jakby wszyscy się na mnie gapili. Szukam wzrokiem Jo, ale jej tam nie ma. Znowu skubię sobie skórę na ustach. Powstrzymuję się, zirytowana tym brakiem samokontroli, i wycieram zaplamione szminką palce o materiał sukienki. Czerwone na czerwonym.

Muszę się bardziej starać, żeby ukryć prawdziwą siebie.

Kiedy program wreszcie się kończy, z przyjemnością patrzę, jak Madeline wycofuje się do swojego biura. Doskonale wiem, co tam zastanie. Dziękuję uczestniczkom audycji, bo ktoś musi to zrobić, i zostawiam je z Matthew, który czeka już w płaszczu, żeby zabrać je na brunch. Idę do toalety, by sprawdzić, czy moja maska wciąż jest na swoim miejscu. Zastaję tam aktualną asystentkę Madeline, która gapi się na siebie w lustrze. Wygląda na zmęczoną, a w jej oczach widać taki smutek, że mam ochotę ją uratować. Uśmiecham się i w odpowiedzi otrzymuję zrezygnowany uśmiech. Do licznych porannych zadań asystentki należy przeglądanie korespondencji Madeline, bo ona jest zbyt ważna i ma za dużo innych spraw, żeby się tym zająć. Codziennie pojawia się nowy schludny stosik listów i paczek, które należy posortować: informacje prasowe, zaproszenia, upominki, takie tam. Madeline dostaje więcej przesyłek niż reszta zespołu razem wzięta, włączając w to mnie. No i są jeszcze listy od wielbicieli. Te zostawiamy jej po audycji na biurku. Po zejściu z anteny Madeline lubi przeglądać wszystko, co wygląda na osobistą korespondencję, a to, co uznaje za godne odpowiedzi, zaznacza małymi czerwonymi naklejkami. Nigdy nie zatrzymuje sobie tych listów. Ona tylko absorbuje podziw, a w zamian wydziela arogancję – to taki odpowiednik fotosyntezy. Autorzy listów oznaczonych naklejkami dostają zdjęcie z autografem. Madeline nie odpisuje osobiście, nawet nie podpisuje fotografii – to kolejne zadanie dla asystentki. Patrzę, jak dziewczyna poprawia makijaż, i zastanawiam się, co czuje, zmuszona codziennie udawać kogoś, kim nie jest.

Idę do sali konferencyjnej i czekam z pozostałymi na briefing. Kiedy siadam, Jo kiwa mi głową: jak dotąd PROJEKT MADELINE idzie zgodnie z planem. Słychać niski szum rozmów na temat internetowych pogłosek o odejściu Madeline i cieszę się, że wieść zaczyna się roznosić. Kłamstwa dostatecznie często powtarzane zaczynają brzmieć jak prawda. Podekscytowane szeptu ucinają się, gdy tylko Madeline wchodzi do pokoju. Zatrząskuje za sobą szklane drzwi i siada przy stole. Zgaduję, że ona też sprawdzała już Twittera. Nie umie wydrukować sobie własnych skryptów, ale twittować to potrafi. Wiem, że po każdym programie sprawdza swoje konto, by się upewnić, że pięćdziesiąt tysięcy jej „obserwatorów” nadal ją uwielbia. Na pewno nie była zachwycona odkryciem, że internet szumi od plotek o jej odejściu.

– Gdzie moja kawa? – burczy do nikogo w szczególności.

Jej asystentka oblewa się pąsem.

– Stoi... przed tobą, Madeline – odpowiada, pokazując parujący kubek na stole.

– To nie mój kubek. Ile razy mam ci powtarzać?

– Ale tamten jest w zmywarce.

– To umyj. Ręcznie. Gdzie Matthew?

Patrzę na nią, na tę wzbudzącą respekt kobietę sukcesu, i zastanawiam się, skąd w niej tyle gniewu. Wiem o niej różne rzeczy, których nie powinnam wiedzieć i których ona wolałaby, żebym nie wiedziała, ale to nie tłumaczy jej zjadliwości. Odchrząkuję i zaciskam pięści pod stołem. Czas na moją kwestię.

– Matthew zabrał Jane i Louise na spotkanie przy brunchu – mówię.

– Że jak? Po co? – pyta Madeline.

– Nie jestem pewna. Mówił, że nie będzie go w biurze przez cały dzień.

Madeline milknie na chwilę. Wszyscy czekają, podczas gdy ona spuszcza wzrok na stół i na jej pomarszczonym czole pojawia się mały mars.

– No tak, cóż, więc może ktoś inny zechce mi wyjaśnić, skąd się wziął ten cały pomysł z „kobietami po pięćdziesiątce”? W życiu o tym nie słyszałam, dowiedziałam się dopiero dziś rano.

Pozwalam, by inni jej odpowiedzieli, a sama odchylam się i obserwuję przeciwniczkę. Jej okulary w ciemnych oprawkach balansują na czubku zadartego nosa, a spoza nich martwe oczy strzelają po pokoju.

Stary niedźwiedź mocno śpi.

Długie, wiedźmowate szpony wybijają niecierpliwy rytm na notesie i widzę, że coś wystaje spomiędzy jego białych kartek – prosta krawędź czerwonej koperty. A więc przeczytała. Uśmiecham się do siebie.

Pierwszy etap zakończony.

Przedtem
Czwartek, 24 października 1991

Kochany Pamiętniczku,

Taylor - ta, co siedzi obok mnie na lekcjach - chce się zaprzyjaźnić. Nie powiedziała mi tego, ale i tak widzę. Mam kłopot. Jest miła, choć inni chyba niezbyt ją lubią, ale nie to mi przeszkadza. Bycie lubianym wcale nie jest takie fajne, ludzie za dużo wtedy oczekują. O wiele lepiej wtopić się w tłum, bo kiedy już zabłyśniesz, wszyscy to zauważą.

Dzisiaj przed hokejem, w szatni, jedna z popularnych dziewczyn była dla niej wredna. Kelly O'Neil. Zawsze chodzi opalona, bo jej rodzina ciągle wyjeżdża gdzieś na wakacje, ale to niemiła osoba. Powiedziała, że Taylor jest płaska jak deska. Co za głupota, przecież wszystkie jesteśmy płaskie - mamy dziesięć lat. Pozostałe dziewczyny się roześmiały, nie dlatego, że to było zabawne, ale ponieważ boją się Kelly, co też jest głupie. To tylko rozpieszczona kretynka. Taylor spiekła raka, ale udało jej się zapanować nad łzami. Bunia mówiła, że jak nie wypuści się łez na zewnątrz, zmieniają się w truciznę. Ale mama mówi, że tylko małe dzieci płaczą i że to oznaka słabości. To chyba musi zależeć od rodzaju łez, bo ciągle przyłapuję ją na płaczu.

Są trzy rzeczy, przez które ostatnio płakałam, kiedy nikt nie widział:

1. To, że Bunia nie żyje.
2. To, że atrament z pióra wyciekł mi na Małe kobietki.
3. To, że poszłam do łóżka bez kolacji i brzuch tak mnie bolał, że nie mogłam spać.

Na hokeju było zimno i nudno. W połowie zaczął padać deszcz, ale i tak grałyśmy dalej. Wuefistka powiedziała, że odrobina deszczu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wyglądała, jakby jej samej przydały się ćwiczenia. Mówiła, że murawa na boisku jest miejscami przetarta od zbyt częstego używania, bo nikt o nią nie dba, więc starałam się omijać te łyse placki w nadziei, że to coś pomoże. Biegłam po mokrej trawie do piłki, kiedy nagle się poślizgnęłam. Wyciągnęłam ręce przed siebie, żeby się podeprzeć, i wypuściłam kij. Dopiero, kiedy się podniosłam, zobaczyłam, co się stało. Mój kij poleciał w powietrze i trafił Kelly O'Neil prosto w twarz. Z nosa poleciała jej krew, i w ogóle. To był przypadek, więc nie robiłam sobie zbyt wielkich wyrzutów. Ale Bunia mawiała, że nic nie dzieje się przez przypadek - wszystko ma jakiś powód. Nie wiem, co o tym sądzić. Czasami coś się zwyczajnie przydarza, chociaż wcale się tego nie chciało, i reszta może sobie nie wierzyć, ale to wcale nie znaczy, że zrobiło się to umyślnie.

Właśnie usłyszałam z dołu dźwięk tłuczonego talerza. Przez chwilę nasłuchiwałam na półpiętrze. Tata wrzeszczał, że prawie dostał w głowę. Talerze zwykle same nie latają, więc domyślałam się, że to mama w niego

rzuciła. Jest taki kraj Grecja, gdzie tłucze się talerze dla zabawy. Słyszałam, jak Kelly O'Neil opowiadała o tym w szatni przed hokejem. Była w Grecji na wakacjach. Dwa razy. Ja nigdy nie byłam za granicą, za to byłam w Brighton. Pojechaliśmy tam raz na weekend, ja, mama i tata. Myślę, że rodzice byli wtedy szczęśliwi. Teraz zdecydowanie nie są. Nie pamiętam, jak tata wygląda, kiedy się uśmiecha. Mama cały czas jest smutna i zrobiła się większa niż kiedyś. Zamiast džinsów zaczęła nosić legginsy z gumką elastyczną. Może właśnie dlatego tata cały czas tak się złości. Słyszałam raz, jak mówił, że się zapuściła, co oznacza, że wygląda gorzej niż kiedyś i jest nieładna.

Zamknęłam drzwi do sypialni, ale wciąż ich słyszę. Odbojnik do drzwi po Buni nie ma teraz co robić, więc leży ze mną na łóżku dla towarzystwa. Lubię go, jest zrobiony z ciężkiego brązowego metalu i ma kształt rudzika. To była jedna z ulubionych rzeczy Buni, a teraz moich. Najlepsze w ptakach jest to, że zawsze mogą odlecieć. Ale ten nie może, musi zostać tu ze mną w naszym pokoju. Nie może fruwać ani śpiewać, ani uwić sobie gniazdka gdzieś daleko stąd. Ale założę się, że gdyby mógł, toby tak zrobił.

Muszę się porządnie zastanowić, czy chcę się przyjaźnić z Taylor. Bunia mawiała, że zawsze dobrze jest się przespać z problemem, co oznacza, że jak człowiek zastanawia się wieczorem nad czymś, co go trapi, to potem o tym śni i może rano obudzi się z odpowiedzią w głowie. Ale ja przeważnie zapominam swoje sny zaraz po przebudzeniu, nigdy nie pokazały mi żadnej odpowiedzi.

Wtedy
Wtorek, 20 grudnia 2016 – popołudnie

Wracam do domu wcześniej, licząc na rozmowę z Pauliem, ale go nie ma. Pewnie poszedł na spacer. Często tak robi, mówi, że to mu pomaga w pisaniu, kiedy słowa nie chcą się zjawić. Ostatnio słowa jakoś często się nie zjawiają i wydaje mi się, że w jego świecie musi panować straszna cisza. Dom też jest cichy i nie jestem pewna, co mam robić. Otwieram lodówkę i przyglądam się zawartości o wiele dłużej niż to konieczne, bo w środku prawie nic nie ma. Wyjmuję zimny napój w puszcze i siadam przy kuchennym stole twarzą do ogrodu. Bezchmurne niebo jest jasnoniebieskie, trawa zielona, tylko bezlistne drzewa i chłód w powietrzu zdradzają, że to nie lato. Wszystko wygląda zupełnie inaczej niż w zeszłym tygodniu, kiedy siedziałam któregoś wieczoru sama, a Paul pojechał zbierać jakieś materiały. Byłam przekonana, że ktoś kryje się tam, w mroku, chce się dostać do środka. Przysięgam, że słyszałam kroki i odgłosy, jakby ktoś próbował otworzyć tylne drzwi. Paul uważa, że tylko mi się śniło. Otrząsam się z tej myśli.

Kiedy otwieram puszkę paznokciem, wydaje syczący odgłos, jakby chciała mi zdradzić jakiś sekret. Upijam łyk. Napój jest tak zimny, że bolą mnie zęby, ale mrowienie w ustach sprawia mi przyjemność i wszystko przełykam. Wyglądam na ogród i widzę rudzika siedzącego na płocie. Patrzę na niego, a on zdaje się patrzeć na mnie. Wszystko toczy się tak szybko. Pierzasta kulka rzuca się prosto na mnie z niesamowitą siłą i szybkością, aż nagle na jej drodze stają szklane drzwi. Podrywam się na tępy odgłos uderzenia i niechcący przewracam swój napój. Maleńkie ciało rudzika pada w tył, prawie jak w zwolnionym tempie, i ląduje na trawie. Biegnę do drzwi na taras, ale ich nie otwieram. Stoję tylko i patrzę na ptaszka, który leży na grzbiecie i przebiera skrzydełkami w udawanym locie, oczy ma już zamknięte. Nie jestem pewna, jak długo tkwimy tak zastygli. Stworzonko walczy o oddech, podczas gdy ja mimowolnie go wstrzymuję, ale w końcu dogania nas czas.

Rudzik przestaje się poruszać, skrzydełka opadają mu na bok.

Czerwona pierś zapada się i nieruchomieje.

Dwie maleńkie nóżki opuszczają się na wilgotną trawę.

Z jakiegoś powodu czuję się za to odpowiedzialna, ale nie mogę otworzyć drzwi ani wyjść na zewnątrz, na razie potrzebne mi poczucie bezpieczeństwa płynące z oddzielającej nas bariery szkła. Kucam i spuszczam głowę, żeby się lepiej przyjrzeć, jakbym mogła zobaczyć życie uchodzące z ptaszka przez dziób. Pamiętam, jak jedna znajoma powiedziała mi kiedyś, że rudziki to zmarli przynoszący wiadomość. Zastanawiam się, o jaką wiadomość może chodzić w tym przypadku, i zauważam, że podniosły mi się włoski na ramionach.

Na odgłos pukania w szybę podrywam się zaskoczona. Podnoszę głowę i widzę w oknie twarz Claire. Nie zauważa rudzika, choć stoi o kilka kroków od niego. Wstaję, żeby otworzyć drzwi, i Claire wchodzi do środka, nie czekając na zaproszenie, jakby była u siebie. To ona pomogła nam znaleźć ten dom: wyszukała go w internecie

i umówiła nas z agentem na oglądanie. Nie miałam nic przeciwko, to ładny dom, ale wybranie czegoś i posiadanie tego to dwie różne rzeczy.

– Co robisz? – pyta, zdejmując płaszcz.

Jak zwykle jest idealnie zadbane, mimo dwójki małych dzieci jej ubrania są świeże i czyste, wszystko na swoim miejscu. Nie znoszę tego, że zawsze obchodzi dom dookoła, żeby sprawdzić, czy jestem. Inni zadzwoniliby do drzwi wejściowych i dali sobie spokój, jeśli nikt by nie otworzył, ale nie Claire. Już kilka razy prosiła mnie o zapasowy klucz. Zawsze mówię, że go dla niej załatwię, ale nigdy tego nie robię.

– Nic, zdawało mi się, że coś widziałam.

– Wcześniej dziś wróciłaś.

– Idą święta, więc w pracy jest trochę spokojniej niż zwykle.

– A Paula nie ma? – pyta Claire, odwieszając płaszcz na oparcie kuchennego krzesła. Zachowuje się jak u siebie.

– Wygląda na to, że nie. – Natychmiast żałuję, że użyłam tych właśnie słów. Mój ton nie umyka jej uwadze, jak zawsze zresztą.

– No, to cieszę się, że przyłapałam cię samą – mówi Claire.

Kiwam głową. Faktycznie czuję się przyłapana.

– Masz ochotę na drinka czy coś?

– Nie, nie trzeba, nie mogę długo siedzieć, muszę odebrać bliźniaki – odpowiada, siadając przy stole.

Biorę ścierkę i wycieram wylany napój, a potem siadam naprzeciwko niej. Krzesło nadal jest ciepłe po tym, jak siedziałam na nim wcześniej. Nie mogę się powstrzymać i patrzę przez ramię Claire na martwego ptaka za drzwiami.

– No więc? – pytam, nie chcąc, by zabrzmiało to obcesowo.

Moje rozmowy z siostrą nie przypominają rozmów z innymi ludźmi. To tak jak kiedy człowiek włącza radio, a w nim leci piosenka, którą właśnie nucił sobie w głowie. Nie można było wiedzieć, co się usłyszy, a jednak jakoś się wiedziało. I tak to właśnie wygląda z Claire.

– No więc... martwię się o ciebie. Pomyślałam, że może powinniśmy pogadać – mówi.

– Wszystko w porządku.

– Naprawdę? Bo mam wrażenie, że nie. I nie odbierałaś moich telefonów.

– Jestem ostatnio zajęta. Pracuję na pełny etat. – Przez chwilę przyglądam się jej, grając na czas, podczas gdy moje usta odrzucają wszystkie propozycje słów podsuwane przez umysł.

Claire wygląda o wiele młodziej niż ja, jakby jej twarz przez ostatnie kilka lat zapomniała, że powinna się starzeć.

– Jestem po prostu zmęczona, to wszystko.

Chciałabym móc powiedzieć jej prawdę, podzielić się tajemnicą, jak to siostry, ale nie wiedziałabym, od czego zacząć. Łączy nas wszystko i nic, a nasz język nie obejmuje tego rodzaju słownictwa.

– Pamiętasz tego chłopaka, z którym chodziłam na pierwszym roku studiów? – pytam.

Claire kręci głową. Kłamię i już zaczynam żałować, że w ogóle poruszyłam temat.

– A jak miał na imię?

– Edward. Nie przepadałaś za nim. Nie żeby to ci pomogło go sobie przypomnieć, nigdy nie lubiłaś żadnego z moich chłopaków.

– Paula lubiłam – mówi Claire.

Ignoruję czas przeszły.

– Wpadłam na niego wczoraj na Oxford Street. To był jeden z tych wariackich zbiegów okoliczności.

– Chyba go sobie przypominam. Wysoki, całkiem przystojny, bardzo pewny siebie.

– Właściwie to chyba nawet go nie poznałaś.

– Czy ta historia ma jakąś puentę? Chyba nie zamierzasz uciąć sobie romansu?

– Nie, nie zamierzam ucinać sobie romansu. Tak tylko mówiłam, żeby pogadać.

Przez chwilę gapię się na stół, marząc, żeby Claire sobie poszła, ale nie idzie.

– A jak sprawy z Paulem?

– Ty mi powiedz, ostatnio spędzasz z nim więcej czasu niż ja. – Dziwię się swoim słowom, które są o wiele śmielsze ode mnie. Zapuszczamy się na nieznanym terytorium. Zdaję sobie sprawę, że zaczęłam mówić w języku, którego Claire nie rozumie, i że po raz pierwszy potrzebujemy chyba tłumacza.

Claire wstaje, bierze płaszcz z krzesła. Nie próbuję jej zatrzymać.

– Widzę, że to nieodpowiedni moment. Zostawię cię w spokoju. – Otwiera tylne drzwi i odwraca się. – Pamiętaj, że jestem tuż za rogiem – dodaje i odchodzi.

Jej ostatnie słowa brzmią bardziej jak groźba niż oferta pomocy. Nasłuchuję, jak obchodzi dom. Odgłos kroków na żwirze słabnie, aż wreszcie słyszę trzaśnięcie furtki.

Moje myśli wracają do rudzika. Przez chwilę wydaje mi się, że musiał chyba ożyć i odlecieć, ale kiedy podchodzę do szyby, widzę jego nieruchome brązowe ciało na zielonym dywanie. Nie mogę go tak zostawić, samego i złamanego. Otwieram drzwi i odczekuję kilka sekund, a potem wychodzę, uważając, by nikomu w niczym nie przeszkodzić. Chwilę trwa, zanim zbieram się na odwagę, żeby wyciągnąć rękę i podnieść ptaka. Jest lżejszy, niż myślałam, jakby składał się tylko z piór i powietrza. Odgłos, jaki wydaje jego maleńkie truchło, lądując na dnie pojemnika na śmieci, przypomina dźwięk, jaki wydało jego ciało, uderzając o szybę, i nie mogę się otrząsnąć z poczucia winy, które nagle mnie ogarnia. Wracam do domu i myję ręce, trzykrotnie namydlając je i szorując w strumieniu parzącej wody. Kiedy je osuszam, znowu odkręcam kran i powtarzam cały proces raz za razem, aż zużywam całe mydło. Wpycham dłonie, tym razem wciąż mokre, do kieszeni i usiłuję o nich nie myśleć. Dziwnie się czuję, pozbywając się tak czyjegoś życia jak śmiecia. W jednej minucie sobie było, w kolejnej zniknęło, a wszystko z powodu jednej złej decyzji, jednego niewłaściwego zwrotu.

Teraz
Środa, 28 grudnia 2016 – rano

Coraz trudniej jest mi odróżnić sen od jawy, ale boję się i jednego, i drugiego. Nawet jeśli pamiętam, gdzie jestem, to nie wiem kiedy. Nadszedł świt, ale nie ma już popołudnia ani wieczoru. Uciekłam przed czasem i chciałabym, żeby znowu mnie znalazł. Czas. Ma swój własny zapach. Jak znajomy pokój. Kiedy nie należy już do ciebie, zaczynasz za nim tęsknić, ślinisz się i łakniesz go, odkrywasz, że zrobiłabyś wszystko, byle go odzyskać. Dopóki znowu nie stanie się twój, wykradasz sekundy i pochłaniasz źle wykorzystane minuty, sklejjąc je w delikatny łańcuch pożyczonych chwil, z nadzieją, że będzie można je rozciągnąć. Że to wystarczy, by dotrzeć do następnej strony. O ile będzie jakaś następna strona.

Czuję zapach swojego straconego czasu. I czegoś jeszcze. Jestem teraz sama. Paul nie wrócił i nikt nie zaglądał do mojego pokoju, od kiedy zaczęłam liczyć sekundy. Dałam sobie spokój po siedmiu tysiącach, co oznacza, że od dwóch godzin leżę we własnym gównie.

Często pojawiają się głosy, które budzą mnie z mojego snu we śnie. Zaczynają brzmieć znajomo. Do pokoju przychodzą te same pielęgniarki, sprawdzają, czy nadal oddycham i śpię, a potem znowu zostawiają mnie samą z myślami i obawami. Nie, jestem niesprawiedliwa, robią nie tylko to. Przewracają mnie, choć nie jestem pewna po co. W tej chwili leżę na lewym boku, czyli tak, jak lubiałam spać, kiedy miałam jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie. Decydowanie jest to coś, co odeszło w przeszłość. Większość gówna leży po wewnętrznej stronie mojego lewego uda. Czuję jego dotyk i zapach. Nie mogę zamknąć ust, więc niemal czuję jego smak i na samą myśl chce mi się wymiotować, ale to tylko kolejna rzecz, której nie jestem w stanie zrobić. Rurka w gardle stała się częścią mnie i prawie jej nie zauważam. Wyobrażam sobie siebie jako nowego potwora w *Doktorze Who*. Pół kobieta, pół maszyna; skóra i kości splecione z rurkami i kablami. Chcę, żeby mnie umyli, zanim wróci Paul. Jeśli wróci. Drzwi się otwierają i już myślę, że to on, ale zapach białego piżma mówi mi, że nie.

– Dzień dobry, Amber, jak się dziś czujemy?

Niech pomyślę: tonę w gównie, jadę gównem, czuję się gówniano.

Czemu ci ludzie ciągle do mnie mówią? Przecież wiedzą, że nie mogę odpowiedzieć, zresztą tak naprawdę nie wierzą, że ich słyszę.

– Ojejku, tylko spokojnie, zaraz cię wyczyścimy.

Dziękuję.

Myją mnie we dwie. Nigdy się nie przedstawiły, więc nie wiem, jak naprawdę się nazywają, ale nadałam im wymyślone imiona. „Pielęgniarka z Północy” mówi, jakby pochodziła z Yorkshire. Ma tendencję do mruczenia pod nosem podczas pracy, ale nawet wtedy jej samogłoski wydają mi się nadmiernie okrągłe. Jej dłonie są szorstkie i pospiesznie wykonują zadania. Szoruje moją skórę, jakbym była brudną patelnią z upartymi plamami, i wydaje się wiecznie zmęczona. Dzisiaj towarzyszy jej

„Pielęgniarka Czterdzieści-na-dzień” – można się domyślić, o co chodzi. Jej głos jest chrapliwy i niski, a ona sama wydaje się stale niezadowolona ze świata. Gdy stoi blisko mnie, czuję nikotynę na jej palcach, w jej oddechu, słyszę ją w jej płucach. Kiedy mnie myją, słucham odgłosów wydawanych przez ich plastikowe fartuchy. Plusk wody w misce, zapach mydła, dotyk dłoni w rękawiczkach na mojej skórze.

Kończą i przewracają mnie na prawą stronę. Nie lubię leżeć na prawym boku, mam wrażenie, że to nienaturalna pozycja. Jedna z pielęgniarek czesze mi włosy, trzyma je przy nasadzie, żeby nie szarpać. Stara się nie przysparzać mi jeszcze więcej bólu. Przypomina mi to, jak babcia czesała mnie, kiedy byłam dziewczynką. Pielęgniarka z Północy czyści wnętrze moich ust czymś, co sprawia wrażenie małej gąbki, a potem wciera mi w suche i obolałe wargi trochę wazeliny. Zapach oszukuje mój mózg i wydaje mi się, że czuję smak maści. Czasami pielęgniarka mówi mi, co robi, a czasami o tym zapomina. Tak naprawdę chciałabym odrobinę wody, ale tego mi nie daje. Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale już zaczynam się oswajać z tą nową rutyną. Dziwne, jak szybko można się do czegoś przyzwyczaić. Przez głowę przesuwa mi się wspomnienie i myślę o babci, kiedy umierała. Ciekawe, czy jej też chciało się pić. *Jadą, jadą misie, tra la la la la.*

Kiedy zjawia się on, jest już później, o wiele później. Jego głos wdziera się przez mur, który wokół siebie zbudowałam.

– Puścili mnie na razie, ale wiem, że ich zdaniem to ja cię skrzywdziłem. Amber, musisz się obudzić – mówi.

Zastanawiam się, dlaczego nawet się nie przywitał, zanim zaczął stawiać mi żądania. Ale potem przypominam sobie, że nie słyszałam, jak wchodzi, więc może jest tu już od jakiegoś czasu, może powiedział coś więcej, tylko ja nie słuchałam. Jego głos sprawia wrażenie kiepskiej imitacji siebie samego. Nie potrafię dokładnie zinterpretować jego tonu, co wydaje się niewłaściwe, bo przecież jestem jego żoną. Powinam chyba umieć rozróżnić, czy jest zły, czy przestraszony. Może w tym cały problem – może to jedno i to samo.

Pamiętam, że odszedł z policją. Nie opowiada o tym, choć bardzo na to czekam. Czyta mi gazetę, mówi, że zdaniem lekarza to może pomóc. Wszystkie artykuły są smutne i zastanawiam się, czy pominął te wesołe, czy po prostu nie ma już żadnych wesołych tematów. W końcu zupełnie milknie i mam do niego żal o słowa, których nie wypowiada. Chcę, żeby powiedział mi wszystko, co mu się przydarzyło, kiedy był z dala ode mnie. Muszę to wiedzieć. Czas idzie naprzód, od kiedy mnie zostawił, i nie mogę go dogonić. Słyszę, jak Paul wstaje, i próbuję sama wypełnić luki. Wrócił tu, więc go nie aresztowano, ale coś jest nie tak. Wciąż przebywa w pokoju, lecz odarto go z głosu. Wyobrażam sobie, że się na mnie gapi, i czuję się skępowana, wstydzę się tego, jak muszę w tej chwili wyglądać w jego oczach. Przynoszę mu same rozczarowania.

Nie mając się na czym skupić, zaczynam odpływać. Głosy w mojej głowie są głośniejsze od ciszy w pokoju. Najgłośniejszy jest mój własny, przypominający mi o rzeczach, które powiedziałam i zrobiłam, których nie zrobiłam, które powinnam była zrobić. Czuję, kiedy to nadchodzi. Zawsze przed wielką falą pojawiają się zmarszczki na wodzie. Nauczyłam się już pozwalać, by fala mnie uniosła; lepiej się nie szarpać –

wypluje mnie, kiedy sama będzie na to gotowa. Obawiam się, że któregoś dnia ciemna woda zassie mnie na dno na zawsze, że kiedyś nie będę w stanie się wynurzyć. Guziki mogą być włączone lub wyłączone. Ludzie mogą stać albo leżeć. Kiedy leżę, bardzo trudno mi się podnieść, a nigdy jeszcze nie upadłam tak nisko. Nawet gdybym potrafiła sobie przypomnieć powrotną drogę do normalności, chyba nie rozpoznałabym samej siebie.

– Szkoda, że nie wiem, czy w ogóle mnie słyszysz – mówi Paul.

Kręci mi się w głowie, a kiedy próbuję się skupić na jego słowach, trzeszczą i się zniekształcają. Jego ton zmienia się w coś agresywnego i słyszę pisk krzesła na podłodze, kiedy Paul wstaje. Brzmi to jak ostrzeżenie. Nachyla się nade mną, jego twarz jest blisko. Przygląda mi się, jakby myślał, że tylko udaję.

Wtedy czuję duże dłonie zaciskające się na moim gardle.

Trwa to krócej niż sekundę i natychmiast wiem, że nie była to prawda, nie mogła być. Może to tylko ciemny przeblýsk jakiegoś wspomnienia, o którym wolałabym zapomnieć, ale nawet to nie ma sensu, Paul by tego nie zrobił. Próbuję zrozumieć, co właściwie poczułam, ale nie pamiętam już, co jest jawą. Paul chodzi po pokoju w tę i z powrotem, chciałabym, żeby stanął spokojnie. Wysiółek, jakiego wymaga nasłuchiwanie jego kroków, jest wyczerpujący. Nie chcę się bać własnego męża, ale on nie jest sobą i nie znam go w tej wersji.

Przychodzi Claire i krótkie poczucie ulgi zostaje wymazane przez falę niezrozumienia. Spodziewam się, że znowu zaczną się kłócić, ale tak się nie dzieje. Myślałam, że Paul sobie teraz pójdzie, ale też nie.

Drepczesz ty, drepczę ja, drepczmy razem raz i dwa.

Coś się między nimi zmieniło.

Idziesz ty, idę ja, idźmy razem raz i dwa.

Brzmi to, jakby się obejmowali. Powściągam nadzieję, że Claire spyta, co się wydarzyło na komisariacie; z ich rozmowy jasno wynika, że już to wie.

Skaczesz ty, skaczę ja, skaczymy razem raz i dwa.

Wątek się zagęszcza i ciągnie dalej bez mojego udziału, poza drzwiami tego pomieszczenia.

Idziesz ty, idę ja, idźmy razem raz i dwa.

Jestem zazdrosna o to, co wie Claire. O wszystko jestem zazdrosna.

Kiedy mama i tata przywieźli ją do domu, w kółko tylko płakała. Wymagała całej ich uwagi i zachowywała się w taki sposób, że nasze życie siłą rzeczy zaczęło się obracać wokół niej. Od tego czasu rodzice nie słyszeli już mojego płaczu, w ogóle mnie już nie widzieli. Stałam się niewidzialną córką. Jej krzyki w nocy wszystkich nas wrywały ze snu, ale zawsze wstawiała do niej tylko mama. To ona od początku jej pragnęła, ja jej nie wystarczałam, tyle przynajmniej jest dla mnie jasne. Nasza rodzina zwiększyła się z trzech osób do czterech, choć tak naprawdę nie było nas na to stać; miłości nie starczało dla wszystkich.

Wtedy
Wtorek, 20 grudnia 2016 – wieczór

Byłam na zakupach. Tym razem spożywczych. Najpierw wypakowuję mrożonki, potem to, co idzie do lodówki, potem resztę. Przy okazji przestawiam wszystko tak, by każda rzecz była na swoim miejscu. Najwięcej pracy wymaga spiżarka. Wyjmuję po kolei każdą puszkę, butelkę i każdy słoik. Wycieram wszystkie półki i zaczynam od początku, ostrożnie układając pojemniki według rozmiarów, etykietkami do przodu. Kiedy kończę, jest już zupełnie ciemno. Widzę, że w komórce na drugim końcu ogrodu świeci się światło, co znaczy, że Paul wciąż tam siedzi i pisze. Może wreszcie ma wenę. Wstawiam do lodówki butelkę cavy. Zwycięstwo, które odniosłam dziś w pracy, było niewielkie, ale warto je uczcić. PROJEKT MADELINE rozpoczął się bardzo pomyślnie. Zauważyłam w drzwiach lodówki na wpół opróżnioną butelkę białego wina – nie przypominam sobie, żebym ją wcześniej widziała. Nie pijam białego i Paul też nie. Może potrzebne mu było do jakiegoś przepisu. Wyjmuję butelkę, nalewam sobie kieliszek i zaczynam gotować. Wino smakuje jak kocie siki, ale mam pragnienie, więc i tak je piję.

Kiedy kolacja jest prawie gotowa, zastawiam stół w jadalni, przy którym rzadko siadamy, włączam muzykę i zapalam świece. Brakuje już tylko męża. Nie lubi, żeby mu przeszkadzano, kiedy pisze, ale jest po ósmej, a chciałabym spędzić z nim to, co zostało jeszcze z wieczoru. Uspokoi się, jak tylko mu powiem, że przygotowałam jagnięcinę, to jego ulubione mięso.

Wychodzę do ogrodu, zimno uderza mnie w policzki. Trawnik jest miejscami trochę śliski i prawie nic nie widzę. Przytłumione światło z komórki niespecjalnie pomaga.

– Witam pana pisarza – mówię śmiesznym, grubym głosem, otwierając drzwi.

Mój uśmiech szybko gaśnie, kiedy odkrywam, że w środku nikogo nie ma. Stoję przez chwilę i rozglądam się, jakby Paul mógł się gdzieś ukrywać, po czym wyglądam z powrotem na dwór, patrzę w ciemnościach po ogrodzie, jakby miał wyskoczyć zza krzaka, krzycząc „Kuku!”.

– Paul? – Nie wiem, czemu wołam jego imię, kiedy oczy mówią mi wyraźnie, że go tu nie ma.

Czuję narastającą w piersiach i gardle panikę. W domu też go nie ma, przecież siedzę tam od kilku godzin, zobaczyłabym go albo usłyszała. Mój mąż, który zawsze jest w domu, nagle zniknął, a ja byłam tak pochłonięta sobą, że nawet tego nie zauważyłam. Ale nie mogę popadać w panikę. Zawsze miałam nadpobudliwą wyobraźnię i tendencję do wyobrażania sobie najgorszego. Na pewno istnieje jakieś proste wytłumaczenie nieobecności Paula, jednak głosy w mojej głowie są mniej optymistyczne. Biegnę z powrotem, potykając się i ślizgając na błotnistej trawie.

W domu znowu go wołam. Nic. Dzwonię na jego komórkę. Słyszę z góry cichy dźwięk jego telefonu. Zdaję sobie sprawę, że dociera on z naszej sypialni, i czuję przyływ ulgi. Może Paul się zdrzemnął, a może źle się czuje. Biegnę na górę, otwieram drzwi do sypialni, śmiejąc się ze swojej paniki. Łóżko jest pościelone, a Paula w nim nie

ma. On nigdy nie ścieli łóżka. Stoję przez chwilę, nic nie rozumiejąc, i znowu wybieram jego numer. Rozlega się znajomy sygnał, więc jestem we właściwym pomieszczeniu... ale dźwięk dobiega z zamkniętej szafy. Ręka drży mi lekko, kiedy sięgam po klamkę. Mówię sobie, że to głupie, na pewno istnieje jakieś proste wyjaśnienie całej sytuacji; Paul nie kryje się przede mną, nie jesteśmy dziećmi, które bawią się w chowanego, a to nie jest jakiś horror, gdzie w szafie leżą zwłoki. Przekręcam klamkę, otwieram drzwi. Nic. Znowu wybieram numer i widzę blask ekranu w kieszeni ulubionej marynarki Paula. Zagadka zaginionego telefonu została rozwiązana, ale gdzie jest zaginiony mąż? Nagle zauważam elegancką różową torebkę na prezent, ukrytą częściowo pod stosikiem dzinsów i bawełnianych koszulek, które Paul nazywa swoim „pisarskim uniformem”. Wyciągam ją i zaglądam do środka, ostrożnie rozsuwając bibułę, w którą owinięta jest zawartość. Czarna satyna i koronka wydają się obce moim palcom – takie rzeczy nosiłam dawno temu. Może to gwiazdkowy prezent dla mnie. Choć Paul normalnie nie kupuje takich rzeczy. Stanik wygląda na nieco za mały. Sprawdzam metkę, niewłaściwy rozmiar – mam nadzieję, że Paul zachował paragon.

Wracam na dół jak nieprzytomna, sprawdzam, czy piekarnik jest wyłączony. Mój wzrok przyciąga pusta już butelka po białym winie i nagle ją rozpoznaję. To jeden z ulubionych gatunków Claire. Ona tu była. Zatykam usta dłonią, biegnę do kuchennego zlewu i wymiotuję. Kiedy w żołądku nic już nie ma, spluwam, odkręcam kran i ocieram twarz ściereczką. Sprawdzam trzy razy piekarnik, a potem łapię torebkę i szybko przeglądam jej zawartość. Telefon. Portfel. Klucze. Patrząc na nie, kolejno wypowiadam te słowa na głos, tak jakby rzeczy stawały się realne dopiero wtedy, kiedy wymówię ich nazwę. Idę do wyjścia, zatrzymuję się w przedpokoju, znowu otwieram torbę. Telefon. Portfel. Klucze. Tym razem mówię wolniej, a moje oczy zatrzymują się na każdym przedmiocie na tyle długo, bym uwierzyła w to, co widzę. Przed zamknięciem drzwi sprawdzam wszystko jeszcze raz.

Claire mieszka niecałą milę od nas. To krótki spacer, ale powinnam była włożyć płaszcz, jest strasznie zimno. Idę, obejmując się ramionami, spojrzenie wlepiam w chodnik. Mijając rząd identycznych domów, wyczuwam lekką woń gazu, która wkrada mi się do nosa i do gardła, co sprawia, że robi mi się niedobrze. Przyspieszam kroku. Claire i jej mąż mieszkają przy tej ulicy od dawna, wykupili wreszcie swój dom oraz sąsiadujący z nim warsztat, w którym pracuje David. Znam tę okolicę tak dobrze, że mogłabym przejść od siebie do drzwi Claire z zamkniętymi oczami. Ale tego nie robię. Oczy mam otwarte i natychmiast zauważam auto Paula. Wyróżnia się spośród innych. Używany zielony MG midget z 1978 roku, pieczołowicie przywrócony do stanu świetności. Paul kupił go za zaliczkę na pierwszą powieść i kocha go niemal równie mocno, jak ja nie znoszę.

Ze ściśniętym sercem maszeruję podjazdem, niemal tracę oddech. W torebce mam zapasowy klucz do domu Claire, ale czułabym się niezręcznie, wchodząc bezceremonialnie do środka. Claire dała go, licząc, że odwdzięczę się tym samym. Nie zrobiłam tego.

Dzwonię do drzwi raz za razem, chcąc, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło – cokolwiek „to” jest. Od mrozu bolą mnie ręce, widzę swój oddech. Słyszę, jak w środku zaczyna płakać dziecko, za matowym szkłem widzę rozmyty,

powiększający się zarys dorosłej postaci. Mąż Claire szarpnięciem otwiera drzwi i wita mnie z miną, jaką ja zarezerwowałabym dla domokrażców. Nie jestem pewna, czemu za sobą nie przepadamy. W końcu coś nas przecież łączy: mamy Claire.

– Cześć, Amber. Dzięki, że obudziłaś dzieciaki – mówi bez cienia uśmiechu.

Nie zaprasza mnie do środka. Mój szwagier to rośły mężczyzna, któremu brak czasu i cierpliwości. Wciąż ma na sobie robocze spodnie.

– Strasznie cię przepraszam, zupełnie o tym nie pomyślałam. Może to zabrzmiało dziwnie, ale czy jest tu Paul?

– Nie – mówi David. – A powinien być? – Wygląda na zmęczonego, pod oczami ma ciemne kręgi.

Małżeństwo z moją siostrą go postarzyło. Claire mówi na niego David, więc i my tak się do niego zwracamy, ale wszyscy inni nazywają go Dave.

– Jest tu jego samochód – mówię.

David wygląda za mnie i patrzy na stojące przed warsztatem auto.

– Rzeczywiście.

Kiedy nic nie odpowiadam, zmarszczka na jego czole się pogłębia, jakby miała mu pęknąć twarz. Dave spuszcza wzrok na moje stopy, więc ja również na nie patrzę. Nadal jestem w kapciach. Spoglądają na mnie dwa zabrudzone pyszczki filcowych psiaków, w ich wyszywanych oczach miesza się w równej mierze zdumienie co litość. Znalazłam je w supermarkecie, w dziale dziecięcym, ale pasowały i podobały mi się.

– Wszystko w porządku? – pyta David.

Zastanawiam się nad tym pytaniem i udzielam najuczciwszej odpowiedzi, jaka przychodzi mi do głowy.

– Nie, właściwie nie. Nie wydaje mi się. Muszę porozmawiać z Claire, zastałam ją?

David staje nieco prościej i wygląda, jakby nic nie rozumiał, po czym na jego twarzy pojawia się dziwny wyraz.

– Claire nie było przez cały dzień. Myślałem, że jest z tobą.

Przedtem
Środa, 13 listopada 1991

Kochany Pamiętniczku,
już od miesiąca mam dziesięć lat, ale nie wydaje mi się, żeby przekroczenie dwucyfrowej granicy coś we mnie zmieniło, choć mama mówiła, że tak będzie. Nadal nie wolno mi robić masy rzeczy, nadal jestem dość niska i nadal tęsknię za Bunią. Strasznie się wściekam na mamę, z wielu powodów, ale przede wszystkim za to, co zrobiła dziś wieczorem na zebraniu rodzicielskim. Poszła sama, bo tata pracuje po godzinach. Mówiła, że może znowu będzie musiał nocować w pracy, ostatnio nic, tylko haruje. A skoro nie mogła rozmawiać w szkole z tatą, zaczęła rozmawiać z innymi rodzicami. Kiedy wróciła do domu, była bardzo zadowolona, nie z powodu moich świetnych stopni, jak normalny człowiek, tylko dlatego, że poznała mamę Taylor i cieszyła się, że „znalazłam sobie taką przyjaciółkę”. Nie mogła przestać o tym nawijać i ciągle pytała, czemu nic nie wspominałam o Taylor. Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać, i przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu.

Kiedy wreszcie do niej dotarło, że nie jestem w nastroju do rozmowy, wstała od stołu i zrobiła sobie mojito. Nie wiem, co w tym jest, ale ona nazywa to swoim drinkiem na dobry humor. Dla mnie zrobiła lemoniadę z dużą ilością lodu i odrobiną mięty na wierzchu, żeby wyglądała jak jej napój. Kiedy nie patrzyła, wyłowiałam miętę. Potem wyjęła z zamrażalnika kurczaka w panierce i karbowane frytki – to mój ulubiony obiad w jej wykonaniu. Wyciągnęła z szafki keczup i postawiła go do góry dnem, a potem przygotowała dwa nakrycia, używając do tego najlepszej zastawy Buni. Taty nie było w domu, więc przeniosła mały telewizorek z jego gabinetu do kuchni i oglądałyśmy przy jedzeniu Coronation Street, żebyśmy nie musiały się wysilać na szukanie tematów do rozmowy. Właściwie było całkiem miło, ale nagle, zaraz po trzecim mojito (liczyłam tylko na wszelki wypadek – może to właśnie przez to mama wciąż tyje), wszystko zepsuła.

- Tak świetnie sobie radzisz w nowej szkole, że przygotowałam dla ciebie niespodziankę – powiedziała.

Oczy miała lekko przymknięte, jak zwykle, kiedy pije; nawet w środku dnia potrafi wyglądać na śpiącą. Spytałam, czy to deser, ale powiedziała, że nie, i z bardzo poważną miną zapytała, czy już zapomniałam, co dentysta mówił o zębach i cukrze. Nie zapomniałam, ale nie bardzo się tym przejmowałam. Bunia zawsze szykowała coś na deser, i to nie z torebki, wszystko robiła sama. Tort czekoladowy, biszkopt, lepki pudding z toffi, jabłka zapiekane pod kruszonką, same pyszności. Jak się zastanowić, to Bunia w ogóle nie miała żadnych zębów, tylko te sztuczne, które na noc trzymała w szklance przy łóżku. Ale i tak chciałabym jadać ciasto, nawet gdyby zęby miały mi wypaść

jak jej. Mama spytała, czy słucham – jak zawsze, kiedy zaczynam się nad czymś zastanawiać do tego stopnia, że przestaje do mnie docierać, co mówi. Kiwnęłam głową, ale milczałam, bo byłam trochę zła, że nie będzie żadnego deseru. Mama uśmiechnęła się, nadal z przymkniętymi oczami.

– Zapytałam mamę Taylor, czy Taylor nie mogłaby w przyszłym tygodniu przyjść do nas w odwiedziny, żeby się z tobą pobawić. I się zgodziła. Ale będzie miło, prawda? – Dopija drinka i odstawia szklankę na stół, po czym spojrzała na mnie z wielkim, głupim uśmiechem na tłustej buzi. – Wybierzemy wieczór, kiedy tata ma pracę, więc będziemy tylko we trzy, same dziewczyny. Będzie fajnie, zobaczysz!

Byłam tak wściekła, że nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź. Wstałam od stołu, nie prosząc o pozwolenie, pobiegłam na górę do swojego pokoju, podniosłam odbojnik i zamknęłam drzwi. Nawet nie dojadłam karbowanych frytek. Myślałam, że się rozpłaczę, ale tego nie zrobiłam.

Taylor nie może tu przyjść. Przecież nawet nie zdecydowałam, czy w ogóle będę się z nią przyjaźnić. Jestem strasznie wściekła na mamę. Nie znoszę jej z całej masy powodów, ale w tej chwili przychodzą mi do głowy trzy najważniejsze:

1. Za dużo pije.
 2. Cały czas kłamie, na przykład wtedy, kiedy mówi, że nie będziemy musieli się znowu przeprowadzać.
 3. Chce, żebym była jak inne dzieci.
- Nie jestem jak inne dzieci. Mama wszystko zepsuła. Znowu.

Teraz
Środa, 28 grudnia 2016

Rodzice wreszcie raczyli się pojawić w szpitalu, słyszę ich głosy na długo przed tym, nim wchodzi do pokoju. Małżeństwa takie jak ich to rzadkość – miłość, która przetrwała ponad trzydzieści lat. Ale to ten rodzaj miłości, który budzi we mnie smutek i poczucie pustki, oparty na przyzwyczajeniu i zależności – ta miłość nie jest prawdziwa. Drzwi się otwierają i czuję perfumy mamy: zbyt kwiatowe, zbyt mocne. Słyszę, jak tata odchrząkuje w ten swój denerwujący sposób. Stają w nogach mojego łóżka, jak zwykle trzymając się na dystans.

– Strasznie wygląda – mówi tata.

– Na pewno w rzeczywistości nie jest tak źle – odpowiada mama.

Minął prawie rok, od kiedy ostatni raz ze sobą rozmawialiśmy, i nie wyczuwam w ich głosach ani śladu czułości.

– Ona chyba nas nie słyszy – mówi mama.

– Powinniśmy jeszcze trochę zostać, tak na wszelki wypadek – mówi tata, siadając przy łóżku. Kocham go za to. – Nic ci nie będzie, Orzeszku – dodaje, biorąc mnie za rękę.

Wyobrażam sobie łzę spływającą po jego policzku. W mojej wyobraźni zawisa mu z brody, po czym skapuje na białe szpitalne prześcieradło. Nigdy nie widziałam, by ojciec płakał. Dotyk jego palców obejmujących moją dłoń przywodzi mi na myśl wspomnienie pewnego dnia, kiedy miałam pięć czy sześć lat. Szliśmy za rękę. Claire nie wkroczyła jeszcze do naszego świata. Szliśmy do banku i tata się spieszył. Często mu się to zdarzało. Jego długie nogi stawiały gigantyczne kroki, a ja biegłam, by za nim nadążyć. Tuż przed bankiem potknęłam się i upadłam. Miałam wielkie rozcięcie na kolanie, cienkie strumyczki krwi ściekały mi po nodze, plamiąc białą skarpetkę. Bolało, ale nie płakałam. Tata wyglądał, jakby mi współczuł, jednak nie pocałował mnie w kolano i nadal słyszę jego głos.

„Nic ci nie będzie, Orzeszku”.

Tylko tyle. I znowu pospieszyliśmy do banku, tym razem nieco wolniej.

Kiedy pojawiła się Claire, zajmowali się nią o wiele lepiej niż mną. Była niczym nowa, śliczna lalka, podczas gdy ja byłam już popsuta i podrapana. Mnie tata nazywał swoim Orzeszkiem. A Claire – Księżniczką. Nie nienawidzę rodziców – nienawidzę tylko tego, że przestali mnie kochać.

Powietrze w pokoju gęstnieje od ciszy i wyrzutów sumienia, po czym drzwi znowu się otwierają i wszystko ulega zmianie.

– Co u was? – pyta moja siostra.

Słyszę odpowiedź Paula i dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że przez cały ten czas był z nami w pokoju. Jest jeszcze bardziej niezręcznie, niż myślałam. Paul i moi rodzice nie przepadają za sobą. Tata uważa, że pisanie to nie jest prawdziwy zawód, a mężczyzna bez prawdziwego zawodu nie jest prawdziwym mężczyzną.

– Jakież wieści? – pyta Claire.

– Mówią, że jest w stabilnym stanie, ale jeszcze za wcześnie, żeby powiedzieć, co dalej – odpowiada Paul.

– Musimy być dobrej myśli – mówi Claire.

Łatwo jej mówić.

Tyle pytań chciałabym zadać. Jeśli jestem w stabilnym stanie, zapewne oznacza to, że nie umrę. W każdym razie jeszcze nie teraz, bo kiedyś przecież wszyscy umrzemy. Z mojego doświadczenia wynika, że życie jest bardziej przerażające od śmierci, zresztą nie ma sensu obawiać się czegoś, czego i tak nie unikniemy. Odkąd tu leżę, najbardziej boję się tego, że nigdy do końca się nie wybudzę. Przeraża mnie myśl, że pozostanę na zawsze uwięziona w swoim ciele. Próbuję wyciszyć umysł i skupić się na głosach. Czasem słowa do mnie docierają, czasem gubią się po drodze albo nie do końca mogę je sobie przetłumaczyć na coś sensownego.

Nasza rodzina od tak dawna nie była razem... Aż dziw pomyśleć, że wszyscy zgromadziliśmy się przy moim szpitalnym łóżku. Kiedyś spędzaliśmy wspólnie każde Boże Narodzenie, ale potem jakoś się to urwało. Stanowię ośrodek tego zgromadzenia, a mimo to jestem niewidzialna. Nikt nie trzyma mnie już za rękę. Nikt nie płacze. Nikt nie zachowuje się tak, jak powinien, i w ogóle mam wrażenie, jakbym dla nich nie istniała.

– Wyglądacie na zmęczonych – mówi Claire, troskliwa córka. – Może poszlibyśmy coś zjeść?

Nikt się nie odzywa, aż wreszcie głos ojca przełamuje ciszę:

– Po prostu się trzymaj, nic więcej nie musisz robić.

Czemu wszyscy nalegają, żebym się trzymała? Czego mam się trzymać? Nie muszę się trzymać, muszę się obudzić.

Paul całuje mnie w czoło. Już myślę, że ze mną zostanie, ale on idzie do drzwi i wychodzi za resztą z pokoju. Nie wiem, czemu się dziwię, że mnie porzucają, w końcu zawsze tak było. Claire odbiera mi wszystkich, których kocham.

Słyszę, jak deszcz zaczyna uderzać mocno o niewidoczną szybę w moim wyobrażonym pokoju. Wodna kołysanka odwraca moją uwagę od gniewu, ale nie wystarcza, by go uciszyć.

Nie pozwolę jej odebrać sobie nikogo więcej.

Nagła wściekłość rozprzestrzenia się w moim umyśle jak wirus. Głos w głowie, który brzmi tak podobnie do mojego, jest głośny, wyraźny i rozkazujący.

Muszę się podnieść z tego łóżka, muszę się obudzić.

I nagle to robię.

Nadal słyszę odgłosy urządzeń, które za mnie oddychają, karmią mnie i sączą we mnie leki, bym nie czuła tego, czego nie wolno mi czuć, ale kable zniknęły, usunięto mi też rurkę z gardła. Otwieram oczy i siadam. Muszę komuś powiedzieć. Wyskakuję z łóżka, podbiegam do drzwi, szarpnię za nie i wybiegam, ale upadam, ląduję ciężko na ziemi. Dopiero wtedy zauważam, jak mi zimno, dopiero wtedy czuję deszcz. Boję się otworzyć oczy, a kiedy wreszcie to robię, widzę ją, dziewczynkę bez twarzy w różowym szlafroku, leżącą ze mną na środku drogi. Nie mogę się ruszyć, wszystko jest nieruchome, jakbym patrzyła na obraz.

Widzę rozbity samochód i uszkodzone drzewo, którego grube korzenie ożywają, suną

w naszą stronę. Owijają się wokół naszych ramion, nóg i korpusów, przyciskają nas do siebie, przyszpilając do asfaltu, tak że jesteśmy niemal całkowicie ukryte przed resztą świata. Wyczuwam, że dziewczynka jest przerażona, więc mówię, żeby się nie bała, proponuję, żebyśmy coś sobie zaśpiewały. Nie chce. Jeszcze nie. Deszcz zaczyna padać mocniej i obraz, w którym jestem uwięziona, zaczyna się rozmazywać, zacierać. To tak, jakby ulewa próbowała nas zmyć, jakbyśmy nigdy nie istniały. Krople spadają z taką siłą, że odbijają się od asfaltu, trafiają mi do ust i nosa. Czuję, że zaczynam tonąć w tej brudnej akwareli, a wtedy, równie nagle jak zaczął, deszcz ustaje.

Bez mroku gwiazdy nie mogłyby błyszczeć, szepcze dziewczynka.

Korzenie drzewa nadal unieruchamiają mi ciało, ale odwracam głowę, by spojrzeć na nocne niebo. Kiedy tak patrzę, gwiazdy stają się jaśniejsze, większe i bardziej realne niż kiedykolwiek przedtem. Wtedy dziewczynka zaczyna śpiewać.

Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma, kto nie uciekł tam z auta?

Korzenie rozluźniają się, moje ramiona pokrywa gęsia skórka, spoglądam w kierunku, który wskazuje teraz dziewczynka. Rzeczywiście, we wnętrzu samochodu widać czyjś cień. Drzwi od strony kierowcy się otwierają i na zewnątrz wydostaje się czarna postać, która odchodzi. Wszystko cichnie. Wszystko nieruchomieje.

Dźwięk otwieranych drzwi ściąga mnie z powrotem do ciała śpiącego w szpitalnej celi. Wszystko, co widziałam i czułam, znika. Koszmar się skończył, ale nadal się boję. Tamtej nocy nie byłam w samochodzie sama, jestem tego pewna. A teraz ktoś wszedł do mojego pokoju i czuję, że wszystko jest inaczej, niż powinno.

– Słyszysz mnie?

To mężczyzna. Nie rozpoznaję jego głosu. Kiedy podchodzi do łóżka, ogarnia mnie strach.

– Pytałem, czy mnie słyszysz – powtarza.

Staje tuż przy mnie i zadaje to samo pytanie po raz trzeci. Wzdycha i odsuwa się o krok. Otwiera coś obok łóżka i słyszę dźwięk uruchamianego telefonu. Mojego telefonu. Rozlega się odgłos wprowadzania kodu zabezpieczającego, którego nigdy nie zmieniam. Kimkolwiek jest ten człowiek, odsłuchuje wiadomości na mojej komórce. Są trzy, słyszę je, ale słabo. Pierwszy głos należy do mojej siostry. Mówi, że dzwoni tylko, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, choć po tonie można się domyślić, że Claire wie już, iż odpowiedź brzmi: „Nie”. Potem jest wiadomość od rozeźlonego Paula. Chce wiedzieć, gdzie jestem. A potem ten obcy człowiek w moim pokoju odsłuchuje trzecią wiadomość i słyszę z telefonu jego głos.

Przepraszam za to, co się stało, to wszystko dlatego, że cię kocham.

Mam wrażenie, jakby całe moje ciało pokrył lód. Słyszę pisk sygnału.

Wiadomość skasowana. Nie masz więcej wiadomości.

Nie znam tego mężczyzny. Ale on zna mnie. Jestem tak przerażona, że gdybym nawet była w stanie krzyczeć, chyba i tak nie mogłabym wydobyć z siebie głosu.

– Mam nadzieję, że nie użalasz się nad sobą, Amber – mówi ten człowiek. Dotyka mnie po twarzy i mam ochotę się skurczyć, zapaść w poduszkę. Ale on raz po raz stuka palcem w moją głowę. – Może nie zrozumiałaś tego, co właśnie słyszałaś: to nie był wypadek. – Jego palec zsuwa się po moim policzku i zatrzymuje na moich ustach. – Sama to sobie zrobiłaś.

Wtedy
Środa, 21 grudnia 2016 – rano

Wyłączam budzik, nie będzie mi potrzebny. Prawie nie spałam i teraz już nie dam rady zasnąć. Bezsensowność powinna być oznaką obawy o zaginionego męża, ale nie o tym myślałam przez całą noc. Nie mogę zapomnieć o tamtym nieżywym rudziku, o jego maleńkim, pozbawionym życia ciałku. Ciągle miałam wrażenie, że słyszę w śmietniku furkot jego skrzydełek, jakby wcale nie zginął. Martwię się, że może był tylko nieprzytomny, może wyrzuciłam go, podczas gdy on tylko spał.

Patrzę na puste miejsce obok mnie na łóżku. Nadal żadnych wieści od Paula. Na podłodze stoi butelka po czerwonym winie; usiłowałam uspić się alkoholem, choć bezskutecznie. Wino stało się nadużywanym antybiotykiem, na który moje ciało zdążyło się uodpornić. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić na policję, by zawiadomić o zniknięciu Paula, ale czuję się głupio. Nie wiem, jak miałabym wysłować swoje obawy, żeby nie wyjść na wariatkę. Mężowie nie zawsze wracają na noc, przecież to wiem, jestem już dużą dziewczynką.

Moje myśli wędrują od Paula do Claire. Kiedy wreszcie oddzwoniła, obruszyła się na moje oskarżenie, że wie, gdzie on się podziewa. Mówiła, że wyszła się spotkać z koleżanką i że zepsuła jej cały wieczór, po czym się rozłączyła. Doskonale wie, czego się boję. Kocham ich oboje, ale czuję, że wszystko, co udało mi się jak dotąd uchronić, zaczyna rozchodzić się w szwach. Jedno pociągnięcie za nitkę i zniknie, zostanie tylko dziura, której nie da się załatać. A może już za późno.

Nadal jest ciemno, więc włączam światło i rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby stanowić wskazówkę. Przypominam sobie prezentową torebkę z damską bielizną na dnie szafy Paula. Ponownie ją wyjmuję, wyciągam stanik i majtki, maleńkie skrawki satyny obszyte koronką. Zdecydowanie za małe. Ściągam spodnie od piżamy, zsuwam je stopami, zdejmując jednocześnie górę. Zostawiam pastelową stertę na podłodze i wkładam komplet bielizny, z nadal przyczepionymi metkami, których ostre krawędzie wpijają mi się w skórę. Wciskam piersi w za małe miseczki i podchodzę do dużego lustro. Minęło sporo czasu, odkąd patrzyłam na siebie w ten sposób. Ciało w odbiciu wygląda nieco lepiej, niż sobie wyobrażałam. Na zewnątrz nie jestem tak brzydka, jak czuję się w środku, ale mimo wszystko nie podoba mi się to, co widzę. Brzuch mam bardziej zaokrąglony niż dawniej, bo teraz przeważnie jadam to, na co mam ochotę. Nienawidzę tego ciała niemal tak bardzo, jak siebie samej. Nie spełniło swojego zadania. Nie dało Paulowi tego, czego pragnął. Nie chcę już patrzeć, więc wyłączam światło, wciąż jednak widzę cień swego odbicia. Biorę szlafrok i na powrót ukrywam swoje ciało. Nowa bielizna uwiera, wrzyna się w skórę. Myśl, że może nie kupiono jej dla mnie, rozbrzmiewa mi w głowie tak głośno, że nie mogę jej zignorować, więc ściągam komplet, odkładam tam, gdzie go znalazłam, i zaczynam dzień od początku.

Jest jeszcze ciemno, ale znam ten dom, potrafię znaleźć drogę w ciemnościach. Komórka to prywatna przestrzeń Paula, natomiast maleńki gabinet na tyłach należy do

mnie. Mój własny pokój, akurat na tyle duży, by zmieściły się w nim biurko i krzesło. Siadam i włączam lampkę. Biurko jest używane, więc kryje w sobie nie tylko sekrety, o których wiem, ale też takie, które są mi nieznane. Znajdują się w nim cztery małe szuflady i jedna duża, wygląda to jak drewniany uśmiech. Otwieram tę dużą i wkładam białe rękawiczki, które z niej wyjmuję. Potem biorę kartkę papieru oraz pióro i zaczynam pisać. Kiedy kończę i upewniam się, że wybrałam odpowiednie słowa i że chcę, by je przeczytano, składam kartkę we czworo i wsuwam ją do czerwonej koperty. Następnie biorę prysznic, zmywam z siebie wszelkie ślady poczucia winy oraz niepokoju i szykuję się do pracy.

Przychodzę wcześniej niż zwykle. Redakcja jest pusta, ale widzę, że u Madeline pali się już światło. Zdejmuję płaszcz, rzucam torebkę na biurko i próbuję się otrząsnąć z mgiełki zmęczenia, która na mnie opadła. Muszę zachować przytomność umysłu, muszę się skupić na zadaniu. Nie zdążyłam jeszcze usiąść, a już słyszę skrzypnięcie drzwi Madeline.

– Amber, to ty? Mogę cię prosić na słowo?

Przewracam bez skrępowania oczami, bo wiem, że nikt mnie nie widzi. Naprawdę wolałabym z nią teraz nie rozmawiać. Ale przybieram odpowiedni wyraz twarzy i idę do małego pokoiku w rogu, a moje dłonie, ukryte w kieszeniach, zaciskają się w pięści.

Pukam obojętnie w uchylone drzwi i otwieram je szerzej. Madeline siedzi w środku, jak zwykle w czerni. Garbi się nad biurkiem, czoło ma zmarszczone, a twarz przysuniętą za blisko do komputera, odczytuje coś z ekranu. Twitter nadal buzuje od plotek i kolejnych spekulacji na temat jej odejścia. Zastanawiam się, czy czyta właśnie nowe komentarze z tagiem #MadelineFrost, jest ich cała masa.

– Sekundę, właśnie kończę zdanie. – Zawsze tak robi. Ceni wyłącznie własny czas i chce, żebym o tym wiedziała. Píše na komputerze coś, czego nie widzę. – Cieszę się, że przyszłaś wcześniej – mówi wreszcie. – Chciałabym chwilę pogadać, zanim pojawi się reszta.

Staram się nie okazać żadnej reakcji, siłą woli zmuszam wszystkie mięśnie twarzy do pozostania dokładnie na swoim miejscu. Madeline zdejmuje okulary i pozwala im zawisnąć na różowym sznurku z koralikami, który otacza jej szyję. Wyobrażam sobie, że go zaciskam, po czym wyrzucam ten obraz z głowy.

– Usiądziesz? – mówi Madeline, wskazując mi fioletowy skórzany puf, który kilka miesięcy temu przywiozła z Maroka.

– Dziękuję, postoję – odpowiadam.

– Siadaj – mówi znowu i podkreśla zaproszenie, ukazując dwa równe rzędy licówek.

Również zmuszam się do uśmiechu i wypełniam polecenie. To właśnie muszą znosić co rano producentki: wciskają się do tej klitki i czekają na pufie, aż Madeline zacznie je maglować na temat wszystkich segmentów dzisiejszej audycji. Przysiadam i próbuję złapać równowagę – puf jest za niski i wcale nie wygodny. Jak zwykle chodzi o kontrolę i już teraz jasno widać, że to nie ja ją tu sprawuję.

– Wiedziałaś o tym spotkaniu, na które Matthew zabrał wczoraj uczestniczki audycji? – pyta Madeline.

– Owszem – odpowiadam, nie uginając się pod jej spojrzeniem.

Madeline kiwa głową, po czym mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby

oceniając mój strój. Mam na sobie kolejną nową sukienkę, ale ona wyraźnie nie jest nią zachwycona.

– Chcę, żebyś wyświadczyła mi pewną przysługę – mówi wreszcie. – Jeśli usłyszysz coś, co twoim zdaniem chciałabym wiedzieć, przyjdź z tym do mnie.

Jakby już zapomniała, że chciała doprowadzić do mojego zwolnienia, a może myśli, że o tym nie wiem.

– Oczywiście – odpowiadam. Nie powiedziałabym jej nawet, gdyby miała wokół szyi jadowitego węża.

– Musimy trzymać się razem, Amber. Jeśli pozbędą się mnie, będą chcieli wymienić całą ekipę na antenie, zawsze tak robią. Ciebie też zastąpią, nie myśl sobie. Zapamiętaj to, a następnym razem, jak coś usłyszysz, przyjdiesz i dasz mi znać, prawda? – Z tymi słowami na powrót wsuwa okulary na nos i znowu zaczyna bębnić po klawiaturze, sygnalizując w ten sposób, że spotkanie dobiegło końca.

Z trudem podnoszę się z pufy, po czym wychodzę z gabinetu i zamykam za sobą drzwi.

– Wszystko w porządku? – pyta Jo, która właśnie weszła. Siadam przy swoim biurku.

– Tak, świetnie – mówię, wiedząc, że Madeline będzie nas obserwować przez okienko w drzwiach.

– Bo nie wyglądasz – stwierdza Jo.

– Nie wiem, gdzie jest Paul. Nie wrócił wczoraj do domu. – Gdy tylko wymawiam te słowa, natychmiast ich żałuję.

– Czy to znowu przez Claire? – pyta Jo.

Te słowa są jak policzek i moja obawa zmienia się we wściekłość, ale na twarzy Jo maluje się szczerą troską. To nie jej wina, że tyle wie o mojej przeszłości, przecież sama jej wszystko opowiedziałam. Nie znam odpowiedzi, więc podaję tę, na którą liczę.

– Nie wydaje mi się.

– Może pogadamy o tym przy kawie?

– Nie, dzięki, nie trzeba. – Odwracam się, włączam komputer i wlepiam oczy w ekran.

– Jak chcesz – rzuca Jo. Odchodzi, nic więcej nie mówiąc.

Kiedy znika, otwieram swoją skrzynkę pocztową. Pełno w niej zobowiązań i zaproszeń. Przeważnie to śmieci, promocje na rzeczy, których ani nie chcę, ani nie potrzebuję, ale jedna wiadomość przyciąga mój wzrok. Myszka zatrzymuje się na znajomym nazwisku, a wzrok nie może się oderwać od tematu składającego się z jednego słowa, jakbym nie mogła go zrozumieć.

„Cześć”.

Zaczynam skubać paznokciami usta. Powinam skasować ten mail, wiem, że tak. Rozglądam się od niechcienia po biurze. Nadal jestem sama. Oskubuję z wargi kolejną skrawek naskórki i odkładam go na biurko. Jest fioletowy od wina, które wypiałam wieczorem. Przypominam sobie, że kiedy nie mogłam zasnąć, wyjęłam z torebki wizytówkę i zaczęłam przesuwać kciukiem po tłoczonych literach. Przypominam sobie, jak wpisałam jego imię do maila na telefonie, wahałam się nad tematem i układałam zdawkową wiadomość. Martwiłam się, czy nie będzie to dziwnie wyglądać, że wysłałam ją o tak późnej porze, ale i tak wysłałam. Policzki rumienią mi się ze wstydu. Nie mogę

sobie przypomnieć, co dokładnie napisałam.

Otwieram mail i czytam go raz, potem znowu, tym razem wolniej, uważnie analizując każde słowo.

„Przez wzgląd na dawne czasy”.

Czytając, przymierzam te zwroty, by sprawdzić, czy pasują. Kiedy zamykam oczy, nadal mogę sobie wyobrazić tego, kto to napisał.

„Szczęśliwe wspomnienia”.

Nie wszystkie były szczęśliwe.

„Może pójdziemy na drinka, żeby nadrobić czas?”.

Odrywam z ust kolejny skrawek naskórka i przyglądam się tej drobinie mnie, która obsycha i twardnieje na opuszcze palca. Odkładam ją do pozostałych, mam już mały stosik.

Nadrobić. Złapać. Pochwycić.

Paul zniknął. Moje małżeństwo wisi na włosku. Co ja wyprawiam? Cały ten pomysł jest poroniony.

– Hej, Ziemia do Amber – mówi Jo, machając mi ręką przed twarzą.

Zamykam okno z mailem i zmiatam z biurka stosik naskórków, oblewając się rumieńcem.

– Oglądałaś ostatnio coś o inwazji z przestrzeni kosmicznej? – wypalam.

– Co? Nie. Czemu? – uśmiecha się Jo.

– Bo właśnie dokonujesz inwazji na moją przestrzeń.

Jej uśmiech znika.

– Wybacz – mówię natychmiast. – Słyszałam kiedyś, jak ktoś tak powiedział, wydawało mi się to śmieszne. Nie chciałam gderać, po prostu byłam we własnym świecie.

– To widzę. Ale postaraj się nie przejmować, na pewno nic mu nie jest.

– Komu? – pytam, zastanawiając się, czy widziała mail od Edwarda.

– Paulowi. No wiesz, twojemu mężowi – odpowiada Jo, marszcząc brwi.

– No tak. Jasne, sorry. Jestem dziś trochę w rozsypce.

Milkniemy, kiedy z biura rozlega się donośny głos Madeline, wzywający asystentkę. Madeline pojawia się w drzwiach, górując nad dziewczyną, i przekazuje jej swoją kartę kredytową wraz z listą instrukcji. Trzeba odebrać jej pranie. Podaje asystentce numer PIN i wszystkie potrzebne informacje. Krew mnie zalewa, kiedy widzę, w jaki sposób rozmawia z ludźmi.

Podczas porannego briefingu myślę o wiadomości Edwarda. Myślę o niej też w studiu, podczas wywiadów i telefonów od słuchaczy. Przez cały poranek właściwie nie słyszę, co się do mnie mówi. Powinnam czuć się winna, ale tak nie jest. Paul nie dotknął mnie od miesiący, a ja nie zrobiłam niczego złego. Po prostu wymieniliśmy kilka wiadomości, jak to starzy znajomi. To tylko wspomnienia o innym czasie i innym miejscu. Wspomnienia nie mogą nikogo skrzywdzić, chyba że przywołuje się je we dwoje.

Przedtem
Sobota, 7 grudnia 1991

Kochany Pamiętniczku,
wczoraj była u nas Taylor. Strasznie się tego obawiałam. Tata znowu musiał zostać w pracy do późna, więc martwiłam się tylko o mamę, że narobi mi wstydu. Mama odebrała nas ze szkoły naszym rozklekotanym niebieskim fordem escortem, to zwykła puszka na kółkach. Rodzice Taylor mają volvo i jeszcze renault 5. Mama dopilnowała, żebyśmy obie zapięły pasy – normalnie o to nie dba – i dała nam po kartoniku soku do picia na drogę. Tego też normalnie nie robi. Jazda ze szkoły do domu zajmuje jakieś pięć minut, więc nie umarłybyśmy z pragnienia. Już myślałam, że samochód nie zapali, ale za trzecią próbą silnik zacharczał i wreszcie zaskoczył. Mama zażartowała z tego, jak zawsze. Żenada.

W samochodzie niedużo rozmawiałyśmy. Mama ciągle patrzyła na mnie we wstecznym lusterku i zadawała głupie pytania w rodzaju: „Jak wam minął dzień?”, durnym, rozśpiewanym tonem. Ja odpowiedziałam tak jak zawsze, czyli: „W porządku”, ale Taylor była o wiele bardziej rozmowna i opowiedziała o portretach, które robimy na plastyce. Zezłościłam się, bo maluję portret Buni i chciałam, żeby to była niespodzianka.

Kiedy dotarłyśmy do domu, przyglądałam się twarzy Taylor, żeby zobaczyć jej reakcję. Pierwsza rzecz, która rzuca się w oczy w domu Buni, to barwa. Bunia bardzo lubiła kolor niebieski. Mamy więc niebieskie drzwi wejściowe, niebieskie okna oraz garaż, a wszystko obłazi z farby jak mój nos, kiedy spalę go sobie na słońcu. Czasami pomagam domowi i obieram go z niebieskich farfocli – lubię to uczucie, kiedy farba wchodzi mi za paznokcie. We wszystkich oknach mamy firanki, które kiedyś były białe, a na środku betonowego podjazdu jest plama z benzyny. Taylor nic po sobie nie pokazała, nawet kiedy musiała wysiąść z samochodu po mojej stronie, bo drugie drzwi są zepsute i czasem się blokują.

Weszłyśmy do środka i mama powiedziała, żebym pokazała Taylor swój pokój, więc to robiłam. Nie zajęło to dużo czasu, nie ma tam wiele do oglądania. Powiedziałam, że to był pokój Buni i że ona w nim umarła. Myślałam, że Taylor się przestraszy, ale wcale nie. Jej twarz nadal wyglądała tak samo. Nie odnawialiśmy domu, więc ciągle mam w pokoju niebieską pasiastą tapetę Buni w białe kwiatki, a także stary niebieski dywan, zupełnie zdeптany. Oprócz tego dwa pojedyncze łóżka do kompletu z szafą i toaletką, wszystko z ciemnego drewna, które pachnie środkiem do czyszczenia. To jak mieszkanie w muzeum, tyle że wolno mi wszystkiego dotykać. Taylor powiedziała, że podoba jej się mój pokój, ale moim zdaniem po prostu chciała być miła. Ona już taka jest. Powiedziała, że sama ma w pokoju różowy dywan, i zgodziłyśmy się, że to chyba jeszcze gorsze od niebieskiego.

Podeszła do moich półek z książkami i poczułam się bardzo niezręcznie. Powiedziałam, że może powinniśmy zejść na dół, żeby sprawdzić, jakimi to przysmakami z mikrofalni zamierza nas uraczyć mama, ale Taylor stała, jakby mnie nie usłyszała. Nie lubię, jak ludzie dotykają moich rzeczy, lecz starałam się zachować spokój. Okazało się, że Taylor dużo czyta, zupełnie jak ja. Czytała część książek, które znam, i opowiedziała mi o innych, o których nawet nie słyszałam, ale zapowiadają się fajnie. Aż się zdenerwowałam, gdy mama zawołała nas wreszcie na kolację. Przez całą drogę na dół i kiedy jadłyśmy paluszki rybne z frytkami, wciąż nawijałyśmy z Taylor o książkach. Nie przestałyśmy, nawet kiedy mama dała nam po miseczce lodów. Były polane magicznym sosem czekoladowym, który na początku jest płynny, a potem krzepnie i robi się twardy, jak krew.

Po kolacji mama powiedziała, że możemy pooglądać coś na dużym telewizorze, ale my poszłyśmy z powrotem do pokoju i dalej rozmawiałyśmy. Wreszcie mama stwierdziła, że pora, by Taylor wróciła do domu. Zrobiło mi się smutno i zapytałam, czy nie mogłaby jeszcze trochę zostać. Mama uniosła niewidoczne brwi i zrobiła tę swoją głupią minę. W przeciwieństwie do mnie nie ma brwi, bo wyskubała je sobie, kiedy była mała, więc teraz rysuje je kredką i wygląda przez to jak klaun. Spytała, czy Taylor chciałaby zostać na noc, i zanim zdążyłam się odezwać, Taylor powiedziała, że owszem. Więc mama zadzwoniła do jej mamy, która się zgodziła, bo to był piątek.

Mamy tylko trzy sypialnie i żadna nie jest wolna. W naszym starym domu mama i tata spali w jednym pokoju, ale teraz mają osobne. Mama mówi, że to dlatego, że tata chrapie, ale ja wiem, że tak naprawdę chodzi o to, że już się nie lubią. Nie jestem głupia. Taylor spała więc ze mną, w starym łóżku dziadka – sądzę, że nie miałby nic przeciwko temu.

Kiedy już się położyłyśmy, przyszła mama i powiedziała, że za dziesięć minut mamy zgasić światło. Postawiła nam na szafkach nocnych po szklance wody. To kolejna rzecz, której zazwyczaj nie robi – zupełnie nagle wydaje się strasznie przejmować tym, czy nie chce mi się pić. Zanim wyszła, przystanęła w drzwiach, uśmiechnęła się do nas i powiedziała coś bardzo dziwnego:

- Wyglądacie jak dwa ziarna groszku z jednego strączka.

Potem wyłączyła górne światło i zaczęła zamykać drzwi, ale spanikowałam i poprosiłam, żeby tego nie robiła, więc podparła je rudzikowym odbojnikiem Buni. Kiedy zeszła na dół, przeprosiłam Taylor. Powiedziałam, że mama jest trochę dziwna i że nie mam pojęcia, co miało znaczyć to o groszku. Taylor roześmiała się i odparła, że słyszała kiedyś takie powiedzenie. Podobno to znaczy po prostu tyle, że wyglądamy tak samo. Zawsze widywałam groszek wyłącznie w plastikowej torebce w zamrażarce.

Po dziesięciu minutach wyłączyłyśmy światło, jak kazała mama, ale długo jeszcze rozmawiałyśmy. Taylor mówiła z zamkniętymi oczami i w którymś momencie po prostu zasnęła. Ale chyba nie dlatego, że ją znudziłam. Lampki były pogaszone, lecz przez szczeliny w zasłonie przeświecało akurat tyle światła księżycy, że mogłam zobaczyć jej twarz. Z początku nie byłam pewna, co mama miała na myśli, bo jestem nieco niższa od Taylor, a ona jest

bardzo chuda, ale chyba rzeczywiście wyglądamy trochę podobnie. Obie mamy długie brązowe włosy.

Dowiedziałam się o Taylor trzech rzeczy, które mi się podobają:

1. Jest zabawna.
2. Lubi książki tak samo jak ja.
3. Mamy urodziny tego samego dnia.

Urodziłyśmy się w tym samym dniu, w tym samym szpitalu, w odstępie kilku godzin. Gdybym urodziła się w rodzinie Taylor, moje życie byłoby o niebo lepsze. Odbierano by mnie ze szkoły w volvo, no i dziadkowie Taylor wciąż żyją. Ale z drugiej strony Bunia nie byłaby wtedy moją Bunią, a to byłoby smutne. Przez prawie godzinę przyglądałam się śpiącej Taylor. To było tak, jakbym patrzyła na inną wersję siebie. Zawarłam przyjaźń. Starłam się tego uniknąć, ale może wszystko będzie dobrze, bo przecież jesteśmy jak dwa ziarenka groszku z jednego strączka.

Teraz
Czwartek, 29 grudnia 2016

Ktoś był w moim pokoju. Odsłuchiwał moje wiadomości na telefonie, skasował je i powiedział, że to moja własna wina, że jestem w szpitalu. To nie był sen. Nie mogę teraz spać, za bardzo się boję. Boję się tego, co wiem, i tego, czego nie wiem. Nie jestem pewna, ile czasu upłynęło od tamtej wizyty, ale przynajmniej ten człowiek na razie nie wrócił. Czas rozciągnął się w coś, czego już nie rozpoznaję. Chciałabym wypełnić luki. Jest ich tak wiele, jakbym uwięzła w ciele jakiejś innej osoby, mającej za sobą życie, którego nie pamiętam.

– A teraz coś ciekawego na zakończenie porannego obchodu. Kto mi opowie o tym przypadku?

Słyszę, jak zbierają się w nogach łóżka. Chór lekarzy, których głosy brzmią w moich uszach identycznie. Mam ochotę powiedzieć im, żeby się wynosili.

Wyleczcie mnie albo sobie idźcie.

Jestem zmuszona słuchać, jak rozmawiają o mnie, jakby w ogóle mnie tu nie było. Kolejno dzielą się z grupą informacją, jak mało wiedzą o tym, co mi dolega i kiedy się obudzę. Muszę sobie powtarzać to „kiedy”, bo opcji „czy” nawet nie chcę do siebie dopuszczać. Gdy kończą im się błędne odpowiedzi, wychodzą z mojego pokoju.

Chyba zasnęłam, bo znowu są tu moi rodzice. Siedzą po obu stronach łóżka w prawie całkowitej ciszy, można by pomyśleć, że nikogo tu nie ma. Chciałabym, żeby coś powiedzieli, cokolwiek, ale oni przeciwnie, sprawiają wrażenie, jakby specjalnie starali się nie hałasować, jakby nie chcieli mnie obudzić. Mama siedzi tak blisko łóżka, że czuję zapach jej balsamu do ciała i ta woń przywodzi mi na myśl wspomnienia wspólnej wycieczki do spa w Krainie Jezior.

Claire zarezerwowała go dla nas trzech w ramach babskiego wyjazdu. Kiedy wreszcie pojechaliśmy, była już w zaawansowanej ciąży z bliźniakami. Jej ciało całkowicie się zmieniło, była gigantyczna i wyczerpana. Większość weekendu spędziła w swoim pokoju, co oznaczało, że mama i ja musieliśmy radzić sobie bez niej. Ostatniego dnia wyjazdu, kiedy wreszcie przestało padać i zaszło słońce, którego nawet nie widziałyśmy, poszłyśmy na kolację do restauracji.

Posadzono nas przy małym stoliku z widokiem na jezioro Windermere. Pamiętam, jak wyjrzałam, żeby zobaczyć pierwsze gwiazdy zapalające się na nocnym niebie nad pomarszczoną wodą, i pomyślałam, jakie to wszystko piękne. Powiedziałam do mamy, żeby popatrzyła za okno, bo jest idealne światło. A ona tylko spojrzała przelotnie przez ramię, po czym bez słowa skupiła się na karcie win. Przez lata Claire stała się klejem, który nas spajał. Bez niej musieliśmy się rozpaść. Mama powiedziała, że wszystko jej jedno, co będziemy piły, byle z alkoholem, i podała mi kartę. Zamówiłam pierwsze czerwone na liście. Sama też czułam, że przyda mi się drink.

Zanim pojawiły się nasze przystawki, byłyśmy już w połowie butelki. Mama piła szybko, a ja nie pozostawałam w tyle. Nie miałyśmy nic innego do roboty. Tematy do rozmów wyczerpałyśmy praktycznie w dniu przyjazdu i do teraz studnia słów zdążyła

już wyschnąć. Wino to zmieniło.

– To jak się czujesz? Mam na myśli Claire. I dzieci. Wszystko w porządku? – Słowa wypadły z wysiłkiem z ust mamy i wylądowały między nami.

Może chciała okazać troskę, ale nadal bardziej przypominało to cios w brzuch. Pragnęła wnuków. Nie robiła z tego tajemnicy. A ja sprawiłam jej rozczarowanie. Po raz kolejny.

Kiedy Paul i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić, Claire i David starali się już o in vitro. To naprawdę wstrząsające, co te dwa słówka potrafią zrobić z małżeństwem. A jeszcze gorsze, co potrafią zrobić z człowiekiem. To wszystko zupełnie odmieniło Claire – ta niemożność posiadania tego, czego tak bardzo pragnęła.

Paul również rozpaczyliwie chciał mieć dzieci, wszyscy to wiedzieli, ale ja nie zgodziłam się odstawić pigułki, póki Claire nie założy rodziny. Nie mogłam jej tego zrobić. Jest młodsza, zawsze jednak musiała być o krok przede mną. Pierwsza znalazła chłopaka, pierwsza wyszła za męża, pierwsza zaszła w ciążę; zawsze wygrywała ten niepisany wyścig. Tak już po prostu jest, zawsze tak było.

Z in vitro udało im się za trzecim razem. Claire była w ciąży, a ja wreszcie odstawiłam pigułkę, sądząc, że teraz już możemy spokojnie zacząć się starać o dziecko, bez obawy, że sprawimy komuś przykrość. Nie przyszło mi do głowy, że my też możemy mieć problem z poczęciem. Zrobiliśmy badania, całą masę badań, i lekarze nie mogli doszukać się żadnego problemu ani u Paula, ani u mnie. Jeden powiedział, że to może kwestia genetyki, ale ja wiem, że nie chodzi o to. Coś wewnątrz mnie się popsuło, jestem tego pewna – to kara za to, co wydarzyło się bardzo dawno temu.

Staraliśmy się dalej, miesiąc po miesiącu. Seks stał się kolejnym zadaniem do odhaczenia w grafiku. Paul pragnął dziecka, które mu obiecałam, ale było jasne, że przestał pragnąć mnie. To już nie było kochanie się. W ogóle nic już to nie było. Wreszcie straciłam zainteresowanie ciążą, a on stracił zainteresowanie mną. Trzymał się scenariusza, powtarzał, że to nie ma znaczenia, dopóki mamy siebie, że nic więcej nam nie potrzeba. Ale tak naprawdę wcale już siebie nie mieliśmy, w tym cały problem. On uważał, że powinnam była wcześniej odstawić antykoncepcję, że za długo czekaliśmy. Nigdy tego nie powiedział, ale wiem, że mnie za to wini. Pragnął rodziny bardziej niż jakikolwiek znany mi mężczyzna, a ja miałam najlepsze miejsce na spektakl, jakim była przemiana jego bólu w coś mrocznego, co przypominało urazę.

Matka nic o tym nie wiedziała. Sądziła, że odkładam założenie rodziny, bo za bardzo skupiłam się na karierze. Pamiętam, jak tamtego wieczoru wbiła we mnie wzrok, czekając na odpowiedź, której nie umiałam udzielić, więc tymczasem sama wypełniała luki w konwersacji.

– Wszystko w porządku, bardzo się cieszę – powiedziałam wreszcie.

Jak na tak ostrożnie dobrane słowa wypadły one bardzo źle. Brzmiały pusto i fałszywie. Pewnie dlatego, że mama wzięła mnie z zaskoczenia. Lubię być przygotowana do trudnych rozmów. Lubię rozgrywać je sobie zawczasu w głowie, zastanawiać się nad wszystkimi możliwymi kwestiami i powtarzać sobie odpowiedzi, których udzielię, póki nie wyszlifuję i nie wyuczę się ich na pamięć. Praktyka nie czyni ze mnie mistrza, ale wypadam bardziej wiarygodnie, kiedy wszystko sobie przećwiczę.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy o Claire. Mama rozplęwała się nad tym, jak świetnie

moja siostra sobie radzi i jaką wspaniałą będzie matką. Każdy komplement dla niej miał jednocześnie urazić mnie, ale nie zaprzeczałam – wiedziałam, że Claire jest stworzona do macierzyństwa, zawsze żywiła szaleńczy instynkt opiekuńczy w stosunku do tych, których kocha. Z każdym kolejnym łykiem wina słowa, które wylewały się z ust mamy, zdawały się nieco bardziej niebezpieczne. Zawsze następuje taki moment przed wypadkiem, kiedy już wiesz, że nie wyjdiesz cało, ale nie jesteś w stanie nic zrobić, żeby temu zapobiec. Możesz zasłonić twarz ramionami, możesz zamknąć oczy, możesz krzyczeć, ale wiesz, że to nie zmieni tego, co nadchodzi. Tamtego wieczoru wiedziałam, co się szykuje, ale nawet nie próbowałam wcisnąć hamulca. Jeśli już, to dodałam gazu.

– Zastanawiasz się czasami, dlaczego ja nie mam dzieci? – spytałam. I już, poszło. Te słowa zabrzmiały, bo nie było tam mojej siostry i nie mogła ich usłyszeć.

– Nie każdy jest stworzony do macierzyństwa – padła zbyt szybka odpowiedź.

Mama upiła kolejny łyk wina. Wciągnęłam głęboki oddech, ale ona odezwała się pierwsza, nim zdołałam przygotować sobie słowa.

– Rzecz w tym, że aby być dobrą matką, trzeba postawić dzieci na pierwszym miejscu. A ty zawsze byłaś bardzo samolubna, Amber, już jako dziecko. Nie jestem pewna, czy macierzyństwo by ci odpowiadało, więc może to prawda, co mówią.

To mnie zraniło, na chwilę uszło ze mnie całe powietrze, robiąc miejsce na wszystkie kłębiące się w głowie myśli. Powinnam się wycofać, unikać dalszych ciosów, a tymczasem zaprosiłam ją tylko do kolejnego uderzenia.

– A co takiego mówią?

– Że nic nie dzieje się bez powodu.

Opróżniła kieliszek i nalała sobie kolejny. Serce waliło mi tak mocno, że myślałam, że cała restauracja to słyszy. Popatrzyłam na jezioro i skupiłam się na tym, żeby nie płakać, podczas gdy jej słowa wciąż rozbrzmiewały mi w głowie. Cisza, która zapadła, była zbyt niezręczna, więc matka postanowiła wypełnić ją kolejnymi zdaniem, których lepiej byłoby nie wypowiadać.

– Wiesz, myślę, że ty i ja jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż sądzisz. Ja też nigdy nie chciałam dzieci.

Myliła się. Od tamtego momentu pragnęłam dziecka niemal tak mocno jak Paul, choćby po to, żeby udowodnić jej, że jest w błędzie.

– Więc mnie nie chciałaś? – spytałam. Sądziłam, że na pewno zaprzeczy, powie, że nie to miała na myśli.

– Nie. Nigdy nie czułam w sobie instynktu macierzyńskiego. Prawda jest taka, że byłaś dzieckiem z przypadku. Którejś nocy poniosło nas z tatą i wpadłam, ot i wszystko. Nie chciałam być w ciąży, a na pewno nie chciałam mieć dziecka.

– Ale pokochałaś mnie, kiedy się urodziłam? – spytałam.

Roześmiała się.

– Skąd, nie cierpiałam cię! Miałam wrażenie, że moje życie się skończyło i że wszystko zepsułaś, i to tylko dlatego, że za dużo wypiliśmy i nie uważaliśmy! Przez pierwsze tygodnie zajmowała się tobą moja matka, ja nawet nie chciałam na ciebie patrzeć i wszyscy się martwili, że... choć przecież nigdy bym cię nie skrzywdziła. – Skrzywdziła mnie tyle razy i nawet nie miała pojęcia, że to robi. – Ale kiedy podrosłaś,

zrobiło się łatwiej. Bardzo szybko się rozwijałaś, zawsze byłaś nad wiek dojrzała, nawet we wczesnym dzieciństwie. Zaczęłaś chodzić i mówić wcześniej niż inne dzieci w twoim wieku i twoja obecność... no cóż, stała się po prostu normalna, jakbyś była z nami od zawsze.

– A co z Claire?

– No, z Claire było inaczej, oczywiście.

Oczywiście.

Jakby na dany znak słyszę głos Claire i wracam do teraźniejszości, do szpitalnego łóżka, z którego nie mogę się ruszyć. Nie jestem ślepa na tę ironię; po raz kolejny siedzę z matką i czekam, aż Claire wszystko naprawi, nauczy nas, jak być razem, i powstrzyma przed rozpadem.

– Tu jesteście – mówi Claire.

Wyobrażam sobie, jak się obejmują, twarz matki rozświetla się na widok ulubionego dziecka, które niewątpliwie wpłynęło elegancko do pokoju ze swymi długimi blond włosami i ładnymi ubraniami. Claire siada i bierze mnie za rękę.

– Patrzcie na te dłonie, zupełnie jak u mamy, tylko bez zmarszczek.

Wyobrażam sobie, jak posyłają sobie nad łóżkiem serdeczny uśmiech. To prawda, rzeczywiście wyglądam jak mama. Mam takie same dłonie i stopy, takie same włosy, te same oczy.

– Jeśli mnie słyszysz, muszę ci coś powiedzieć – mówi Claire. – Miałam nadzieję, że nie będę do tego zmuszona, ale powinnaś wiedzieć, że on by tu był, gdyby mógł.

Mam wrażenie, jakbym wstrzymywała oddech, ale respirator nadal pompuje mi tlen do płuc.

– Paul domyślał się, że policja nie zostawi go w spokoju, i miał rację. Mówią, że jedyne odciski palców w samochodzie poza twoimi należały do niego i chyba są pewni, że to nie ty siedziałaś za kierownicą. No i jeszcze te siniaki na twojej szyi. Wasz sąsiad powiedział, że słyszał, jak kłóciliście się na ulicy. Wiem, że to nie Paul ci to zrobił, ale teraz tym bardziej musisz się obudzić.

Claire ściska moją dłoń aż do bólu. Czuję koc ciemności zakrywający mi kolejno szyję, brodę, twarz. Zasypiam, nie mogę się dłużej opierać, ale muszę się trzymać. Ostatnie słowa Claire rozbrzmiewają niewyraźnie z oddali, lecz mimo to je słyszę.

– Paul został aresztowany.

Wtedy
Środa, 21 grudnia 2016 – popołudnie

Idę ulicą, zachwycając się chmurkami ciepłego oddechu, które ulatują z moich ust. Przyłapuję się na tym, że uśmiecham się do siebie. Nie mam w tej chwili wielu powodów do zadowolenia, więc natychmiast poprawiam wyraz twarzy. Niebo w górze powoli gaśnie, a uliczne lampy budzą się do życia, by oświetlić mi drogę do domu. Zamykam za sobą furtkę, podczas gdy zmarznięte palce drugiej ręki przełączają się na autopilota i zaczynają szperać w torebce za kluczami. Kiedy się ogrzewają i wreszcie udaje im się namacać to, czego szukają, otwieram drzwi do domu. Słyszę jakieś dźwięki. Nie zamykając za sobą drzwi, biegnę przez maleńki przedpokój do salonu i widzę Paula leżącego na kanapie z oczami wlepionymi w telewizor. Zaginiony mąż powrócił. Patrzy na mnie przelotnie i z powrotem kieruje wzrok na ekran.

– Wcześniej wróciłaś – mówi. I tyle.

Od ponad dwudziestu czterech godzin nie widziałam go ani nie miałam od niego żadnych wieści i to wszystko, co ma mi do powiedzenia. Mimowolnie krzyżuję ramiona na piersiach, jak stereotypowa gderająca żona, którą się stałam.

– Gdzieś ty się podziewał? – pytam. Głos drży mi lekko i nie jestem pewna, czy naprawdę chcę poznać odpowiedź. Jestem wściekła, ale jednocześnie czuję ogromną ulgę, widząc, że nic mu nie jest.

– Byłem u mojej matki. Choć to cię pewnie nie obchodzi.

– O czym ty mówisz? Prawie umarłam ze zmartwienia. Mogłeś przynajmniej zadzwonić.

– Zapomniałem telefonu, zresztą u mamy i tak prawie nie ma zasięgu. Wiedziałybyś o tym, gdybyś zechciała ją kiedyś odwiedzić. Zostawiłem ci liścik i zadzwoniłem na domowy. Myślałem, że może tym razem się wysilisz i do mnie dojedziesz, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Nie dzwoniłeś. Nie było żadnego liściku – upieram się.

– Zostawiłem go w kuchni – mówi Paul, patrząc mi w oczy.

Maszeruję do kuchni i faktycznie znajduję notkę na kuchennym blacie. Porywam ją i odczytuję.

Mama się przewróciła. Jadę sprawdzić, czy nic jej nie jest. Może trzeba będzie zabrać ją na pogotowie. P x

Próbuję sobie przypomnieć poprzedni wieczór. Przygotowywałam dla nas kolację, musiałam zrobić porządek w spiżarni. Spędziłam w kuchni kilka godzin i nie przypominam sobie, żebym widziała ten liścik. Paul staje w drzwiach.

– Tego tu nie było. Podłożyłeś przed chwilą – mówię.

– Co ty, kurwa, wygadujesz?

– Światło w komórce się paliło. Myślałam, że piszesz. Zrobiłam kolację jak zawsze.

– To widzę – mówi Paul.

Rozglądam się w ślad za nim: wszystko leży dokładnie tak, jak zostawiłam to wczoraj wieczorem, na kuchence wciąż stoją garnki i rondle pełne jedzenia. I pusta butelka po białym winie. Co za bałagan, nie mogę uwierzyć, że zostawiłam kuchnię w takim stanie.

– Nawet nie spytałaś, jak się czuje mama – mówi Paul od drzwi, podczas gdy ja dalej rozglądam się po tym chaosie.

Na drewnianej desce do krojenia brązowieje sterta ziemniaczanych obierków; więcej w niej ziemniaków niż skórek, bo obierałam nożem. Nie wytrzymuję tego bałaganu, więc zaczynam sprzątać, podczas gdy on mówi dalej.

– Proszę cię, czy możemy się nie kłócić? Miałem straszny dzień.

Ja też nie chcę się kłócić. Sprzątam, a z jego ust wypływają kolejne słowa, ale w żadne nie wierzę. Nie mogę znieść tego brudu i tych kłamstw, chcę tylko, żeby to się już skończyło. Nie pamiętam, kiedy wszystko się tak popsło, wiem tylko, że tak jest.

– Amber, ona ma złamane biodro. Zadzwoiła do mnie z podłogi w kuchni, musiałem wszystko rzucić i jechać.

Otwieram piekarnik i znajduję jagnięcinę, którą szykowałam. Wyszła na wiór.

– Zrobiłabyś to samo, gdyby chodziło o twoją matkę.

Nie, nie zrobiłabym tego samego, bo moja matka w takiej sytuacji nigdy nie zadzwoniłaby do mnie, tylko do mojej siostry.

– Więc czemu twój samochód stał u Claire? – pytam, wyrzucając obrośnięte mięsem kości do śmietnika i odwracając się twarzą do Paula.

– Co? Bo upłynął mi termin przeglądu technicznego, a bez tego nie mogę odnowić ubezpieczenia, więc Dave powiedział, że rzuci okiem na auto – mówi Paul bez chwili wahania.

David, nie Dave, myślę. Ona tego nie lubi.

Paul na wszystko ma odpowiedź i elementy układanki wydają się pasować. Zaczynam się czuć jak idiotka i przekonanie o własnej głupocie sprawia, że łagodnieję.

– Przepraszam – mruczę, nie do końca pewna, czy powinnam to robić.

– Ja też przepraszam.

– Z mamą już lepiej?

Wychodzimy z brudnej kuchni, siadamy i rozmawiamy przez jakiś czas. Odgrywam troskliwą żonę, jakiej on w tej chwili potrzebuje, i Paul opowiada mi, jakim był wspaniałym synem, co zdaje się tylko podkreślać jego braki jako męża. Nie mam czasu przygotować sobie kwestii, więc muszę improwizować. Nie jest to popis godny Oscara, ale wystarczy, by zadowolić jednoosobową publiczność. Nigdy nie przepadałam za matką Paula. Mieszka sama w starym, pełnym przeciągów bungalowu na wybrzeżu Norfolk. Nie znoszę tego miejsca i byłam tam tylko kilka razy. Zawsze mam wrażenie, że jego matka potrafi przejrzeć mnie na wskroś i nie podoba jej się to, co widzi.

Paul opowiada o nocy spędzonej w szpitalu, a ja słucham uważnie, szukając luk w jego opowieści, ale żadnych nie widzę. Patrę na jego usta, kiedy układają się w kolejne słowa. Chciałabym wyłączyć bieżący komentarz w mojej głowie. Pragnę mu wierzyć, naprawdę. Mój telefon leży na stoliku i widzę na nim nieodebrane połączenie... może Paul rzeczywiście dzwonił, żeby dać mi znać, gdzie jest, a ja zwyczajnie tego nie zauważyłam?

– Masz ochotę na wino? – pytam.

Kiwa głową. Idąc do kuchni, biorę komórkę i odsłuchuję wiadomość, ale to nie głos męża słyszę w telefonie.

Przedtem
Sobota, 14 grudnia 1991

Kochany Pamiętniczku,
wczoraj nocowałam u Taylor. Nie chciałam wracać. Taylor mieszka w prześlicznym domu i ma najmilszych rodziców na świecie. Tam się urodziła, jej rodzina nigdy się nie przeprowadzała, nie tak jak my. Na drzwiach spiżarni są nawet oznakowania, które pokazują, jaki wzrost miała Taylor w każdym roku życia. Spiżarnia to taka naprawdę duża szafa do przechowywania żywności. Potrzebują czegoś takiego, bo mają masę jedzenia, ale nic nie jest mrożone. Jak dorosnę, też chcę mieć dom ze spiżarnią.

Taylor mówi, że jej rodzice są tak samo dziwni jak moi, ale to absolutna nieprawda. Jej mama była dla mnie bardzo miła, a tata nie musiał pracować do późna. Kiedy wrócił do domu, wszyscy zjedliśmy razem kolację i była pyszna. Mieliśmy lazanie, którą mama Taylor zrobiła własnoręcznie od początku do końca i upiekła w piekarniku, nie w mikrofalówce. Rodzice Taylor ani razu się nie posprzeczali, a jej tata był nawet całkiem śmieszny, cały czas sobie żartował. Taylor przewracała oczami, może już to wszystko słyszała, ale ja się śmiałam.

Po kolacji powiedzieli, że możemy albo posiedzieć w pokoju Taylor, albo obejrzeć z nimi film. Mają największy telewizor, jaki w życiu widziałam. Taylor chyba wołała, żebyśmy poszły do pokoju, ale ja powiedziałam, że chciałabym obejrzeć film. Jej mama zrobiła prażoną kukurydzę, a tata pogasił światła, tak że widać było tylko światełka na choince i blask z ekranu. Było zupełnie jak w kinie. Rodzice Taylor siedzieli na sofie, a ona i ja na wielkim pufie na podłodze, jak prawdziwa rodzina. Prawie nie zwracałam uwagi na film, cały czas rozglądałam się po pokoju. Wszystko było tak doskonałe, że chciałabym tam mieszkać.

Zanim film się skończył, Taylor usnęła, więc pomyślałam, że może ja też powinnam udawać, że śpię. Jej mama wzięła na ręce ją, a tata - mnie. Z początku się trochę przestraszyłam, ale oni tylko zanieśli nas na górę, jakbyśmy nadal były bobasami, i ułożyli nas do snu. Taylor ma w pokoju tylko jedno łóżko, więc spałyśmy razem. Pościel tak ładnie pachniała, jak łąka. Taylor naprawdę spała, lecz ja nie mogłam usnąć - to był najlepszy wieczór w moim życiu i nie chciałam, żeby się skończył. Popatrzyłam na sufit i zobaczyłam setki gwiazd. Wiedziałam, że to tylko naklejki, które świecą w ciemnościach, ale i tak były piękne. Wyciągnęłam rękę i kiedy przytrzymałam palec we właściwym miejscu i zmrużyłam oczy, czułam się, jakbym mogła ich dotknąć.

Nawet kiedy usłyszałam, jak rodzice Taylor kładą się spać, nadal nie mogłam zasnąć, miałam za duży natłok myśli w głowie. Wstałam, żeby pójść

do łazienki, a kiedy tam weszłam, zauważyłam trzy szczoteczki do zębów stojące w kubku. Wcześniej pytałam o nie Taylor i powiedziała, że jej jest czerwona, jej taty – niebieska, a mamy – żółta. Powiedziała, że zawsze mają te same kolory. A potem dodała, że może ja mogłabym dostać zieloną szczoteczkę i wtedy byłabym częścią ich gangu. Ale ja nie chciałam zielonej. Chciałam tę czerwoną.

Przekradłam się z powrotem do pokoju, gdzie Taylor wciąż spała. Wtedy zrobiłam coś złego. Wcale nie chciałam, po prostu jakoś tak wyszło. Podeszłam do toaletki i wzięłam pudełko na biżuterię. Taylor prosiła, żebym go nie dotykała, przez co nabrałam ochoty, żeby to zrobić. Otworzyłam je powoli i patrzyłam, jak mała baletniczka w środku obraca się w kółko. Powinna tańczyć do melodii, ale ktoś popsuł pozytywkę. Przyglądałam się, jak kręci się i kręci, tańcząc w ciszy z maleńkim uśmiechem w kolorze truskawki wymalowanym na twarzy. W pudełku była złota bransoletka. Podsunęłam ją sobie pod nos, żeby przyjrzeć się z bliska, i zobaczyłam, że wygrawerowana jest na niej data urodzin Taylor. Mogłaby należeć do mnie, bo przecież urodziłyśmy się tego samego dnia. Po drugiej stronie znajdował się wypisany małymi połączonymi literkami napis: Mojej kochanej dziewczynce. Wcale nie zamierzałam jej zabierać. Chciałam tylko sprawdzić, jakie to uczucie. Niedługo ją oddam.

Potem wróciłam do łóżka i przekręciłam się tak, że leżałam twarzą do Taylor i prawie stykałyśmy się nosami. Taylor spała, ale i tak wyglądała, jakby się uśmiechała, pewnie dlatego, że ma tyle szczęścia. Założę się, że nawet jej sny są lepsze od moich.

Są trzy rzeczy, które Taylor ma, a ja nie:

1. Fajnych rodziców.
2. Ładny dom.
3. Własne gwiazdki.

Cieszę się, że przyjaźnimy się z Taylor. Oddam jej tę bransoletkę, obiecuję. I mam nadzieję, że nigdy już nie będziemy się przeprowadzać, bo bardzo bym za Taylor tęskniła. Chciałabym mieszkać w domu, w którym pachnie prażoną kukurydzą, a na suficie są gwiazdy.

Teraz
Czwartek, 29 grudnia 2016

Moja rodzina nie jest jak inne rodziny. Chyba wiedziałam to już jako dziecko. Zawsze pragnęłam, żeby rodzice kochali mnie tak, jak inni rodzice kochają swoje dzieci. Bezwarunkowo. Zanim mama wróciła z Claire ze szpitala, nie było idealnie, ale lepiej niż potem. Później nikt już się o mnie nie troszczył i teraz też się nie troszczy.

Paul nie wrócił. Za każdym razem, kiedy drzwi się otwierają, mam nadzieję, że to on, ale jedyne osoby, jakie odwiedziły mnie od porannego obchodu, to te, którym za to płacą. Coś do mnie mówią, ale nie o tym, czego chcę się dowiedzieć. Fakt, niełatwo udzielić komuś odpowiedzi, kiedy nie znasz pytań. Jeśli Paul naprawdę został aresztowany, to bardziej niż kiedykolwiek muszę się obudzić. Muszę sobie przypomnieć, co się stało.

Wieczorne obchody są krótkie, nie jestem już główną atrakcją. Znudziłam się. Pojawił się ktoś w gorszym stanie niż ja. Nawet dobrzy ludzie mogą się zmęczyć próbami naprawienia tego, czego nie da się naprawić. Jedna z moich stałych pielęgniarek rozmawiała wcześniej z jakąś inną o nadchodzącym urlopie. Jedzie do Rzymu z facetem, którego poznała przez internet, i wydaje się szczęśliwsza niż zwykle, nieco łagodniejsza. Zastanawiam się, jak się naprawdę nazywa. Może Carla? Carla by do niej pasowało. Nie jest moją ulubioną pielęgniarką, ale i tak tęsknię, kiedy jej nie ma – stała się częścią mojej rutyny, a nigdy nie lubiłam zmian.

W moim nowym świecie jestem zależna od zupełnie obcych mi osób; one mnie myją, one mnie przewijają, one mnie karmią przez rurkę w żołądku. One zbierają moje siki do torebki i wycierają mi obsrany tyłek. Robią to wszystko, bo opieka nade mną to ich zadanie, ale nadal jest mi zimno, jestem głodna, spragniona i przerażona. Z korytarza na zewnątrz dobiega mnie zapach obiadu. Czuję, jak ślina zbiera mi się w ustach w oczekiwaniu na coś, co nie nadejdzie. Spływa mi po jamie ustnej i w dół rurki do gardła, podczas gdy urządzenie, które za mnie oddycha, dyszy i sapie, jakby się znudziło. Dałabym wszystko, żeby znowu zakosztować jedzenia, cieszyć się jego smakiem i fakturą na języku, przeżuwać i połykać, czując, jak jego ciepło spływa mi do żołądka. Staram się nie myśleć o tych wszystkich rzeczach do jedzenia, picia i robienia, których mi brakuje. W ogóle staram się o niczym nie myśleć.

Słyszę, jak ktoś wchodzi, chyba mężczyzna, sądząc po lekkiej woni potu. Ktokolwiek to jest, nic nie mówi i nie wiem, co robi. Czuję, jak czyjeś palce bez ostrzeżenia dotykają mojej twarzy, i nagle ktoś otwiera mi prawe oko i świeci w nie jasnym światłem. Oślepia mnie biel, aż wreszcie ten ktoś znowu pozwala mojej powiece opaść. Kiedy wreszcie zaczynam się uspokajać, to samo dzieje się z lewym okiem i czuję się jeszcze bardziej zdezorientowana. Nieznajomy wychodzi niedługo potem i cieszę się z tego. Nigdy bym nie przypuszczała, że leżenie w łóżku może być tak niewygodne. Leżę na prawym boku od ponad sześciu tysięcy sekund, potem straciłam rachubę. Wkrótce powinni mnie przekreślić. Kiedy jestem na prawym boku, nigdy nie dzieje się nic dobrego, może ta strona jest pechowa.

Czuję, jak coś kapie mi na twarz, coś zimnego. Po chwili znowu to samo. Małeńkie krople wody lądują na mojej skórze. Mam wrażenie, że to deszcz, ale to nie ma sensu. Odruchowo otwieram oczy i widzę nad sobą nocne niebo. Tak jakby podnieśli dach i deszcz padał mi prosto do pokoju. Mogę uchylić powieki, ale nie mogę się poruszyć. Spoglądam w dół i widzę, że moje szpitalne łóżko stało się łodzią unoszącą się na łagodnych falach. Mówię sobie, że nie powinnam się bać, to tylko sen, taki jak wszystkie inne. Deszcz zaczyna padać mocniej i prześcieradła okrywające moje bezwładne kończyny robią się wilgotne i zimne. Ciało, od którego jestem oderwana, drży. Coś porusza się pod pościelą i nie jestem to ja. Spod prześcieradeł w nogach łóżka wyłania się dziewczynka w różowym szlafroku. Siada tak, że wyglądamy jak lustrzane odbicia. Jej włosy ociekają już wodą i nadal nie ma twarzy. Nie może mówić, ale nie musi, milczenie to nasz wspólny język. Ona go wybrała, a ja żyję z jej wyborem. Wskazuje czarne niebo w górze i widzę gwiazdy, setki gwiazd, tak blisko, że mogłabym ich dotknąć, gdybym tylko była w stanie się poruszyć. Ale one nie są prawdziwe. To tylko świecące naklejki, które zaczynają się odklejać i spadać na łóżko, biały plastik podwija się na spiczastych krawędziach. Teraz na niebie widać dziury w kształcie gwiazd. Dziewczynka zaczyna śpiewać; wolałabym, żeby przestała.

Płyn, płyn łódką swą w dół strumyka hen.

Wyjmuje ręce spod prześcieradła i widzę błysk złota na jej nadgarstku.

Tak wesoło, wesoło, wesoło.

Chwyta krawędzie łóżka, które stało się łodzią, i zaczyna kołysać nim na boki. Próbuje jej powiedzieć, żeby przestała, ale nie mogę mówić.

Bo życie jest jak sen.

Zamykam oczy, a ona przewraca łódkę do góry dnem. Woda jest zimna i ciemna. Nie mogę pływać, w ogóle nie mogę się ruszyć, więc tonę bezradnie coraz głębiej w czerni, jak kamień. Pod falami nadal dochodzi do mnie zniekształcony głos dziewczynki.

Bo życie jest jak sen.

Nagle rozbrzmiewa głośny pisk i dużo wodnistych odgłosów, ale nie jestem już pod wodą. Słyszę też głosy, które rozpoznaję, i widzę twarze, których nie znam.

Moje oczy są otwarte.

Widzę krzątających się dookoła lekarzy i pielęgniarki.

To się dzieje naprawdę.

Potem głosy milkną, z wyjątkiem jednego.

– Migotanie komór, musimy resuscytować.

Jakich komór?

– Odsuńcie się.

Twarz znika i widzę tylko biały sufit.

Wszystko jest białe.

Zamykam oczy, bo boję się, co mogą zobaczyć. Wtedy w nogach łóżka rozlega się głos taty.

– Trzymaj się, Orzeszku – mówi. Jakbym słyszała ducha.

Znowu otwieram oczy i tata uśmiecha się do mnie. Dociera do mnie, że naprawdę go widzę. Wydaje się taki stary, taki delikatny, taki zmęczony. Wszystko inne ogarnia biel, jestem tylko ja i tata. Czuję spływające po policzkach łzy.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – mówi.

Chcę odpowiedzieć, że wszystko w porządku, jednak nadal nie mogę się odezwać. Chciałabym jeszcze raz potrzymać go za rękę, ale wciąż nie jestem w stanie się poruszyć.

– Gdybym choćby pomyślał, że to będzie nasza ostatnia rozmowa, nigdy nie powiedziałbym tamtych rzeczy. Nie mówiłem ich poważnie. Kocham cię, oboje cię kochamy. Zawsze kochaliśmy. Życie jest jak sen.

Odwraca się, żeby odejść, i nie ogląda się za siebie. Znowu nią jestem: tą małą dziewczynką, desperacko próbującą nadążyć za ojcem. Tata porusza się wolniej niż kiedyś, a mimo to pozostawia mnie w tyle.

Wtedy
czwartek, 22 grudnia 2016 – rano

– Witamy naszych słuchaczy w programie *Poranna kawa* – mówi Madeline. – Rozmawiamy dziś uczciwie i otwarcie o cudzołóstwie. Będziemy się zastanawiać, dlaczego niektóre kobiety sądzą, że nigdy nie byłyby w stanie zapomnieć o zdradzie partnera, podczas gdy inne postanowiły ją wybaczyć. Będziemy też rozmawiać z kobietami, które zdradzają. W studiu jest ze mną Amber, która twierdzi, że nigdy nie da się naprawdę kogoś poznać, nawet siebie samego. Amber, opowiedz nam coś o tym – mówi Madeline, po czym przewraca oczami i sprawdza skrypt, żeby zobaczyć, jaki jest następny punkt programu. Podnosi na mnie wzrok. – No? Co masz do powiedzenia? – Jej głos zmienia się z każdym słowem, jakby kończyły się jej baterie. Potem wymiotuje na stół. Podnosi głowę, wyciera usta i mówi dalej:

– Amber? – Teraz z jej ust wydobywa się głos Paula. – Amber?

Siadam na łóżku.

– Miałaś jakiś koszmar – mówi Paul.

Mrugam w ciemnościach. Moją skórę pokrywa pot i dziwnie się czuję.

– Wszystko już dobrze – dodaje Paul.

Ale wcale tak nie jest. Odsuwam kołdrę i biegnę do łazienki. Jedną ręką opieram się o muszlę klozetową, a drugą odsuwam sobie z twarzy włosy. Nie trwa to długo. Słyszę, jak Paul wstaje z łóżka, i zamykam drzwi do łazienki.

– Nic ci nie jest? – pyta zza sosnowej bariery.

– Wszystko w porządku. Jest zimno, wracaj do łóżka, zaraz przyjdę – kłamię.

Po chwili Paul wycofuje się, nie protestując.

Splukuję toaletę, obmywam twarz i myję zęby, patrząc na siebie w lustrze. Spogląda na mnie z niego jakaś wariatka, więc wbijam wzrok w podłogę. Wypluwam pastę do zębów, w bieli widać drobinki czerwieni. Ocieram usta. Moje palce wskazujące i kciuki się stykają, a ręce podnoszą się do twarzy. Szarpię kolejno obie brwi i strzepuję fragmenty włosów do zlewu. Przerywam dopiero, kiedy na białej porcelanie mogę naliczyć dziesięć małych czarnych kawałków siebie. Zawsze musi być ich dziesięć. Po chwili odkręcam zimną wodę i splukuję umywalkę.

Jak najciszej otwieram drzwi i sprawdzam, co z Paulem. Zasnął już z powrotem, z otwartych ust wydobywa się lekkie pochrapywanie. Zdejmuję szlafrok z haczyka na drzwiach sypialni i przekradam się do swojego gabinetu. Wszystko jest schludne i uporządkowane, dokładnie tak, jak to zostawiłam. Wyjmuję białe rękawiczki oraz pióro i wbijam wzrok w czystą kartkę papieru. Jestem za bardzo zmęczona, żeby się zastanawiać, co napisać, i nagle przypominam sobie panią MacDonald ze szkoły i jej zasadę trzech rzeczy. Zjawiają się słowa i uśmiecham się do siebie.

Kochana Madeline,

mam nadzieję, że podobały Ci się moje dotychczasowe listy. Wiem, jak bardzo lubisz czytać pocztę od wielbicieli.

Ale ja nie jestem Twoim wielbicielem.

Są trzy rzeczy, które powinnaś o mnie wiedzieć:

1. Wiem, że nie jesteś kobietą, którą udajesz.

2. Wiem, co zrobiłaś i czego nie zrobiłaś.

3. Jeśli nie zrobisz tego, o co proszę, powiem wszystkim, kim naprawdę jesteś.

Będę do Ciebie pisać, póki tego nie zrozumiesz. Oczywiście atrament kiedyś się kończy, więc miejmy nadzieję, że nie potrwa to długo. Jeśli wypisze mi się pióro, będzie trzeba znaleźć inny sposób, żeby Cię przekonać.

– Co robisz? Czemu nie wróciłaś do łóżka? I co to za rękawiczki jak u magika?

Paul zagląda do gabinetu w samej koszulce i bokserkach. Przyłapano mnie.

– Nie mogłam spać. Chciałam zacząć pisać świąteczne kartki, ale było mi zimno w ręce – mówię, zająkując się.

Paul patrzy na mnie dziwnie.

– Okej. Mama właśnie przysłała mi wiadomość. Myśli, że lekarze próbują ją zabić. Muszę znowu do niej pojechać.

Nie wiedziałam, że ona w ogóle potrafi wysłać wiadomości.

– W tej chwili?

– Tak, w tej chwili. Ona mnie potrzebuje.

– Pojadę z tobą – proponuję.

– Nie, nie trzeba. Wiem, że zamartwiasz się o pracę. Zresztą niedługo wrócę.

Odchodzi od drzwi, zanim mam czas odpowiedzieć. Słyszę odgłos odkręcanego prysznica i szum budzącego się bojlera. Więc aż tak bardzo mu się nie spieszy. Składam list, wkładam go do czerwonej koperty i chowam białe rękawiczki z powrotem do szuflady. Przechodzę obok łazienki; drzwi są uchylone i wylewają się zza nich kłęby uciekającej pary. Zaglądam przez wilgotną chmurę i widzę męża nago pod prysznicem. Dawno już nie oglądałam go w ten sposób i czuję dziwną mieszaninę odrzucenia i ulgi. Idę szybko do sypialni i biorę z szafki nocnej jego telefon. Szósta pięćdziesiąt pięć. Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno, mam wrażenie, że nadal jest środek nocy. Wpisuję w telefonie Paula jego hasło. Pamiętam, jak kilka miesięcy temu pierwszy raz próbowałam je odgadnąć. Wpisałam najpierw datę ślubu, potem datę swoich urodzin, wreszcie jego. Oczywiście interesował go tylko on sam. Otwieram wiadomości. Ostatnia, ode mnie, przyszła ponad dobę temu. Nie ma żadnych wiadomości od jego matki. Słyszę, że zakręcił prysznic. Odkładam telefon, wskakuję do łóżka i odwracam się do ściany. Słucham, jak Paul wyciera się, ubiera, spryskuje dezodorantem, zapina pasek i wkłada do kieszeni garść drobniaków.

– Jak tam dojedziesz? Pociągiem? – pytam.

– Nie, samochodem będzie szybciej.

– Myślałam, że trzeba zrobić badanie techniczne.

– Dave mówi, że wszystko gotowe. Zabiorę auto z parkingu przed warsztatem. Mam zapasowy klucz.

– On też przysłał ci wiadomość?

– Nie, dzwonił wczoraj wieczorem. Bo co?

– Tak pytam.

Na wszystko ma odpowiedź.

Całuje mnie na do widzenia i mówi, że mnie kocha. Ja też mówię, że go Kocham. Zużyte słowa, które skurczyły się w praniu i straciły znaczenie. Leżę zupełnie nieruchomo, nasłuchując, jak mąż mnie zostawia. Nie trwa to długo. Kiedy drzwi wejściowe się zamykają, wstaję z łóżka i patrzę zza zasłony sypialni, jak się oddala.

Schodzę na dół do kuchni i zapalam światło. Zaschło mi w gardle, więc nalewam sobie szklanę wody, żeby zabrać ją na górę. Przystaję przed piekarnikiem i dwanaście razy sprawdzam, czy jest wyłączony, pstrykając jednocześnie palcami lewej ręki. Zauważam, że na szafce w korytarzu miga czerwone światełko automatycznej sekretarki. Jedyni ludzie, którzy kiedykolwiek korzystali z numeru domowego, to moi rodzice, a nawet oni już na niego nie dzwonią. Mój palec wskazujący zawisa niechętnie nad przyciskiem „play”. Boję się go dotknąć, jakby mógł mnie poparzyć. Przełykam duży łyk wody, by wypłukać ze mnie strach, i wciskam guzik. Wiadomość jest sprzed dwóch dni, od Paula. Więc naprawdę dzwonił, żeby powiedzieć, że jest u mamy. Nie wiem, jakim cudem nie zauważyłam światełka na sekretarce, przecież cały czas się obok niej kręcę. Kasuję wiadomość, po czym zastygam nad przyciskiem „odtwórz wszystkie”. Nie wiem, czemu muszę to znowu usłyszeć, ale tak jest. Zamykam oczy, kiedy znajomy głos ojca wypełnia moje serce i uszy. „Cześć, Orzeszku, to ja, tata. Oddzwon, jak to odsłuchasz”. Nie nazywał mnie tak od bardzo dawna. Łzy, które udawało mi się dotąd powstrzymać, spływają mi teraz z oczu. Robią ścieżki na moich policzkach i zawisają na brodzie, po czym spadają na piżamę, tworząc wilgotne plamy smutku. Tak długo trzymam już tę wiadomość... Paul mówi, że to niezdrowe, nie rozumie tego. Powodowana jakąś mimowolną ciekawością, podnoszę słuchawkę i wciskam guzik wybierania numeru ostatniego połączenia. Po kilku sygnałach słyszę jakiś odgłos i w moim uchu odzywa się automatyczna sekretarka. Odkładam słuchawkę z trzaskiem i patrzę na nią gniewnie, jakby to wszystko była jej wina. Nigdy jeszcze nie dzwoniłam z tego telefonu do Claire.

Wtedy
Czwartek, 22 grudnia 2016 – rano

Spóźniam się kilka minut do pracy. Madeline już przyszła, ale to nieważne, nie dzisiaj. Wciąż jestem zdezorientowana, jakbym śniła. Po wyjściu Paula zajrzałam na dno jego szafy. Ładna różowa torebka i jej czarna koronkowa zawartość zniknęły. Wątpię, czy był to prezent dla jego matki.

Siadam cicho przy biurku, reszta zespołu jeszcze się zbiera. Koleżanki mówią mi „dzień dobry”, a ja kiwam w odpowiedzi głową. Mam wrażenie, jakbym słuchała zepsutej płyty. Nie mam dziś ochoty na żadne rozmowy i w ogóle nie jest to dla mnie najlepszy poranek. Kiedy wydaje mi się, że nikt nie patrzy, przyglądam się kobietom w biurze. Wszystkie wyglądają na otepiałe, trochę zmęczone, mocno pogubione. Zbiorowisko ludzi wiszących w pustce, próbujących utrzymać się na powierzchni nieprzewidywalnego morza. Nie są moimi koleżankami, nie tak naprawdę; każda z nas wepchnęłaby resztę pod wodę, gdyby dzięki temu sama mogła się uratować. Dochodzę do wniosku, że nie mam się czego obawiać: one nie widzą prawdziwej mnie, nawet siebie samych nie widzą.

Madeline wychodzi ze swego biura, by coś burknąć, i kieruje na mnie wzrok. Rozmawia z innymi, ale wpatruje się we mnie i przez chwilę jestem przekonana, że wie. W ustach mam obrzydliwy posmak, którego nie mogę się pozbyć. Znowu czuję, że zbiera mi się na wymioty, idę do łazienki, starając się ze wszystkich sił zachować pozory spokoju. Gdy tylko wchodzę do toalety, rzucam się do kabiny, wciskam spłuczkę i dosłownie w ostatnim momencie nachylam się nad muszlą z nadzieją, że nikt mnie nie usłyszy. Wymiotuję samą żółcią, nic nie jadłam. Zastanawiam się, czy to tylko nerwy, czy poczucie winy, czy jedno i drugie. Tak czy inaczej, muszę się doprowadzić do porządku i to szybko, nie mam czasu na takie rzeczy. Słyszę na zewnątrz głos Jo. Radzi, żebym przed audycją wyskoczyła do apteki, jest jedna w pobliżu naszego budynku. Chyba ma rację. Czekam chwilę, żeby mieć pewność, że już po wszystkim, po czym otwieram drzwi i myję ręce, z ulgą widząc, że znowu jestem sama.

Po programie robi mi się o wiele lepiej. Z kolei Madeline nie czuje się dobrze. Przez cały ranek drepcze w kółko do toalety, złana potem. Myśli, że to zatrucie pokarmowe, ale bardziej prawdopodobne, że to efekt środka na przeczyszczenie, który dorzuciłam jej do kawy tuż przed wejściem na antenę. Madeline przepada za kawą i dużo jej pije, nigdy nie odmawia, byle była czarna. Lubi też jeździć do pracy samochodem. Uważa, że transport publiczny jest „obleśny i pełen chamów rozsiewających zarazki”. Ale teraz nie jest w stanie prowadzić, więc proponuję, że ją odwiozę, ku zadowoleniu Matthew i jej wielkiemu zdziwieniu. Z początku wygląda, jakby chciała odmówić, ale po kolejnej pospiesznej wizycie w toalecie kapituluje, a ja się cieszę.

Kiedy wychodzimy z budynku, niosę jej torbę, bo ona „za słabo się czuje”. Dochodzimy do parkingu. Udaję, że nie wiem, który to jej samochód. Madeline otwiera czarnego volkswagena golfa, podaje mi klucze, a sama wciska się na tylne siedzenie, jakby jej auto nagle stało się taksówką. Burkliwie podaje mi kod pocztowy, który

wpisuję w nawigację. Potem ostrzega, żebym „jechała ostrożnie, do cholery” i „uważała na obcokrajowców”.

Podczas jazdy zasypia. Dochodzę do wniosku, że jest o wiele sympatyczniejsza, kiedy siedzi cicho. Gdy śpi, trucizna jest uwięziona w jej ciele, zamiast sączyć się z ust.

Nienawidzę prowadzić po Londynie. Za duży ruch i hałas. Naprawdę zbyt wiele osób jeździ tu samochodami, a w dodatku wszyscy się spieszą, choć tylko nieliczni naprawdę mają po temu powody. Kiedy wyjeżdżamy z centrum, robi się lepiej, ulice zdają się szersze i mniej zatłoczone.

Nawigacja mówi, że jesteśmy już tylko dziesięć minut od celu, lecz nagle samochód wydaje ostrzegawczy odgłos i na desce rozdzielczej zapala się czerwone światelko.

– Kończy ci się benzyna – mówię, patrząc we wsteczny lusterku na zmrużone oczy swej pasażerki. Już się obudziła.

– To niemożliwe – odpowiada.

– Nie martw się, na pewno starczy, żeby dojechać do domu.

– A wyglądam, jakbym się martwiła?

Znowu patrzymy na siebie w lusterku. Wytrzymuję jej spojrzenie tak długo, jak uznaję za bezpieczne podczas jazdy czterdzieści mil na godzinę, po czym z powrotem przenoszę wzrok na jezdnię.

Nie odzywamy się już aż do skrętu w lewo w jej ulicę. Madeline znowu na mnie burczy, dyryguje, gdzie i jak mam zaparkować, ale prawie jej nie słyszę. Jestem zbyt zajęta domem, w którym mieszka. Sama nie bardzo wiem, co czuję na jego widok. Poznaję to miejsce. Już tu kiedyś byłam.

Przedtem
Niedziela Wielkanocna, 1992

Kochany Pamiętniczku,

Taylor wyjechała z rodzicami na całe Świąta Wielkanocne i strasznie mi smutno. Nie widziałam jej od ostatniego dnia lekcji, a zobaczymy się dopiero w następny wtorek, po powrocie do szkoły. Przysłała mi pocztówkę. Mama wpadła kilka dni temu do mojego pokoju z wielkim uśmiechem na twarzy, żeby mi ją dać. Myślała, że się ucieszę. Wcale się nie cieszyłam. Wygląda na to, że Taylor świetnie się bawi beze mnie i chyba wcale za mną nie tęskni.

Ja nie jadę w tym roku na żadne wakacje, nawet gdzieś w Anglii. Mama mówi, że nas na to nie stać. Kiedy zauważyłam, że tata strasznie dużo pracuje, więc powinniśmy mieć masę pieniędzy, tylko się rozpląkała. Ostatnio ciągle płacze, w dodatku straciła na wadze. Może jest za bardzo przygnębiona, żeby jeść. Raz w zeszłym tygodniu była za smutna, żeby zrobić obiad i kolację. Nie wolno mi dotykać kuchenki, więc zjadłam tylko chipsy i herbatniki. Spytałam mamę, czy to z powodu Buni ciągle jej smutno, a ona odparła, że z powodu wszystkiego.

Powiedziała też, że jeśli będę grzeczna, w przyszłym tygodniu znowu zabierze mnie na cały dzień do Brighton. Spytałam, dokąd pojedziemy, jeśli będę niegrzeczna, ale się nie roześmiała. Przypomniałam jej, że mam już dziesięć i pół roku, więc jestem trochę za duża na dziecięce karuzele, ale przeszedłabym się po molo, no i lubię szum morza. Teraz, kiedy jestem starsza, mama zaczęła rozglądać się za pracą na pół etatu, jak mama Taylor. Jak na razie bez powodzenia, choć zgłaszała się do mnóstwa miejsc. Za każdym razem, kiedy ma rozmowę, ubiera się w tę swoją stuletnią czarną garsonkę, nakłada zbyt mocny makijaż, a potem wraca do domu i przez całe popołudnie pije. Ja też bym jej nie zatrudniła, jest za smutna i za leniwa. Przed świętami musiałam przez trzy dni chodzić do szkoły w tej samej koszuli od mundurku. Mama powiedziała, że to nie ma znaczenia i że nikt nie zwróci na to uwagi, a potem spryskała mnie jakimiś paskudnymi perfumami, tak że przez cały dzień śmierdziałam jak ona.

Moje drugie śniadania też zrobiły się ciekawe. Praca taty polega między innymi na uzupełnianiu słodyczy w automatach. Wolno mu zabierać do domu całe pudła darmowej czekolady i chrupek. W zeszłym tygodniu przyniósł pudełko z czterdziestoma kitkatami. Przed ostatnim dniem lekcji skończył nam się chleb, więc zamiast kanapek z masłem i chipsami mama dała mi dwa wafelki. Nie miałam nic przeciwko, ale nauczycielka pilnująca posiłków zobaczyła, co jem, i myślała, że zapomniałam drugiego śniadania, choć powiedziałam, że wcale nie. Odesłała mnie do dzieci, które chodzą na gorący posiłek, i bardzo się ucieszyłam, bo Taylor też tam jada.

Siedziała sama, jak zwykle, więc usiadłam przy jej stoliku. Ale potem

zrobiło się zamieszanie, bo najwyraźniej mama nie oddała za ostatni raz, kiedy musiałam zjeść szkolny obiad. Ostatecznie pani MacDonald chyba się nade mną zlitowała, bo sama za mnie zapłaciła i powiedziała, żebym się nie przejmowała. Zanim dostałam swoją rybę z frytkami, wszystkich posłano już na przerwę. Ze stołówki miałam widok na boisko, na które wybiegła prawie cała szkoła. Zauważyłam grupę dziewczyn z klasy. Stały dookoła Taylor. Popychały ją między sobą jak szmacianą lalkę, a ona wyglądała, jakby wcale jej się to nie podobało. Kiedy próbowała odejść, wepchnęły ją z powrotem do środka, a potem złapały się za ręce i ścieśniły tak, żeby nie było odstępów. Zostawiłam frytki i powiedziałam, że nie chcę deseru, chociaż wciąż byłam głodna. Pobiegłam na boisko, ale nie mogłam znaleźć ani Taylor, ani pozostałych dziewczyn. Potem pobiegłam na dziedziniec, gdzie Taylor siada czasem sama na schodach, ale tam też jej nie było.

Wróciłam do klasy, chociaż przerwa jeszcze się nie skończyła, lecz nikogo nie znalazłam. Coś dziwnego zwróciło moją uwagę. Podeszłam do klasowego akwarium i popatrzyłam na martwą złotą rybkę, unoszącą się na powierzchni zielonkawej wody. Kilka tygodni temu pomagałyśmy z Taylor w czyszczeniu. Pani MacDonald nauczyła nas opróżniać pojemnik – trzeba włożyć do ust rurkę i zasysać z drugiego końca. Jeśli robi się to tak, jak trzeba, woda sama wypływa i można ją zlać do wiaderka. Ma to coś wspólnego z grawitacją. Jak Księżyc i gwiazdy. Za pierwszym podejściem naleciało mi do buzi wody i Taylor się ze mnie śmiała. Chyba od tamtego czasu nikt nie czyścił akwarium.

Wiedziałam, że rybka nie żyje, nie umiałam jednak zdecydować, co o tym sądzę. Kiedy byłam mała, sama miałam złotą rybkę, która zdechła. Bunia splukowała ją w toalecie i zrobiło mi się smutno. Ale tamta rybka była moja, należała do mnie. A ta nie. Kiedy próbowałam znaleźć odpowiednie do sytuacji uczucia, moje ręce mechanicznie uniosły wieko akwarium. Nie wiem, czemu chciałam wziąć rybkę do ręki. Była mokra, śliska i zimna. Wtedy do klasy weszła Taylor. Popatrzyła na zdechłą rybkę, a potem na mnie. Wyjęła mi ją z rąk, włożyła z powrotem do akwarium i zamknęła wieko. Wyciągnęła z rękawa chusteczkę do nosa, zupełnie jak magik wyciągający królika z kapelusza, i wytarła ręce mnie, a potem sobie. Cieszyłam się, że nic jej nie jest.

W zeszłym roku dostałam na Wielkanoc dwa czekoladowe jajka. Jedno od rodziców, jedno od Buni. To od Buni było lepsze, bo w środku miało schowane inne słodczyce. Policzyłam je i razem wyszło mi trzynaście – pamiętam, bo to pechowa liczba, choć i tak się cieszyłam. W tym roku dostałam tylko jedno jajko. Nic nie szkodzi, bo to od Taylor. Ja nic jej nie dałam, ale to zrobię. Może kilka kitkatów, mamy ich całą masę.

Teraz
Czwartek, 29 grudnia 2016

Moi rodzice nie żyją. Nie wiem, jak można o czymś takim zapomnieć, ale zapomniałam. Byli tu, stali przy moim szpitalnym łóżku, tak samo rzeczywiście jak cała reszta, a jednak wcale ich nie było. Nie mogło być, nie żyją od ponad roku. Umysł to potężne narzędzie, potrafi wykreować całe światy i nie zawaha się przed splątaniem kilku figli, żeby pomóc sobie w przetrwaniu. Zanim zginęli, nawet ze sobą nie rozmawialiśmy. Pamiętam ostatnie słowa skierowane do mnie przez tatę, wciąż słyszę, jak je mówi, to wspomnienie jest jak okrutna zacięta płyta:

„Słuchaj, Amber. Wszelki dystans, jaki między nami istnieje, to twoja zasługa. Już jako nastolatka stworzyłaś sobie swój własny mały świat. Nie chciałaś nas w nim. Mogliśmy sobie próbować, a i tak nie bylibyśmy w stanie się do niego dostać. Wiem, bo naprawdę próbowaliśmy. Przez lata. Świat nie kręci się wokół ciebie, wiedziałabyś o tym, gdybyś miała własne dzieci”.

Potem już do mnie nie dzwonili, ja do nich też nie.

To Claire zadzwoniła z informacją, że nie żyją. Wypadek autokarowy we Włoszech. Słyszałam o nim w wiadomościach, ale nawet kiedy prezenter powiedział, że wśród ofiar mogą być brytyjscy turyści, nie miałam pojęcia, że zwraca się właśnie do mnie. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co tak naprawdę się wydarzyło. Spekulowano, że kierowca zasnął za kierownicą. Przez jakiś dzień mówiono o tym w wiadomościach, a potem rodzice zostali zapomniani przez wszystkich poza nami. Coś złego przydarzyło się komuś innemu gdzie indziej i teraz o tym było głośno, podczas gdy my przeżywałyśmy naszą stratę w samotności. Jako najbliższą krewną rodzice wpisali w paszportach Claire. Nawet w śmierci woleli ją ode mnie.

Claire wszystkim się zajęła: załatwiła transport ciał z Włoch, zorganizowała pogrzeb, rozmawiała z prawnikiem. Ja natomiast opróżniłam ich dom, pozbyłam się ich rzeczy, rozdałam fragmenty ich życia innym ludziom w innych miejscach. Claire mówiła, że nie byłaby w stanie tego zrobić.

Nadal czuję szok, myśląc o tym, jak rzeczywiście wydawali mi się w tym szpitalnym pokoju. Chyba tak bardzo pragnęłam jakiegoś towarzystwa, że mój umysł postanowił spełnić to życzenie i zwrócił mi rodziców jako żyjące wspomnienia. Zmarli wcale nie są tak daleko, gdy naprawdę ich potrzebujemy: po prostu znajdują się po przeciwnej stronie niewidzialnego muru. Ból straty i poczucie winy należą tylko do ciebie. Nie jest to coś, czym można się podzielić. Claire była szczerze załamana, kiedy rodzice odeszli. Całymi tygodniami płakała zewnątrz – a ja bez końca płakałam w głębi serca. Teraz zaczynam kwestionować wszystko, co stawia przede mną mój umysł, próbuję odsiać to, co rzeczywiste, od tego, co mogło być snem.

Drzwi się otwierają i ktoś przysuwa sobie krzesło. Bierze mnie za rękę i po samym sposobie, w jaki ją trzyma, wiem, że to Paul. Jego dłonie są miękkie, z wyjątkiem zgrubienia na środkowym palcu, gdzie za mocno ścisną długopis podczas pisania. Wrócił. Widać policja go wypuściła. Przez długi czas siedzimy w milczeniu. Czuję, jak

się we mnie wpatruje, ale nie mówi ani słowa, tylko trzyma mnie za rękę. Kiedy pielęgniarki przychodzą obrócić mnie i przewinąć, zgodnie z poleceniem czeka na zewnątrz. Gdy odchodzą, wraca. Chcę wiedzieć, co się z nim działo, chcę wiedzieć, co mówiła policja, o co go podejrzewała.

Wchodzi pielęgniarka, żeby powiedzieć, że godziny odwiedzin dobiegły końca. Paul nie odpowiada, ale chyba ma wymowny wyraz twarzy, bo kobieta mówi, że może zostać, jak długo zechce. Cokolwiek sądzi policja, obsługa szpitala wyraźnie uważa go za dobrego męża. Znowu tkwimy przez jakiś czas w milczeniu: on nie może znaleźć słów, a mnie je odebrano.

– Przepraszam – mówi wreszcie.

Kiedy zastanawiam się za co, wyczuwam, że się nade mną nachyla, i włącza się znajoma już panika. Nie wiem, dlaczego się boję, ale nagle znowu przez głowę przelatuje mi skrawek wspomnienia, męskie dłonie zaciskające się na moim gardle, i pomimo urządzenia pompującego tlen do płuc czuję, że brakuje mi oddechu. Dłonie Paula są na mojej twarzy, nie na gardle, nadal jednak nie wiem, co on robi. Mam ochotę krzyknąć, kiedy wpycha mi coś do uszu. Ścieżka dźwiękowa mojego świata słabnie nieco i wcale mi się to nie podoba; słuch to jedyne, co mi pozostało.

– Co ty robisz? – pyta Claire i dźwięk jej głosu to dla mnie wstrząs. Nie mam pojęcia, od jak dawna tu jest, w ogóle nie wiedziałam, że tu siedzi.

– Lekarz mówił, że to może pomóc – mówi Paul, na powrót biorąc mnie za rękę.

– I policja cię puściła?

– Na to wygląda.

– Wszystko w porządku? – pyta Claire.

– A jak ci się wydaje?

– Wydaje mi się, że wyglądasz strasznie i pachniesz, jakby przydał ci się prysznic.

– Dzięki. Przyszedłem prosto z posterunku.

– No, w każdym razie już po wszystkim.

– Wcale nie, oni nadal myślą, że...

Ale dla mnie to koniec, bo dalej już ich nie słyszę. Moje uszy wypełniają się muzyką, która pulsuje i wsącza się w moje ciało, wythumiając inne doznania, aż nie czuję nic poza nią. Wszystko inne, wszyscy inni znikają i dzięki kilku nutom przenoszę się w inne miejsce, we wspomnienie: to przy tej piosence wchodziłam do kościoła, kiedy braliśmy z Pauliem ślub. Słowa wciągają mnie w przeszłość.

Spróbuję cię naprawić.

Już wtedy chciał mnie naprawiać, choć nawet nie wiedziałam, że jestem popsuta. Nadal próbuje to zrobić. Wspomnienie jest nieco rozmazane, ale prawdziwe, więc uwalniam je i chwytam się go mocno. Widzę Paula, który wsuwa mi na palec obrączkę, uśmiecha się do mnie, jesteśmy szczęśliwi. Bo byliśmy wtedy szczęśliwi, i to bardzo. Chciałabym, byśmy mogli na powrót stać się tamtą wersją nas. Teraz już na to za późno.

To była skromna ceremonia, bo nigdy nie miałam wielu przyjaciół. Prawda jest taka, że po prostu nie ma zbyt wiele osób, które lubię. Każdy, kogo się spotyka, w nieunikniony sposób ma jakieś wady. Kiedy poznaję kogoś na tyle dobrze, by zobaczyć wszystkie pęknięcia i skazy, nie chcę już spędzać z nim czasu. Nie unikam

niedoskonałych ludzi dlatego, że uważam się za lepszą od nich, po prostu nie lubię patrzeć na własne odbicie. Zresztą każdy, do kogo się zbliżyłam, ostatecznie źle na tym wychodzi, więc przestałam starać się o nowe przyjaźnie. Nauczyłam się, że najlepiej zwyczajnie trzymać się tego, co się ma.

Piosenka się kończy i wracam. Muzykę zastępuje szum respiratora i jakiś mniej znajomy piszczący odgłos. Dołączyła do nas pielęgniarka. Poznają to po szeleście jej plastikowego fartucha, kiedy przesuwa się obok łóżka: ćśśś. Życzenie fartucha się spełnia, w pokoju zapada cisza. Moje życie stało się obrazem malowanym dźwiękami, a moje przepracowane uszy są jak pędzel. Piszczący odgłos się urywa. Kiedy pielęgniarka odchodzi, Paul i Claire wznowiają rozmowę i mimowolnie zastanawiam się, co przegapiłam.

– Paul, musisz przestać się obwiniać. To był wypadek.

– W ogóle nie powinienem być jej puścić.

– Musisz wziąć się w garść. Ona cię potrzebuje, a w tej chwili jesteś w całkowitej rozsypce. Musisz się umyć, wypocząć i dojść do siebie.

– Oni nadal myślą, że to ja prowadziłem samochód, że jestem facetem, który bije żonę po pijaku, a potem o tym zapomina. Nie jestem taki.

– Wiem.

– Oni mnie nienawidzą. Nie zrezygnują, wrócą tu jeszcze, wiem o tym. Nie zostawię jej znowu. Ty idź, jeśli chcesz.

Milkną akurat, kiedy najbardziej mi zależy, żeby rozmawiali dalej. Samochód naprawdę prowadził ktoś inny, tego jestem pewna. Ale nie Paul. Czuję ulgę, że Claire też mu wierzy.

– Zostanę jeszcze trochę, dotrzymam ci towarzystwa, jeśli masz ochotę – proponuje.

– Jak chcesz.

Milkną. Paul puszcza mi w słuchawkach kolejne wspomnienie; piosenkę, w której zakochaliśmy się podczas ostatnich wakacji. Potem przychodzą kolejne melodie, kolejne wspomnienia, ale wreszcie muzyka cichnie, wraca cisza i teraz rozbrzmiewa o wiele głośniejsze.

– Chcesz porozmawiać o dziecku? – pyta Claire.

Jakim dziecku?

– Nie – mówi Paul.

– Wiedziałeś o tym?

O czym miał wiedzieć?

– Powiedziałem, że nie chcę o tym rozmawiać.

Ale ja chcę.

Lecz nie rozmawiają. Respirator sapie i buczy, odbijając echem frustrację w pokoju.

– No tak, cóż, ja wracam do domu. Jest późno – mówi Claire. – Mogę cię podwieźć albo przywieźć ci ubranie na zmianę i kosmetyczkę, jeśli dasz mi klucze do domu.

Nie dawaj jej kluczy.

– Pojadę z tobą i wrócę za kilka godzin.

– Musisz odpocząć.

– Muszę być przy Amber.

– Okej.

Claire całuje mnie w policzek, czuję jej miętowy szampon. Zastanawiam się, jak wyglądają moje włosy po tak długim czasie bez mycia. Paul też mnie całuje i wyciąga mi z uszu słuchawki. Nie chcę, żeby odszedł. Kiedy drzwi się za nimi zamykają, pozostaję sama ze swoim milczeniem i aparaturą i od razu ogarnia mnie ponury nastrój. Nagle znowu słyszę drzwi i wydaje mi się, że to Paul zmienił zdanie i wrócił, aby przy mnie posiedzieć, lecz to ktoś inny.

– Witaj, Amber – mówi męski głos. Słyszę odgłos przekręcanego zamka i wiem, że to on, ten człowiek, który był tu wcześniej, który skasował moje wiadomości głosowe. – Właśnie wpadłem na twój męża. Trochę zaniedbany, nie wiem, co w nim widzisz. Słyszałem od kolegi, że prawie cię straciliśmy. Ale zdołali cię odratować, więc nie stała się żadna krzywda.

Kolegów.

On tu pracuje?

– Wiesz, że ten środek, który stosują w Ameryce przy karze śmierci, to jeden z leków, które wykorzystuje się do utrzymywania ludzi w stanie śpiączki? Dlatego tak się dziwię, że cię tu dziś widzę, bo tamta dawka naprawdę powinna cię zabić. Ale widać pomylili mi się porporcje.

To nie może być rzeczywistość, to się nie dzieje naprawdę. Obudź się. OBUDŹ SIĘ.

– Każdy popełnia błędy. Najważniejsze, żeby się na nich uczyć. Od teraz będę się tobą zajmować o wiele lepiej.

To nie jest sen.

– Nie ma za co. Wiem, że podziękowałabyś, gdybyś mogła.

Ja znam tego człowieka.

Mężczyzna głaszcze mnie po twarzy.

Już go pamiętam.

Nachyla się nad łóżkiem i całuje mnie, a potem powoli liże po policzku, jakby smakując moją skórę. Wzdrygam się w duchu. Przesuwa rurkę z tlenem na bok i całuje mnie w usta, wpycha mi język między wargi, jego zęby zderzają się z rurką i z moimi zębami. Jego dłoń przesuwana się po moim ciele, chwyta za pierś pod szpitalną koszulą. Kiedy kończy, układa mnie tak, jak mnie zastał.

– Masz rację, nie powinniśmy się spieszyć – mówi i opuszcza pokój.

Wtedy
Czwartek, 22 grudnia 2016 – wieczór

Nie dlatego to robię, że Paul znowu nie wróci na noc do domu. I nie z powodu znikającej torebki z czarną koronkową bielizną, bo może istnieje na to jakieś zupełnie niewinne wytłumaczenie. Robię to, bo chcę, i już. Masa ludzi przyjaźni się ze swoimi byłymi. To nie musi nic znaczyć i nie robię niczego złego. Powtarzam sobie te słowa w głowie, chcąc wreszcie w nie uwierzyć. Z każdym krokiem narasta we mnie poczucie, że idę w złym kierunku, ale mimo to nie zawracam z obranego kursu.

Nad rzeką kręci się pełno uśmiechniętych ludzi. Tamiza tańczy w świetle księżyca, a w oddali majestatycznie wznoszą się wieżowce. Kocham to miasto nocą; w ciemnościach nie widać brudu i smutku.

Natychmiast zauważam go w barze, jego sylwetka wydaje się dziwnie znajoma nawet po tylu latach. Stoi do mnie plecami, ale widzę, że trzyma już w ręce kieliszek. Jeszcze nie jest za późno. Mogłabym zwyczajnie odwrócić się i wyjść, zapomnieć o całej sprawie, do której nigdy nie doszło.

To tylko drink.

Mam wrażenie, jakby moje buty na obcasach wrosły w podłogę; nagle zaczynam czuć mdłości i muszę ruszyć biegiem. Widzę neonowy znak wskazujący toalety i przepycham się między wczesnymi klientami baru, martwiąc się, że nie zdążę. Ale nudności mijają, gdy dobiegam do kabiny, może to tylko nerwy. Myję dłonie. Nie wiem czemu, bo nie są brudne. Biorę papierowy ręcznik i wycieram je mocno, moja uwaga skupia się nagle na ślubnej obrączce na lewej ręce. Biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze i patrzę na swoje odbicie w lustrze, ciesząc się, że nie ma tu nikogo innego, kto mógłby mnie zobaczyć. Oczy, które na mnie spoglądają, są zmęczone i nieobecne, ale ogólnie rzecz biorąc, nie wygląda to źle. Nowa mała czarna dobrze leży, ładnie opina moje zaniedbane ciało, a obcasy, choć niewygodne, dodają mi pewności siebie. Okiełznałam swoją ciemną strzechę, umalowałam twarz i paznokcie. Nie wiem, czemu to takie ważne, ale chcę, żeby uznał, że dobrze wyglądam.

Uśmiecham się do swego odbicia, by się uspokoić, ale ono odpowiada mi półgębkiem. Znowu robię zwykłą minę. Pełna spokoju cisza, która pomagała mi nad sobą zapanować, pęka, kiedy drzwi otwierają się z hukiem. Barowy hałas zalewa małą łazienkę i wysysa z niej powietrze. Z trudem utrzymuję głowę na powierzchni i chwytam się umywalki, białe knykcie wskazują wyjście. Do środka wtaczają się dwie kobiety, trochę już sterane, śmieją się z czegoś, w co nie jestem wtajemniczona. Wyglądają młodziej ode mnie, choć podejrzewam, że jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. Mają krótkie spódniczki, czerwone usta, a ich papierowe kapelusiki przypominają mi, że już prawie Boże Narodzenie. Nic to dla mnie nie znaczy – Boże Narodzenie. Paplanina wylewająca się z ust obu kobiet jest na tyle głośna, że ucisza głosy w mojej głowie, które każą mi stąd uciec. Biorę głęboki wdech i ruszam do baru.

Staję obok niego, wdycham jego zapach, już tak znajomy i zakazany. On wydaje się zupełnie mnie nie zauważać.

– Poproszę kieliszek malbeca – mówię do barmana.

Kątem oka widzę, jak Edward odwraca głowę i pożera mnie wzrokiem od stóp do głów, tak jak zawsze.

– Witaj, Edwardzie – mówię.

Staram się, by moja twarz i głos pozostały spokojne. Edward odpowiada mi uśmiechem. Mnie czas odmienił, ale jego najwyraźniej nawet nie tknął. Jeśli już, to te kilkanaście lat podziałało na jego korzyść. Mimowolnie zauważam opaloną skórę, białe zęby i żartobliwy błysk w brązowych oczach, które zdają się patrzeć na mnie z zachwytem.

– Ja płacę, i proszę jeszcze jedno amber ale, podoba mi się ta nazwa. – Wyjmuje ze skórzanego portfela świeży dwudziestofuntowy banknot i kładzie go na barze. Jego biała bawełniana koszula wydaje się niemal za ciasna, obciska ukryte pod spodem mięśnie. Kiedy byliśmy na studiach, ciągle chodził na siłownię i widać, że tego nie zarzucił. – Więc przyszłaś.

– Przyszłam – mówię. Jego spojrzenie jest zbyt intensywne i z trudem powstrzymuję się, żeby nie odwrócić głowy.

– Miło cię widzieć. – Coś w jego wzroku sprawia, że czuję się troszkę niepewnie. Pojawia się wino; nie mogłam się go doczekać.

– No cóż, miałam dziś parę wolnych godzin, więc pomyślałam, że miło będzie się dowiedzieć, co u ciebie słychać – mówię.

– Parę godzin? Tylko tyle mi poświęcisz? – Podaje mi kieliszek.

– Nie, na ciebie mam tylko kwadrans, później jestem umówiona z kimś fajniejszym.

Uśmiecha się, o ułamek sekundy za późno.

– Jeszcze jedna randka? – pyta.

Rumienię się.

– Rozumiem. W takim razie powinienem jak najlepiej wykorzystać swój czas. Na zdrowie. – Edward stuka szklanką w mój kieliszek.

Nie odrywa ode mnie oczu, kiedy pijemy. Ja pierwsza odwracam wzrok i połykam więcej wina, niż powinnam.

Rozmowa szybko robi się swobodna. Alkohol ułatwia konwersację, jedno i drugie płynie szerokim strumieniem. Mimo upływu lat w jego towarzystwie czuję się naturalnie. Do świąt pozostały tylko trzy dni i w barze panuje nieprzyjemny ścisk, ale prawie tego nie zauważam. Otaczający nas tłum nieznajomych wciąż gęstnieje, chroni mnie przed niebezpiecznie ostrymi kantami tego, czym kiedyś dla siebie byliśmy. Odwzajemniam uśmiechy, komplementy i lekkie dotyki Edwarda, aż nazbyt dobrze zdając sobie sprawę, że wystarczy najdrobniejsze rozdarcie, a tkanina mojego obecnego życia się spruje. Już po dwóch drinkach czuję się nieco bardziej pijana, niż powinnam być. Niewiele dziś jadłam.

– Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu – mówi Edward, jakby czytając w moich myślach. – Masz czas na szybki posiłek?

Zastanawiam się nad tą propozycją. Jestem głodna. Miło nam się rozmawia. Nie robię niczego złego. Nie potrafię znaleźć powodu, by odmówić, choć fakt, że nie bardzo się o to staram.

– Ale gdzieś blisko? – pytam.

– W porządku – mówi Edward i wstaje, żeby pomóc mi włożyć żakiet.
Kiedy udaje nam się przepchnąć przez tłum, otwiera przede mną drzwi.

– Ty przodem.

Już zapomniałam, jak to jest wyjść na miasto z dżentelmenem; czuję się, jakby wróciła do mnie przeszłość.

Jest strasznie zimno, ale Edward mówi, że zna jedno miejsce w pobliżu. Odzwyczaiłam się od chodzenia w obcasach po bruku. Kiedy po raz drugi się potykam, bierze mnie pod ramię. Pozwalam mu na to, choć wiem, że wyglądamy teraz jak para, ale chyba mi to nie przeszkadza. Zatrzymujemy się przed czymś, co wygląda jak kamienica rezydencyjna, i nieco się dziwię, bo Edward puszcza moje ramię i puka w ciężkie czarne drzwi.

– Co ty wyprawiasz? – pytam szeptem. Czuję się jak pensjonarka.

– Szukam miejsca na kolację, chyba że nie jesteś już głodna?

Zanim mam czas odpowiedzieć, wielkie, połyskliwe drzwi otwierają się i w progu staje ubrany na czarno mężczyzna w średnim wieku. Jest tak wysoki, że sprawia to aż dziwne wrażenie, jakby ktoś rozciągnął go w pionie. Ma twarz człowieka, który słyszał zbyt wiele złych wieści.

– Znajdzie się stolik dla dwojga? – pyta Edward.

Ku memu zdumieniu mężczyzna kiwa głową.

– Oczywiście, proszę pana, proszę za mną.

Idąc długim korytarzem wyłożonym marmurową podłogą, czuję się jak Alicja w Krainie Czarów. Spoglądam przez ramię, by sprawdzić, czy Edward nadal za mną podąża. Wydaje się zadowolony z siebie i zdaje sobie sprawę, że pewnie wszystko to zaplanował. Nie przeszkadza mi to, przecież nie zmuszał mnie, żebym tu przyszła. Skracamy w małe drzwi po prawej stronie i wchodzimy do dużej, oświetlonej świecami jadalni. Prowadzą nas do jedyne go wolnego stolika. W pokoju siedzą już cztery inne pary, które nawet nie podnoszą głów.

– Przyniosę kartę win, proszę pana – mówi osobnik w garniturze, po czym wycofuje się z naszymi płaszczami za przesłonięte draperią drzwi.

– Bardzo to imponujące... – To jedyny komentarz, na jaki mnie stać.

– Cieszę się, że ci się podoba. Lubię to miejsce. Wstęp tylko dla członków.

Jego opalone dłonie biorą ze stołu białą bawełnianą serwetkę, rozwijają ją ostrożnie, jakby trzymały Całun Turyński, i rozkładają na kolanach. Robię to samo ze swoją, po czym zastanawiam się, kiedy wreszcie podadzą kartę win. Martwię się, że wyczerpaliśmy już wszystkie ciekawe tematy.

– Jak nowa praca? – pytam.

– Dobrze. Właściwie bardzo dobrze. To miało być tylko na jakiś czas, ale zaproponowali mi stały etat i postanowiłem zostać nieco dłużej.

– Gratulacje. W którym szpitalu?

– Króla Alfreda.

– To niedaleko mnie – mówię.

Edward się uśmiecha.

– A twoja dziewczyna? Też pracuje w Londynie?

– Tak, ale w centrum. Przy moich dyżurach i jej grafiku nie widuję jej tak często, jak

bym chciał. Obawiam się, że nie ma tu menu; je się to, co podadzą, ale wszystko zawsze jest znakomite.

– A jak podadzą coś, co nie będzie mi smakowało?

– Jestem przekonany, że do tego nie dojdzie.

Słucham, jak opowiada o pracy. Zawsze chciał być lekarzem i teraz nim jest. To jedna z rzeczy, które tak mnie w nim pociągały, kiedy się poznaliśmy. Pragnął pomagać ludziom, ratować ich. Nie mówi o tym zbyt długo, jest na to za skromny, ciągle próbuje skierować rozmowę na mnie. Moje historie wydają się w porównaniu płytkie i bez znaczenia. Ja nie ratuję ludzkiego życia. Robię to, co robię, żeby pomóc sobie samej.

Serwują nam najlepszy posiłek, jaki jadłam od dawna. Kiedy obsługa po raz kolejny dolewa mi wina, nie mogę się powstrzymać i próbuję wybadać, o co chodzi w tym idealnym wieczorze.

– Twoja dziewczyna wie, że masz dziś spotkanie z byłą? – pytam.

– Oczywiście! A twój mąż nie?

Nie odpowiadam i Edward śmieje się ze mnie. Nie podoba mi się to.

– To było dawno temu, oboje zdążyliśmy od tego czasu dorosnąć – mówi.

Czuję się głupia i stara, jakbym przekroczyła już termin przydatności do spożycia.

Edward rezygnuje z deseru, ja również. Opowiada o czymś, a ja mimowolnie przypominam sobie czasy, kiedy byliśmy razem. Wtedy prawie nie mógł utrzymać rąk z dala ode mnie, ale to było ponad dziesięć lat temu. Może on wygląda tak samo jak wtedy, ale ja nie. Pomimo nowych ubrań i makijażu nadal jestem sobą, lecz nie tą, którą on pamięta.

– Odprowadzę cię do Waterloo – proponuje.

– Naprawdę nie ma potrzeby, sama doskonale trafię.

– Nie wątpię, ale nie zapominaj, że to dla mnie nowa okolica. Mogę się zgubić, więc ucieszyłbym się z towarzystwa.

Wychodzimy z restauracji. Edward podaje mi ramię, a ja nie widzę powodu, żeby odmówić. Czuję przez płaszcz jego ciepło i zauważam, jak patrzą na niego kobiety, kiedy idziemy niespiesznie do stacji. Przechodzimy przez halę dworca, zmęczonymi oczami skanuję tablicę odjazdów, martwiąc się, czy zdążę na ostatni pociąg.

– Dla mnie peron trzynasty. Bardzo ci dziękuję za uroczy wieczór. – Całuję go w policzek.

– Musimy to kiedyś powtórzyć.

– Bardzo bym chciała – odpowiadam, nie do końca przekonana, czy to prawda.

Edward bierze mnie za rękę i natychmiast zaczynam się czuć niezręcznie.

– Muszę już iść – mówię, próbując wysunąć palce z jego uścisku.

– Wcale nie. Chodźmy na ostatniego drinka. Możesz złapać następny pociąg...

– Naprawdę nie mogę, ten jest chyba ostatni.

– Więc zostań ze mną. Możemy wynająć pokój w którymś z najlepszych hoteli, jakie ma do zaoferowania Londyn. – Jego palce zaciskają się na mojej dłoni i widzę w jego oczach wyraz, który wykasowałam ze wspomnień o naszym związku. Zabieram rękę.

– Edwardzie, ja mam męża.

– Nie jesteś szczęśliwa. Inaczej byś nie przyszła.

– To nieprawda.

- Nie? Przecież cię znam.
- Ta wersja mnie, którą znasz, przedawniła się o kilka lat.
- Nie wydaje mi się. Oboje pokpiliśmy wtedy sprawę, ale możemy zacząć od nowa. Wtedy sam nie wiedziałem, co mam, ale teraz wiem, i chcę to odzyskać. Myślę, że ty też. Dlatego dziś przyszedłeś.
- Bardzo mi przykro, jeśli moje zachowanie sprawiło, że źle mnie zrozumiałeś. Muszę już iść.
- Odchodzę. Nie muszę się oglądać, żeby wiedzieć, że Edward nadal tam stoi i że popełniłam duży błąd.

Przedtem
Środa, 14 października 1992

Kochany Pamiętniczku,
dzisiaj są moje urodziny. Kończę jedenaście lat. Taylor tak samo, ale nie spędziłyśmy tego dnia razem. To były bez wątpienia najgorsze urodziny w moim życiu. Wszystko się popsuło i nie mam pojęcia, jak to naprawić. Zaczęło się źle, a potem było już tylko gorzej. Ale to nie moja wina, naprawdę.

Co noc wkładałam bransoletkę Taylor, tę z naszą datą urodzenia wygrawerowaną w złocie. To brzmi głupio, ale kiedy ją noszę, mam wrażenie, jakby Taylor była przy mnie, i od razu mi weselej. Dzisiaj rano byłam taka podniecona, że zapomniałam ją zdjąć przed zejściem na dół. Ale jestem głupia.

Mama powiedziała, że zanim zacznę otwierać prezenty, muszę zjeść śniadanie. Ciągle myśli o jedzeniu i znowu zrobiła się gruba, tym razem do tego stopnia, że musiała rozciąć kuchennymi nożyczkami górę od legginsów, bo zrobiły się za ciasne. Kiedy sięgałam po płatki, zauważyła bransoletkę. Z początku się nie przejęła, spytała tylko, co to takiego i skąd to mam. Popatrzyła na grawerunek i odczytała na głos słowa. Mojej kochanej dziewczynce. Nie chciałam wpakować się w kłopoty akurat w urodziny, więc powiedziałam, że to prezent od mamy Taylor.

To było tylko niewinne kłamstewko i obiecałam Bogu, że jeśli istnieje i jeśli mama zapomni o sprawie, to jutro na sto procent oddam bransoletkę. Ale Bóg nie istnieje albo nie słuchał. Mama wpadła w szal. Nawet tata, który znowu się rozchorował i nie poszedł do pracy, powiedział jej, że przesadza, ale to chyba tylko pogorszyło sytuację. Kazała mi zdjąć bransoletkę, więc zaczęłam udawać, że zmagam się z zapięciem. Potem odeszła i myślałam, że już po wszystkim, lecz ona wzięła telefon ze ściany po drugiej stronie kuchni.

Tata nalał mi mleka do płatków, ale nie mogłam jeść. Wiedziałam, że mama dzwoni do mamy Taylor i że będzie źle. Płatki w misce pękały i kruszyły się, a ja patrzyłam, jak mama traci panowanie nad sobą. Kiedy słyszy się tylko jedną stronę, czasem trudno się połapać w rozmowie, kiedy indziej znów można sobie wypełnić luki zupełnie, jakby się wszystko słyszało. Mama powiedziała mamie Taylor, że oddamy jej prezent. Powiedziała też, że nie podoba jej się, że mama Taylor kupuje mi upominki, na które jej samej nie stać, i że to rodzice powinni decydować o tym, czy dziecko ma nosić biżuterię.

Nie jestem dzieckiem.

Nagle mama umilkła. Wyglądało to tak, jakby rozmowa się skończyła, ale ona nadal trzymała słuchawkę przy uchu, z czerwonym kablem ciasno owiniętym na palcu. Potem popatrzyła na mnie i zrozumiałam, że wie, że

skłamałam, i nieważne, że to było białe kłamstwo. Jej usta się otworzyły, jakby przez bardzo długi czas mówiła bezgłośnie O. Potem powiedziała: „Do widzenia” i „Przepraszam”, i już było jasne, że się wpakowałam. Odłożyła telefon i bardzo spokojnie powiedziała, że mam nie kłamać. Potem spytała, czy ukradłam bransoletkę.

Powiedziałam, że nie.

Czasami kłamię. Każdy czasami kłamię.

Mama znowu kazała mi zdjąć bransoletkę. Pokręciłam głową, więc ruszyła w moją stronę, a ja uciekłam. Mama jest całkiem szybka, kiedy nie pije, nawet jeśli się zapuściła. Dwa razy na dniu sportu wygrała wyścig dla rodziców, ale teraz dogoniła mnie dopiero na górze schodów. Przynęła do mnie twarz i wrzasnęła, żebym przestała kłamać, aż poczułam na sobie drobinki jej śliny, a potem znowu spytała, czy ukradłam tę bransoletkę. Gdy tylko zaczęłam wymawiać słowo „nie”, uderzyła mnie mocno w policzek. Wrzeszczała na mnie, a tata stał pod schodami i wrzeszczał na nią, aż nagle złapała mnie za nadgarstek i szarpnęła za bransoletkę.

To było tylko cienkie złoto, pękło i upadło na podłogę.

Jak łatwo zepsuć coś takiego.

Nie planowałam tego, co się potem stało, po prostu chciałam, żeby się ode mnie odwróciła i przestała wszystko psuć, więc ją popchnęłam.

Nie chciałam, żeby spadła ze schodów, to był wypadek.

Wszystko jakby zwolniło i jej oczy z małych i wściekłych zrobiły się nagle ogromne. Poleciała do tyłu. Stoczyła się na dół i zatrzymała bez ruchu. Nagle zapadła cisza. Z początku poważnie myślałam, że nie żyje. Nie wiedziałam, co robić, i tata chyba też nie wiedział, bo tylko stał. Miałam wrażenie, że upłynęło bardzo dużo czasu. Potem mama jęknęła i to było straszne. W ogóle nie brzmiała jak ona, choć dźwięk zdecydowanie dobiegał z jej ust. Tata wyglądał na bardzo przejętego i powiedział, że zadzwoni po karetkę, ale mama powiedziała, że będzie szybciej, jeśli sam zawiezie ją do szpitala. Zastanawiałam się, czy samochód zapali, i miałam nadzieję, że tak. Tata pomógł mamie wstać, a ona ciągle tylko jęczała o dziecku.

Nie jestem dzieckiem, mam jedenaście lat.

W ogóle się do mnie nie odezwali, nie powiedzieli nawet do widzenia. Po prostu wyszli i odjechali, nie oglądając się za siebie.

Podniosłam zepsutą bransoletkę i zeszłam z powrotem na dół.

Na wykładzinie widać było plamę jasnoczerwonej krwi, mama musiała sobie coś rozciąć. Poszłam do kuchni i wzięłam telefon. Wcisnęłam guzik wybierania ostatniego numeru. Chciałam złożyć Taylor życzenia urodzinowe, ale nikt nie odebrał. Mój tort stał na kuchence. Bunia sama by go upiekła, ale mama zwyczajnie kupiła go w supermarkecie. Był różowy, a na wierzchu miał lukrową tancerkę i to przypomniało mi pudełko Taylor na biżuterię; aż zachciało mi się płakać.

Oparłam się o jeden z przycisków kuchenki i odskoczyłam, kiedy palnik zaiskrzył – nie wolno mi dotykać kuchni. To głupie, bo bez zapalek i tak nic się nie zapali, setki razy widziałam, jak Bunia to robiła. Zaczęłam raz za

razem wciskać przycisk, zwyczajnie dlatego, że nikt nie mógł mi tego zabronić.

Przyszła pora obiadu, a ja nie zjadłam nawet śniadania. Moje płatki za bardzo już rozmiękły, żeby je jeść, ale byłam głodna, więc podeszłam do górnej szuflady i wyjęłam największy nóż, jaki mogłam znaleźć. Potem ukroiłam sobie wielki kawałek tortu i zjadłam go palcami przy stole. Najpierw podmuchałam na niego z zamkniętymi oczami i pomyślałam życzenie, choć nie było żadnych świeczek. Muszę zachować je w tajemnicy, bo się nie spełni.

Kiedy skończyłam tort, popatrzyłam na mały stosik prezentów. Uznałam, że mama jeszcze bardziej się na mnie rozżłości, jeśli je otworzę pod jej i taty nieobecność. Otworzyłam więc tylko jedną kartkę, bo na kopercie było pismo Taylor. Życzenia były dość krótkie.

Wszystkiego najlepszego!!

Całusy,
Taylor

Pod swoim imieniem narysowała dwa zielone kółka z uśmiechniętymi buźkami. Dopiero wtedy się rozplakałam - po twarzy zaczęły mi płynąć prawdziwe, wielkie łzy i nie umiałam nad sobą zapanować. Bałam się, że nie będziemy już mogły być jak dwa ziarna groszku z jednego strączka.

Teraz
Piątek, 30 grudnia 2016

– Ty już tutaj? – mówi Paul.

– Nie mogłam spać – odpowiada Claire.

– Ja też nie.

Ani ja, widać ta bezsenność jest zaraźliwa.

– Pójdę, żebyś mógł z nią pobyć sam na sam.

– Nie, zostań. Jeśli chcesz. Mnie to nie przeszkadza.

Mam wrażenie, jakby mijały całe godziny, a żadne z nich się nie odzywa. Pielęgniarki przychodzą, żeby zmienić mi pozycję, ale poza tym sytuacja się nie zmienia. Chcę im powiedzieć o człowieku, który utrzymuje mnie w stanie śpiączki. Nie jestem pewna, czy by mi uwierzyli, nawet gdybym mogła to zrobić. Teraz już pamiętam, kto to jest, ale nie wiem, czemu mi to robi, przecież ja tylko powiedziałam „nie”.

Mąż i siostra siedzą po obu stronach łóżka, moje uszkodzone ciało tworzy granicę między nimi. Rozciągnięty czas pokrywa cisza niewypowiedzianych słów. Są ich całe ściany, każda litera, każda sylaba kładzie się na poprzedniej, wznosząc niestabilną konstrukcję z pytań bez odpowiedzi. Zaprawa z kłamstw spaja je, by się nie rozpadły. Gdyby nie te wszystkie kłamstwa, już dawno by runęły. A tak wybudowaliśmy sobie więzienie.

Paul nie trzyma mnie dziś za rękę i nie puszcza mi muzyki. Strony się przewracają, czas toczy się do przodu, a respirator punktuje każdy moment odgłosem wysiłku, jakiego wymaga oddychanie za mnie, aż pokój ocieka milczeniem do tego stopnia, że jedno z nas musi je złamać. Ja nie mogę, ona nie chce, ale on to robi.

– To była dziewczynka.

Te trzy słowa dźgają mnie w brzuch i wydzierają dziurę w stonowanej egzystencji, do której przywykliśmy.

To była dziewczynka.

Byłam w ciąży.

To była dziewczynka.

Czas przeszedł.

To była dziewczynka.

Już nie jestem w ciąży.

Teraz, kiedy wspomnienie staje się kompletne, wcale go nie chcę. Chcę je zwrócić.

Rosło we mnie dziecko, ale zabiłam je swoimi błędami i nawet nie pamiętam, na czym one polegały, wiem tylko, co w rezultacie straciłam.

– Zawsze możecie spróbować jeszcze raz – mówi Claire.

Tak naprawdę wcale się już nie staraliśmy. Daliśmy sobie spokój.

Ona była przypadkiem.

Pięknym, pieprzonym, cudownym przypadkiem.

Wyobrażam sobie, jak Claire obejmuje Paula, przysuwa się do niego, żeby go

pocieszyć. Nawet mój ból po stracie nienarodzonego dziecka nie należy już do mnie, to też mi odebrała. Ta myśl budzi we mnie nagłą zazdrość, która rozchodzi się jak wysypka po moim unieruchomionym ciele. Emocje ściągają mnie w dół niczym grawitacja, schodzę jeszcze głębiej w najgorsze warstwy świadomości.

Urodziłabym ją.

Kochalibyśmy ją.

Teraz straciłam i ją, i nas.

Pielęgniarka z Północy wchodzi do pokoju, pachnie herbatą i zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że przeszkadza w czymś, co ledwo do mnie dociera. Czuję, jak cała moja nienawiść kieruje się przeciwko niej, ale ona nie zwraca na to uwagi, kręci się po pokoju, zupełnie jakby świat wcale się nie zawalił.

Wynoś się i zostaw mnie!

Czuję, że odpuszczam, tracę kontakt z rzeczywistością. Coś we mnie pompują, coś, czego nie chcę. Czuję, jak wsącza się to pod powierzchnię skóry, paraliżuje mój umysł, wyciska ze mnie życie. Przez chwilę myślę, że może śmierć nie byłaby w tej chwili najgorsza, mogłabym się po prostu wyślizgnąć. Przez moment nie chcę się budzić. Nikomu tak naprawdę by mnie nie brakowało, pewnie byłoby im beze mnie lepiej. Wydaje mi się, że płaczę, ale pielęgniarka akurat wyciera mi twarz flanelą, więc nic nie zauważa. Nie jest tak łagodna jak inne. Może widzi ten cały brud, który kryje się pod powierzchnią. Mokra flanela uderza mnie po twarzy i otwieram oczy.

Widzę ich nad sobą, ubranych na czarno. Nie jestem już w szpitalnym łóżku, tylko w otwartej trumnie. Wszyscy tam są: Paul, Claire, Jo, nawet Edward. Zasypuje mnie piachem i nie rozumiem, czemu go nie powstrzymują. Piasek jest w moich włosach, ustach, wpada mi do oczu. Krzyczę do nich, żeby mu przeszkodzili, ale oni nie słuchają, bo nie mogą mnie usłyszeć.

Ja nie umarłam.

Edward uśmiecha się do mnie, po czym nachyla nad trumną i szepcze mi do ucha:

– Owszem, umarłaś, ale nie przejmuj się, będziesz miała towarzystwo.

Podnosi dziewczynkę w różowym szlafroku i układa ją przy mnie, a ona obejmuje mnie rączkami w pasie. Wszystko robi się czarne i trumna zjeżdża w głąb ziemi. Ja zaczynam płakać, a ona śpiewa.

Cicha noc. Święta noc. Pokój niesie. Ludziom wszem.

Wskazuje palcem na niebo bez gwiazd i patrzę na księżyc.

A u źłóbka Matka Święta.

Ściska mnie mocno.

Czuwa sama uśmiechnięta.

Odwraca się twarzą do mnie, unosząc palec w miejsce, gdzie powinny się znajdować jej usta. Ćśśś.

Nad Dzieciątka snem.

Nad Dzieciątka snem.

Podnosi rękę i pociąga za niewidzialny sznur. Słyszę odgłos, który brzmi jak włącznik światła w mojej łazience, i księżyc gaśnie, pogrążając nas w nieprzeniknionym mroku. Wtedy piach zaczyna sypać się na nas coraz szybciej. Krzyczę, żeby przestali, ale jeśli mnie słyszą, to nie słuchają. Dół jest za głęboki, żeby się z niego wydostać, lecz

muszę coś zrobić. Drapię ściany, próbuję znaleźć jakiś punkt zaczepienia, wbijam paznokcie w piach. Zaczyna padać deszcz i mokry piasek robi się jeszcze cięższy. Wreszcie poddaję się i zwijam w kłębek. Kryję się w strachu i czynię sobie z niego dom. Przy moich stopach ląduje moneta, jakbym znajdowała się na dnie studni, nad którą ludzie wypowiadają życzenia. Na monecie nie ma żadnego wizerunku.

– Jeśli chcesz wyjść, po prostu pokaż ręką wyjście – mówi dziewczynka.

Stoi teraz nade mną, w jej splątanych włosach widać grudy mokrego piachu. Podążam za jej spojrzeniem w kierunku zielonego neonowego znaku wyjścia ewakuacyjnego, zagrzebanego w piasku pod moimi stopami.

– Po prostu pokaż palcem, kiedy będziesz chciała wyjść, to wszystko.

Spoglądam w dół na znak, na wpeł już zasypany, i próbuję pokazać go palcem, ale nie mogę ruszyć rękami. Pojawia się ból i znowu płaczę. Potem widzę krew. Krew na znaku wyjścia awaryjnego, krew na mojej szpitalnej koszuli, krew na moich rękach, kiedy trzymam je między nogami i próbuję nie dopuścić, żeby wypadło ze mnie nowe życie. Zamykam z bólu oczy, a kiedy je otwieram i patrzę w górę, jedyną twarzą, którą nadal widzę, jest twarz Claire. Dziewczynka sięga po moją rękę i pomaga mi wycelować palcem w znak pod stopami. Wymaga to każdej odrobiny sił, jaką dysponuję.

– Widziałeś to? – mówi głos Claire z oddali.

– Co? – pyta Paul.

– Patrz! Jej ręka, ona pokazuje coś palcem.

– Amber, słyszysz mnie?

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ona wciąż tu jest.

Wtedy
Piątek, 23 grudnia 2016 – rano

Spłukuję toaletę i ocieram usta wąskim paskiem papieru toaletowego z odzysku. Pocieram je mocniej, niż to konieczne, szorstkie krawędzie cyklują mi skórę. Przez chwilę skupiam się na oddechu, ciesząc się, że żadna z koleżanek nie widzi mnie w takim stanie. To ostatnia audycja przed świąteczną przerwą, już tylko jeden dzień i koniec. To tylko kilka godzin, dam radę. Wyjmuję z torebki miętówkę i wkładam ją do ust. Mam praktykę w maskowaniu kaca, ale tym razem to nie to.

Dziś rano w pociągu sprawdziłam swój kalendarzyk – trzynaście tygodni, a ja nawet się nie zorientowałam. W końcu nie robimy tego zbyt często i po prostu uznałam, że nigdy nam się nie uda. Tyle czasu próbowaliśmy, a teraz, kiedy już się poddałam, wreszcie jestem w ciąży. To zupełnie bez sensu, lecz mimo to nie mam żadnych wątpliwości. Po pracy kupię sobie test. Jestem przekonana, że znam już wynik, ale muszę zyskać stuprocentową pewność.

Nikogo dokoła nie słyszę, więc jeszcze raz spłukuję toaletę i otwieram drzwi kabiny. Myślałam, że jestem sama, ale się myliłam.

– Tu jesteś. Wszystko w porządku? – pyta Madeline.

Czuję, że się czerwienię. Nigdy jeszcze tu na nią nie wpadłam i mam wrażenie, jakby znalazła się w niewłaściwym miejscu. Myślałam, że trzyma pod biurkiem nocnik albo coś.

– Co ci się stało w głowę? – pyta, gapiąc się na moje czoło. Patrzą w lustro i palcami zaczesuję włosy na siniak.

– Wczoraj po powrocie do domu potknęłam się o coś w przedpokoju, to drobiazg. – Mówię prawdę, a mimo to słowa pozostawiają w ustach nieprzyjemny posmak.

– Zaszalało się, co? Zalewałaś robaka?

Odkręcam kurek, żeby umyć ręce, i nie odpowiadam.

– Cóż, lepsze to niż poranne mdłości. Nic nie niszczy dziewczynie kariery tak jak ciąża!

Nie reaguję, po prostu raz po raz myję ręce. Madeline wydaje się nieco inna, jakby zrezygnowała ze scenariusza. Improvizuje, a ja nie mogę za nią nadążyć, kwestie, które sobie powtarzałam, nie mają już sensu. Wyłączam wodę, biorę papierowy ręcznik i odwracam się twarzą do niej. Czasami milczenie zdradza więcej niż rozmowa, ale słowa zwyczajnie nie chcą się zjawić.

– Cieszę się, że cię złapałam – mówi Madeline.

Mam ochotę uciec. Serce wali mi tak mocno, że Madeline na pewno to słyszy.

– Muszę mieć pewność, że nasza rozmowa nie wyjdzie poza to pomieszczenie – mówi dalej Madeline, jakbyśmy były starymi przyjaciółkami, które coś razem knują, jakby mi ufała.

Wciąż jeszcze nie mogę wydusić z siebie ani słowa, więc kiwam tylko głową. Madeline sięga do torebki i wyciąga plik czerwonych kopert.

– Co ci wiadomo na ten temat?

Patrę na koperty. Potem przenoszę wzrok na nią.

– Kartki świąteczne?

– To nie są kartki świąteczne. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że ktoś rozsiewa o mnie plotki w internecie. W tym tygodniu dostałam też listy z pogrózkami do biura i na adres domowy. Jestem pewna, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane, i chcę wiedzieć, czy nie widziałas tu kogoś albo czegoś nietypowego.

– Nie, nie wydaje mi się.

– I sama nie dostałaś nic w tym rodzaju?

– Nie. – Uśmiecham się. Mimowolnie.

– To nie są żarty, tylko poważna sprawa. Myślę, że osoba, która przysłała mi te listy, była w tym budynku.

Wtedy wreszcie to dostrzegam – tę zmianę. Tak wygląda Madeline, kiedy się boi, po prostu nigdy dotąd tego nie widziałam.

– Ostatnią zostawiono mi dziś rano na biurku, zanim przyszedłam do biura – mówi, podnosząc czerwoną kopertę z wierzchu pliku.

– Co tam jest napisane?

– Nieważne.

Następuje pauza na słowa, których nie wypowiadamy.

– Mówiłaś o tym Matthew? – pytam.

– Nie, jeszcze nie.

– Może powinnaś.

Madeline mierzy mnie wzrokiem.

– Zobaczmy się w studiu – mówi i odchodzi.

Zostaję w łazience jeszcze na chwilę i znowu myję ręce.

Podczas programu obserwuję Madeline nieco uważniej niż zwykle. Nienawidzę jej, ale jest dobra w tym, co robi, nawet jeśli nie zasługuje, żeby tu być. Studiuję jej twarz, wciąż szukając podobieństwa, którego nie dostrzegam.

Kiedy przepraszam i mówię, że muszę wyskoczyć do łazienki, kiwa głową, jakby rozumiała, jakby ją to obchodziło. Wybiegam, zostawiając w studiu telefon. Jo idzie za mną do toalety, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Każe mi opryskać wodą twarz, to trochę pomaga.

– Musisz tylko wytrzymać do końca programu, to już niedługo. Świetnie sobie radzisz, wszystko będzie dobrze – mówi.

Chciałabym jej wierzyć. Chciałabym, żeby te słowa były prawdą. Jo wraca bez mnie do studia, daje mi chwilę na dojdzie do siebie. Idę z powrotem, przystając przy biurku Matthew. Kiedy jesteśmy na antenie, biuro świeci pustkami, a on zawsze zostawia tu telefon. W końcu i tak nikt by go nie ukradł – jego komórka jest tak stara, że nie wymaga nawet hasła. Wysłanie esemesa i usunięcie go z folderu wysłanych wiadomości zajmuje mi niecałe trzydzieści sekund.

Kiedy wracam na miejsce, jesteśmy w połowie nagranych wcześniej segmentu świątecznego, mikrofony są wyłączone, mam kilka minut.

– Nie wyglądasz za dobrze. Mogę dokończyć program bez ciebie, jeśli wolisz wrócić do domu – odzywa się Madeline.

– Dziękuję, ale nic mi nie jest – mówię z trudem i siadam. Ekran mojej komórki jest

podświetlony i widać na nim nieprzeczytaną wiadomość, którą właśnie wysłałam sobie z telefonu Matthew.

Zarezerwowałem stolik na kolację w przyszłym tygodniu dla nas i nowej prezenterki. M x

Jedno spojrzenie na twarz Madeline upewnia mnie, że to widziała, więc posyłam jej przepraszający uśmiech. Jej szyja i dekolt czerwienieją, jakby przepalała ją wściekłość.

Wszystkie telefony od słuchaczy dotyczą świąt w rodzinie. Cierpliwie słucham Kate z Cardiff, która nie chce jechać z wizytą do teściowej, i Anny z Essex, która od ponad roku nie rozmawiała z bratem i nie wie, co mu kupić na prezent. To wszystko jakiś nonsens, totalna bzdura. Jakby ludzie nie mieli prawdziwych problemów. Żałosne. Kiedy Madeline opowiada o potrzebie przebaczenia, znowu mam napad mdłości.

– Przebywanie z rodziną to cały sens Bożego Narodzenia, niezależnie od tego, jak ta rodzina wygląda – mówi Madeline, a ja z trudem powstrzymuję się przed obrzygnięciem całego biurka.

Co ona tam wie? Przecież nie ma już żadnej rodziny.

Kiedy audycja wreszcie dobiega końca, czuję się wyczerpana, ale wiem, że mam dziś jeszcze wiele pracy. To moja ostatnia szansa, a przecież dopiero zaczęłam.

Madeline nie jest fanką telewizji, ale jedyne, co lubi bardziej od dźwięku swego głosu w radiu, to widok siebie na ekranie. Jako twarz Kryzysowego Dziecka musi od czasu do czasu udzielać wywiadów telewizyjnych w imieniu organizacji i dziś właśnie trafia się taka okazja. *Wiadomości*, dla których kiedyś pracowałam, umówiły się z nią na wywiad do popołudniowego biuletynu. Madeline ma opowiadać o tym, jak wyglądają święta ubogich dzieci. Wystarczył jeden telefon z ofertą wywiadu, rzekomo w imieniu fundacji, oraz numer telefonu do asystentki Madeline. Reszta potoczyła się sama.

Na ulicy przed budynkiem czeka już ogromna furgonetka z anteną satelitarną. Kiedy wyglądam przez okno, widzę kamerę na statywie, ustawioną przed choinką pod budynkiem. Gdy tylko kończy się odprawa po audycji, schodzimy na dół.

– Ile to jeszcze ma trwać? – burczy Madeline na jednego z techników.

– Chwileczkę, musimy tylko połączyć się z satelitą i podpiąć pani mikrofon – mówi John, mój dawny kolega. Odwraca się i na mój widok jego twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu. – Amber Reynolds! Co u ciebie? Słyszałem, że tu teraz pracujesz.

Obejmuje mnie z przesadną serdecznością. Zmuszam się do uśmiechu, usiłując zapanować nad skrępowaniem, ale nie jestem w stanie odwzajemnić jego uścisku i modlę się w myślach, żeby już mnie puścił.

– Wszystko w porządku, dzięki. Jak rodzina? – pytam, kiedy w końcu to robi.

John nie ma jednak możliwości odpowiedzieć.

– A ty tu po co? To nie ciebie zaprosili do wywiadu – mówi Madeline, patrząc na mnie gniewnie.

– Matthew prosił, żebym z tobą zeszła.

– W to nie wątpię.

John przestaje się uśmiechać. Pracuje w branży od ponad trzydziestu lat. W swoim czasie poznał mnóstwo rozmaitych Madeline. Sława przestaje robić wrażenie, kiedy nie towarzyszy jej skromność.

– Muszę tylko... – John wciąż usiłuje podłączyć mikrofon, ale w zwojach czarnej

tkaniny, która spowija Madeline, trudno znaleźć odpowiednie miejsce na przypięcie klipsa i ukrycie nadajnika.

– Precz z łapami – burczy Madeline. – Daj to jej, niech ona to zrobi. W końcu pracowała w telewizji, teraz byle kto może się nazywać dziennikarzem.

John kiwa głową, ukradkiem przewraca oczami i podaje mi mikrofon.

– Nadal prawie nie słyszę studia – narzeka Madeline, kiedy się od niej odsuwam, i poprawia słuchawkę w uchu.

– Podkręciłam na maksa – mówię do Johna.

– Zobaczę, czy da się to wyregulować z wozu – odpowiada, zdejmując słuchawki i odchodząc od kamery. – Zastąpiłabyś mnie? – pyta.

Widzę, że cieszy się z pretekstu, by się usunąć.

– Nie ma sprawy, skoro już tu jestem, mogę się na coś przydać.

Biorę jego słuchawki, w których słycać producenta w studiu, i kiedy przychodzi pora na Madeline, daję jej znak. Madeline nie daje się zbić z tropu i płynnie przechodzi w tryb troskliwej ambasadorki dzieci, szczęśliwa, że cały świat na nią patrzy. Odpowiedzi spływają jej gładko z języka, jedno kłamstwo za drugim.

– Chyba to by było na tyle – mówię wreszcie, zdejmując słuchawki.

– Na pewno? Nie trwało to długo.

– Tak mi się wydaje, rozmawiają już z kolejnym gościem.

Fałszywy uśmiech natychmiast znika z twarzy Madeline.

– Przykro mi, że widziałas tamtą wiadomość – mówię.

– Bzdura. – Wygląda na niespokojną i patrzy na zegarek.

– Ale jeśli naprawdę odejdziesz z *Porannej kawy*, przynajmniej będziesz miała więcej czasu na swoją działalność dobroczynną.

– Nigdzie nie odchodzę, mam kontrakt, a dobroczynność zaczyna się w domu, nikt cię tego nie nauczył? Ten palant tu wróci, czy mogę już iść?

– Sprawdzę tylko, czy to na sto procent koniec – mówię, znowu nasuwając słuchawki. Doskonale słyszę program. – Ale na pewno masz satysfakcję z tego, że zwiększasz świadomość społeczną na temat ubogich dzieci? – Rozmawialiśmy na ten temat tyle razy, że doskonale znam jej zapatrywania na tę kwestię.

– W dupie mam ich ubóstwo. Większość tych gówniarzy to małe sukinsyny i to wszystko wina rodziców. Powinni robić jakieś testy na inteligencję, od razu byłoby wiadomo, kto jest za głupi, żeby się rozmnażać. Tych z kiepskimi wynikami powinno się sterylizować. W tym kraju byłoby o wiele mniej problemów, gdyby ci wszyscy debile nie zasiedlali go swoim zidiociałym potomstwem.

Widzę, jak John wyskakuje z zaparkowanej nieco dalej furgonetki i macha panicznie rękami, jakby próbował naprowadzić samolot do lądowania.

– Teraz już chyba naprawdę możesz iść – mówię.

– I świetnie, najwyższa pora – odpowiada Madeline.

W zupełności się z nią zgadzam. Odwraca się na pięcie i maszeruje z powrotem do budynku. Idę za nią, nie mogąc oderwać wzroku od nadajnika, wciąż przymocowanego do jej gigantycznego kaszmirowego szala. Madeline dźga palcem guzik, żeby wezwać windę, po czym odwraca się do mnie i kontynuuje z uśmiechem:

– No i jeszcze te wszystkie kurwy, którym nie chce się zabezpieczać, więc ciągle

zachodzą, i to przeważnie z najmniej odpowiednim facetem. Dlatego właśnie Bóg wymyślił aborcję. Szkoda tylko, że te durne pindy przeważnie z niej nie korzystają.

Drzwi windy się otwierają.

– Jedziesz czy nie?

Kręcę głową.

– No tak, zapomniałam, przecież ty się boisz wind. – Madeline cmoka krytycznie, przewraca oczami i wsiada, po czym raz za razem przyciska guzik, żeby nikt inny nie zdążył wejść.

Kiedy wreszcie wchodzę po schodach na piąte piętro, mam wrażenie, jakbym właśnie przegapiła epizod ulubionego serialu. Wszyscy patrzą w stronę miniaturowego biura Madeline. Matthew siedzi z nią w środku i oboje się wydzierają, więc pomimo zamkniętych drzwi słysząc każde słowo ich rzekomo prywatnej rozmowy.

– Co się dzieje? – pytam ogólnie.

– Mikrofon Madeline cały czas był włączony. Zrobili wywiad z gościem w studiu, a potem wrócili do niej. Wszystko, co powiedziała, poszło właśnie na żywo w krajowej telewizji.

Staram się z całych sił, by wyglądać na zdumioną.

Przedtem
Piątek, 30 października 1992

Kochany Pamiętniczku,

mama wróciła dziś ze szpitala i to chyba odpowiednia pora, bo jutro Halloween, a z niej prawdziwa wiedźma. Kiedy jej nie było, sytuacja nieco się poprawiła. Myślałam, że mama Taylor będzie się na mnie bardzo gniewać po tym, co się stało z bransoletką, ale ona była dla mnie jeszcze miłsza niż zazwyczaj, przez całe dwa tygodnie wozila mnie do szkoły i z powrotem, bo tata pracował.

Próbowałam zwrócić Taylor bransoletkę i przeprosiłam, że nieumyślnie pożyczyłam ją sobie na tak długo, ale powiedziała, że nic się nie stało i że mogę ją zatrzymać. Nawet pomogła mi ją naprawić, szczepiła pęknięte ogniwka maleńką agrafką. Moim zdaniem wygląda to świetnie, nawet lepiej niż przedtem. Myślę, że Taylor była mi po prostu wdzięczna po tym, co się wydarzyło w szkole w zeszłym tygodniu, i chciała w ten sposób podziękować.

Naprawdę nie wiem, co takiego w niej jest, że inne dziewczynki jej nie lubią. Jest ładna, miła i bystra, ale to żaden powód, żeby się jej czepiać. Cieszę się, że weszłam wtedy do toalety. Były tam we dwie. Kelly O'Neil i Olivia Green. Trzymały kawałki mokrych chusteczek do nosa i się śmiały. Stały na deskach klozetowych w kabinach po obu stronach Taylor i patrzyły na nią nad drewnianym przepierzeniem. Słyszałam jej płacz zza zamkniętych drzwi środkowej kabiny. Kelly kazała jej wstać i się obrócić. Ta druga zagwizdała.

- Pójdziemy sobie, jak nam pokażesz - powiedziała i znowu się roześmiały.
- No, nie wstydz się, pokaż.

W żołądku przewróciło mi się z gniewu i kopnęłam drzwi ich kabin. Kelly spojrzała na mnie z irytacją, po czym odwróciła się i popatrzyła nad przepierzeniem na Taylor.

- Przyszła twoja kumpela, chyba jest zazdrosna. Lepiej wciągaj gacie.

Drzwi łazienki się otworzyły i pojawiła się pani MacDonald, mówiąc, że wszystkie powinnyśmy być na dworze. Kelly i ta druga wyszły, uśmiechając się do mnie po drodze. Powiedziałam, że muszę skorzystać z toalety i że zaraz wyjdę. Kiedy sobie poszły, zapukałam do drzwi środkowej kabiny, ale Taylor nadal nie chciała wyjść. Weszłam więc na muszlę klozetową w kabinie obok, jak wcześniej Kelly, i popatrzyłam na nią z góry. Siedziała na toalecie z majtkami wokół kostek. Pokrywał ją mokry papier toaletowy - zwinięty w kulki, jak wtedy, kiedy rzuca się nim tak, by przyczepił się do sufitu. Nie wyglądało na to, by wylądował na niej przypadkiem. Kazałam jej otworzyć zamek, tym razem posłuchała.

Zeszłam i łagodnie otworzyłam drzwi. Taylor dalej stała w miejscu. Oczywiście miała całe mokre, policzki czerwone, a majtki nadal spuszczone do kostek,

więc nachyliłam się i je podciągnęłam. Nie rozmawiamy o tamtym dniu. Nie jestem pewna, czy w ogóle powinnam tu o tym pisać. Teraz wszędzie chodzimy razem, a inne dziewczyny trzymają się z dala i zupełnie mi to nie przeszkadza.

Wszystko było właściwie idealnie, póki mama nie wróciła do domu. Dziś po południu, wysiadając z volvo, byłam taka szczęśliwa, że tańczyłam przez cały podjazd. Mama Taylor przywozi też dla mnie i dla taty kolacje do odgrzania w piekarniku – sama je robi, pachną i smakują niesamowicie. Tata nie pił ostatnio tyle, ile mu się zdarzało, i nieraz wolno mi było nocować u Taylor, kiedy on pracował do późna albo jechał odwiedzić mamę w szpitalu. Mama nie chciała, żebym ja do niej przyjeżdżała. Nikt mi tego nie mówił, po prostu wiem. Ale i tak nie miałam ochoty tam jechać, szpitale przypominają mi o śmierci Buni. Tata powiedział, że mama musiała mieć małą operację na brzuchu i bardzo kiepsko się czuje, właśnie dlatego tak długo leży w szpitalu. I że to nie moja wina.

Wiedziałam, że mama wraca dziś do domu, ale chyba jakoś o tym zapomniałam. Więc kiedy wróciłam ze szkoły i zobaczyłam ją na szczycie schodów, aż podskoczyłam. Z początku mama nic nie powiedziała, tylko stała tam w swojej wielkiej koszuli nocnej i patrzyła na mnie jak duch. Cienie pod jej oczami były jeszcze ciemniejsze niż zwykle i wyglądała naprawdę chudo, jakby w szpitalu zapomniała o posiłkach.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc poszłam do salonu pooglądać coś na dużym telewizorze. Pilot już nie działa, więc trzeba wcisnąć guzik pod ekranem i poczekać chwilę, aż włączy się obraz. Puszczała kreskówkę, której nie lubię, ale siedziałam już na kanapie, więc i tak zaczęłam oglądać. Nadal miałam na sobie czapkę i rękawiczki, bo odkąd kaloryfery przestały działać, w domu zawsze jest zimno. Mamy kominek i w niedzielę rozpalamy w nim prawdziwy ogień, ale nie wolno mi siadać za blisko, a poza tym dzisiaj nie jest niedziela.

Słyszałam, że mama bardzo powoli schodzi po schodach, zupełnie jak dziadek, kiedy miał problemy z biodrem. Jakaś część mnie miała ochotę uciec, tylko nie było dokąd. Chciałam obgryzać paznokcie, ale przeszkadzały mi w tym rękawiczki, więc usiadłam sobie na rękach i zaczęłam majtać nogami, jakbym siedziała na huśtawce, a nie na kanapie.

Mama stanęła w drzwiach i spytała, czy mam jej coś do powiedzenia. Pokręciłam głową i dalej patrzyłam w telewizor. Kot w kreskówce gonił mysz, ale ona znowu uciekła – przebiegła myszka. Roześmiałam się, choć nie było to specjalnie zabawne.

- Znowu to samo, prawda? – spytała mama.

Mysz wzięła zapałki i wetknęła je kotu między palce, ale kot nawet tego nie zauważył, patrzył gdzie indziej. Potem mysz zapaliła wszystkie zapałki i uciekła. Kot poczuł dym, lecz nie zobaczył płomienia, póki nie zrobiło się za późno. Znowu się roześmiałam, był to głośny udawany śmiech. Miałam nadzieję, że mama zwyczajnie sobie pójdzie i zostawi mnie w spokoju.

- Powiedziałam, że znowu to samo, prawda? – Mówiła rozdrażnionym

głosem, który oznaczał, że mam kłopoty.

Wzruszyłam ramionami, wstałam i poszłam do kuchni. Moje przybory do kolorowania wciąż leżały na stole po wczorajszym wieczorze, więc zabrałam się do rysowania. Mama przysłała za mną i usiadła po przeciwnej stronie. Nie podniosłam wzroku. Moje kredki były bardzo tępe, wszystkie bez wyjątku. Wreszcie więc popatrzyłam na nią i spytałam, czy mi ich nie zatemperuje. Nie wolno mi samej tego robić. Wiele mówiłyśmy oczami, lecz usta mamy nawet nie drgnęły. Pokręciła odmownie głową. Wtedy nabrałam jeszcze większej ochoty, żeby użyć czerwonej kredki, ale była tak stępiona, że prawie nie dało się nią rysować. Docisnęłam ją mocniej, wyciskając w papierze wyraźne, ostre wgłębienia. Mama złapała mnie za rękę, ale ja wyciągnęłam dłoń. Powiedziała, że musimy porozmawiać, lecz nie miałam jej nic do powiedzenia. Dalej udawałam, że jej tam nie ma. Wzięłam czarną kredkę, w której wciąż zostało trochę grafitu. Trudno było trzymać się linii rysunku w rękawiczkach, więc mazałam po całym obrazku, aż w końcu sama już nie wiedziałam, co na nim było.

Mama powiedziała, żebym na nią spojrzała. Zignorowałam ją. Powiedziała to jeszcze raz, tym razem wymówiła każde słowo osobno.

Spójrz. Na. Mnie.

Nadal nie podniosłam głowy, tylko szepnęłam coś bardzo cicho. Spytała, co mówiłam, więc powtórzyłam. Wtedy podniosła się tak szybko, że jej krzesło aż się przewróciło, a ja podskoczyłam na miejscu. Przechyliła się przez stół i złapała mnie za brodę, zmuszając, żebym na nią popatrzyła. Kiedy po raz kolejny spytała, co takiego mówiłam, odrobina jej śliny wpadła mi do oczu. Trzymała mnie tak mocno, że bolała mnie twarz, więc odpowiedziałam.

Nienawidzę. Cię.

To było przeciwieństwo szeptu.

Puściła mnie i wybiegłam z kuchni do swojej sypialni. Nadal słyszałam, co wrzeszczała ze schodów, choć zamknęłam drzwi i zasłoniłam uszy rękami.

- Nie wolno ci się więcej widywać z Taylor. Ma już nigdy tu nie przychodzić.

Nie może mnie powstrzymać przed widywaniem się z Taylor, chodzimy do tej samej szkoły.

Przez jakiś czas próbowałam coś czytać, ale nie mogłam się skupić, mimowolnie wracałam w kółko do tego samego zdania. Rzuciłam książkę na podłogę i wyjęłam popsutą bransoletkę Taylor z szuflady obok łóżka, gdzie ją chowam. Odpięłam agrafkę i spróbowałam założyć bransoletkę, ale koniec łańcuszka ciągle zsuwał mi się z nadgarstka. Chciałam jutro wieczorem chodzić po domach i prosić o cukierki, ale teraz, kiedy ona wróciła, wiem, że nawet nie ma co pytać o pozwolenie. Słyszę, jak kręci się na dole, szura nogami, wyskrobuje zapiekankę z naczyń i wrzuca ją do śmietnika, i rujnuje mi życie.

Teraz
Piątek, 30 grudnia 2016

Lecę nogami do przodu i chwilę trwa, zanim sobie przypominam, że jestem w szpitalu. Nadal nie mogę się ruszyć ani otworzyć oczu, ale widzę zmieniające się nade mną światło, jakbym przejeżdżała przez tunel. Delikatne przejścia z jasności w mrok. Z mroku w światło.

Zdaję sobie sprawę, że znajduję się w łóżku i że dokądś mnie zabierają. Nie jestem pewna, co to oznacza, i chciałabym, żeby ktoś mi wyjaśnił. Zadaję w głowie pytania, ale nikt na nie nie odpowiada.

Czyżby przenieśli mnie na oddział?

Czyżby zaczęło mi się poprawiać?

Czy ja nie żyję?

Nie mogę wyrzucić z głowy tej ostatniej myśli. Może tak właśnie czują się martwi.

Nie wiem, dokąd jadę, ale jest tu o wiele ciszej niż przedtem. Łóżko przestaje się ruszać.

– No i jesteście. Kończę już zmianę, ale ktoś inny zawiezie cię z powrotem – mówi jakiś nieznamy głos. Przemawia do mnie jak do dziecka. Ale nie przeszkadza mi to: skoro w ogóle do mnie mówi, to chyba nadal żyję.

Dziękuję.

Zostawia mnie i robi się bardzo cicho. Zbyt cicho, czegoś brakuje.

Respirator.

Zabrali mi go, zniknęła też rurka w moim gardle. Wpadam w panikę, ale nagle dociera do mnie, że wcale się nie duszę. Mam zamknięte usta, a moja pierś unosi się i napełnia tlenem. Oddycham samodzielnie. Naprawdę mi się poprawia.

Słyszę kroki, a potem czuję na swoim ciele dłonie i znowu zaczynam się bać. Podnoszą mnie z łóżka i boję się, że spadnę, jestem przerażona, na pewno mnie upuszczą. Kładą mnie na czymś chłodnym. Robi mi się bardzo zimno w plecy, których nie zasłania otwarta szpitalna koszula. Leżę płasko, z rękami wzdłuż boków, patrzę do góry w nicość, niezdolna spojrzeć poza siebie. Zostawiają mnie tak. Nigdy dotąd nie panowała wokół mnie taka cisza. Trwa to jakiś czas.

Nie wiem, na czym leżę, ale podnosi się to do góry i opada w tył, przesuwa mnie głową do przodu i połyka. Ciszę przebija przesywający dźwięk, jakby stłumiony robotyczny krzyk. Nie wiem, co się dzieje. Cokolwiek to jest, chcę, żeby się skończyło. Nieustępliwy wibrujący odgłos jest głośny, dziwny i wydaje się zbliżać. Wreszcie cichnie.

Prawie nie zauważam, kiedy moje ciało wyjeżdża z powrotem w nieco jaśniejszy półmrok. Mechaniczne krzyki zmieniają się w odgłosy płaczącego dziecka i to jest o wiele gorsze. Czuję wilgoć i dochodzi do mnie, że się zsikałam. Nie ma worka, w którym zebrałyby się moja płynna hańba, woń dusi mnie i w końcu się wyłączam.

Odgłos gwizdania sprowadza mnie z powrotem w jakieś nieco jaśniejsze miejsce. Nie cierpię gwizdania. Z powrotem leżę na swoim łóżku i ktoś popycha mnie przez kolejne

niekończące się korytarze. Cienie znowu wznoszą się i opadają nad moją głową, jakbym toczyła się po rozświetlonym pasie transportowym. Łóżko zatrzymuje się, obraca i znowu zatrzymuje, i tak kilka razy. Mam wrażenie, jakbym zmieniała się w odkurzacz, poruszam się w przód i w tył, próbując zassać cały brud. Nagle znowu stajemy i jednocześnie gwizdana melodia się urywa.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale mógłby mi pan przypomnieć, którą do wyjścia? Zawsze się tu gubię – mówi głos jakiejś starszej kobiety.

– Proszę się nie przejmować, mnie też ciągle się to zdarza, to miejsce jest jak labirynt. Musi pani wrócić tą samą drogą i skręcić w prawo, do głównego wyjścia na parking dla odwiedzających – mówi głos, którego nie chcę słyszeć. Wmawiam sobie, że to nie on, że tylko to sobie wyobrażam.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę.

Jednak nie myślę się. To głos człowieka, który lekami trzyma mnie w stanie śpiączki. Jestem tego pewna.

Znowu zaczyna gwizdać i budzi się we mnie zapomniane wspomnienie. Kiedy byliśmy na studiach, cały czas gwizdał. Wtedy mnie to irytowało, ale teraz przeraża. Wmawiałam sobie, że się pomyliłam, coś mi się pomieszało, ale wszelkie wątpliwości, które pomagały mi zachować nadzieję, nagle się kruszą. Człowiek, który mnie tu przetrzymuje, to Edward. Teraz to wiem. Nie wiem tylko dlaczego.

Jedziemy dalej i wpadam w panikę, zastanawiam się, dokąd mnie zabiera. Na pewno ktoś go zatrzyma, ale potem sobie przypominam, że on tu pracuje. Nikt nie będzie się dziwił na widok członka personelu jadącego gdzieś z pacjentką. Robi mi się niedobrze. Lekarze powinni pomagać ludziom, a nie ich krzywdzić.

Czemu mi to robisz?

Łóżko na kółkach zatrzymuje się wreszcie na dobre i w miejsce gwizdu rozlega się gorszy dźwięk. Trzask zamykanych drzwi.

– Jesteśmy na miejscu, tylko ty i ja. Nareszcie sami.

Wtedy
Piątek, 23 grudnia 2016 – popołudnie

Cały zespół powinien wybrać się na świąteczny lunch przed bożonarodzeniową przerwą, ale dwóch osób brakuje. Madeline i Matthew. Biorąc pod uwagę najnowszą burzę w mediach społecznościowych i fakt, że temat podchwyciło kilka innych kanałów, wcale się nie dziwię. Cały wywiad trafił na YouTube'a, a #FrostGryziePiach osiągnął szczyty popularności na Twitterze, choć z nieco innych niż poprzednio powodów. Zastanawiam się, czy Madeline w ogóle zdążyła zauważyć mój ostatni list z pogrozkami, który wsunęłam jej do torebki. Nieważne, to może poczekać.

Madeline i Matthew wraz z szefostwem stacji na siódmym piętrze zajęci są próbami opanowania kryzysu. Nie wyobrażam sobie, żeby ta historia mogła się dobrze dla nich skończyć. Matthew powiedział więc, żebyśmy poszły na lunch bez niego. Zarezerwował stół w małej włoskiej knajpce za rogiem, bo nic tak nie wprawia w bożonarodzeniowy nastrój jak pulpety w sosie pomidorowym.

Właściciel restauracji wydaje się aż podejrzanie szczęśliwy na nasz widok. W sali znajduje się jeden długi stół, jakbyśmy zasiadały do średniowiecznej uczy, a na nim tylko serwetki, świąteczne cukierki niespodzianki i papierowe korony. Reszta zastanawia się, czy nie zostawić miejsca u szczytu stołu dla Matthew, pewnie dlatego, że w naszej dysfunkcyjnej biurowej rodzinie odgrywa on rolę ojca. Siadam w pobliżu drzwi i wzdycham z ulgą, kiedy Jo zajmuje wolne krzesło obok mnie. Dzięki Bogu, że ona tu jest.

– Czerwone? – pyta, sięgając po otwartą butelkę domowego wina na stole.

– Dla mnie nie, dziękuję.

Jo krzywi się podejrzliwie, ale nawet jej nie mogę powiedzieć prawdy, przynajmniej dopóki nie zyskam całkowitej pewności. – Nic mi nie jest, tylko wczoraj trochę za dużo wypiałam.

– Z Paulem?

– Nie, ze znajomymi.

– Masz jakichś znajomych poza mną?

– Wiesz, koleguję się też z innymi ludźmi – mówię, ale nagle zdaję sobie sprawę, że wcale nie, to przestało być prawdą. W tym roku dostaliśmy jeszcze mniej kartek świątecznych, niż sama ich wysłałam.

Jedna z producentek nachyla się z cukierkiem niespodzianką, próbując ściągnąć moją uwagę. Uśmiecham się do niej i zaciskam palce na lśniącem złotym papierze. Ciągnę mocno, ale nic się nie dzieje i obie wybuchamy śmiechem. Ciągnę mocniej i papier pęka z hukiem, aż podrywam się z miejsca, choć przecież się tego spodziewałam. Wygrałam. Wkładam sobie na głowę papierową koronę i odczytuję głośno dowcip ze środka.

– Co to jest: leży na dnie morza i się trzęsie? – Rozglądam się po twarzach czekających na puentę. Wątpię, czy je jeszcze zobaczę. – Nerwowy wrak.

Kilka uśmiechów i jeden jęk, ale nikt nie śmieje się na głos. Ktoś inny odczytuje

niedobry dowcip.

Jo pokazuje palcem kawałek czerwonego plastiku w kształcie rybki, który wypadł z mojego cukierka. Podnoszę go i kładę płasko na otwartej dłoni. Pamiętam takie zabawy z czasów, kiedy Claire i ja byliśmy dziećmi. „Wróżba – Cudowna Ryba” – głosi napis na opakowaniu. Uśmiecham się do wspomnień. Głowa rybki roluje mi się na ręce. Nie pamiętam, co to ma oznaczać, więc odczytuję maleńką karteczkę z instrukcjami, szukając objaśnień.

Ruszająca się głowa = Zazdrość.

Pozbywam się ryby z dłoni i uśmiechu z twarzy. Owszem, jestem zazdrosna. Mam po temu wszelkie powody.

Drzwi się otwierają i do restauracji wpada podmuch zimnego powietrza, strącając kilka papierowych kapeluszy z głów na podłogę. Przyszedł Matthew. Nie ma z nim Madeline.

Matthew ostentacyjnie zdejmuje płaszcz i siada do stołu. Stuka nożem w kieliszek prosecco, co naprawdę nie jest konieczne; nie licząc nas, restauracja świeci pustkami, a uprzejme rozmowy naszych trzeźwych koleżanek już ucichły, pomimo tylu tematów do plotek.

– Mam nadzieję, że miło spędzicie nasz świąteczny lunch i wolne popołudnie... – Matthew przerywa dla większego efektu i mam ochotę rzucić mu talerzem w głowę.

Rozwijam papierową serwetkę i rozkładam ją sobie na kolanach.

– Ale zanim do tego przejdziemy, mam smutną wiadomość. – Teraz zdołał przykuć moją uwagę. – Wiem, że wszystkie słyszałyście już o nieszczęśliwym incydencie z mikrofonem Madeline dzisiaj podczas południowych wiadomości.

Upijam łyk lemoniady, która składa się w większości z lodu i bołą mnie od niej zęby.

– To, co wam teraz powiem, nie ma absolutnie nic wspólnego ze sprawą.

Kłamca. Odstawiam szklankę i składam pod stołem ręce jak do modlitwy, próbując powstrzymać się przed skubaniem warg.

– Z przykrością muszę was poinformować, że Madeline postanowiła niestety opuścić program z powodów osobistych i nie będzie już prezenterką *Porannej kawy*.

Rozlegają się zdumione westchnienia, w tym moje.

Ding. Dong. Czarownica nie żyje.

– Mówię wam teraz, bo do jutra dowie się o tym cholerna prasa, a chciałem was zapewnić, że program nadal będzie na antenie i wasze miejsca pracy są bezpieczne. Po Nowym Roku zaprosimy kilku występujących gościnnie prezenterów. Amber, mam nadzieję, że pomożesz im w miarę możliwości. A potem zastanowimy się nad rozwiązaniem długoterminowym.

Kiwam głową. W ten sposób Matthew chciał mi dać znać, że na razie nic mi nie grozi.

Znowu rozbrzmiewa gwar. Wszystkie rozmowy kręcą się wokół najnowszego tematu. Matthew mówił, że Madeline odchodzi z powodów osobistych. Przypuszczam, że jestem jedyną osobą przy tym stole, która wie, jak bardzo osobistych.

Na stół wjeżdża świąteczne pieczywo czosnkowe, wygląda na zeschnięte i nieapetyczne. Obmyślam, jak się wymówić przed posiłkiem, kiedy nagle słyszę stukanie w restauracyjne okno za plecami. Odwracam się i widzę zarys postaci, ale

sztuczny śnieg na szybie sprawia, że trudno mi rozpoznać uśmiechniętą twarz, która na mnie spogląda.

– Znasz go? – pyta Jo.

Z początku nie potrafię odpowiedzieć. Jestem zbyt zajęta próbą zrozumienia, jak i skąd on się tu wziął. Edward uśmiecha się do nas.

– Przepraszam na chwilę – mówię i wstaję od stołu.

Wychodzę na ulicę, zimny wiatr przypomina mi, że powinnam była narzucić na siebie płaszcz.

– Cześć – mówi Edward, jakby jego obecność tutaj nie była niczym niezwykłym.

– Co ty tu robisz? Śledzisz mnie?

– No co ty! Nie, przepraszam. Pewnie tak to wygląda, ale naprawdę za tobą nie chodzę, słowo daję. Mówiłaś wczoraj, że idziecie tu na świąteczny lunch.

Naprawdę?

– Miałem spotkanie na końcu ulicy i kiedy zobaczyłem cię w oknie, odruchowo postanowiłem się przywitać.

Nie wierzę mu.

Zauważam, że się nie ogolił, jego opaloną brodę pokrywa cień ciemnej szczeciny. Nosi też to samo ubranie co wczoraj, pod długim wełnianym płaszczem widzę białą koszulę. Edward czeka, aż coś powiem, a kiedy dalej milczę, zaczyna od początku.

– Kłamałem. Przepraszam, nie powinienem. Ale i tak od razu mnie przejrzałaś, jak zawsze. Nie miałem żadnego spotkania. Po prostu pamiętałem, że tu będziesz, i musiałem znaleźć sposób, żeby znowu cię zobaczyć...

– Słuchaj, Edwardzie...

– Chciałem przeprosić. Kiedy się obudziłem i przypomniałem sobie wczorajszy wieczór, zrobiło mi się strasznie głupio. Po prostu szukałem okazji, żeby cię przeprosić, nic więcej. Nie wiem, czemu powiedziałem te wszystkie rzeczy, to na pewno przez wino. Oczywiście jesteś wspaniała, ale tamto to już przeszłość. Nie chcę cię odrywać od świątecznego lunchu, strasznie cię przepraszam, chciałem tylko oczyścić atmosferę i upewnić cię, że nie jestem psycholem.

– Okej.

– Straszna zimnica, proszę cię, wracaj do znajomych. Obawiam się, że tylko pogorszyłem sytuację. Nie będę ci już zawracał głowy, Amber. Naprawdę mi przykro z powodu tego, jak się zachowałem.

Rzeczywiście wygląda na bardzo skruszonego, do tego stopnia, że zaczynam go trochę żałować; trudno się mieszka w mieście, gdzie nikt tak naprawdę cię nie zna. Oglądam się na restaurację i widzę przez okno Jo, która kiwa na mnie, żebym wracała do środka. Czuję, że powinnam coś powiedzieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Jest mi zimno i czuję się bardzo skrępowana, więc w końcu mówię coś zupełnie niewłaściwego.

– Wesołych świąt, Edwardzie. Na razie. – Po czym odwracam się i kieruję w stronę restauracji, pozostawiając go na zimnie.

Przedtem
Piątek, 11 grudnia 1992

Kochany Pamiętniczku,
i znowu... Zawiesili mnie, ale to naprawdę nie moja wina. W ogóle nie chciałam dziś iść do szkoły, źle się czułam i nie doszłoby do tego, gdyby mama pozwoliła mi zostać w domu. Więc tak naprawdę to wszystko przez nią, jak zawsze, ale ona pewnie będzie mieć inne zdanie, kiedy się dowie. Babcia powiedziałyby, że to tylko takie hocki-klocki, ale Taylor naprawdę mogła się stać krzywda, gdybym czegoś nie zrobiła.

To była lekcja chemii i po raz pierwszy korzystaliśmy z palników Bunsena. Zawsze się zastanawiałam, co to takiego, ale aż do dzisiaj nie wolno nam było ich dotykać. Podobał mi się zapach gazu, kiedy je włączyliśmy, przypominał mi starą kuchenkę Buni. Pan Skinner pokazał nam, jak się z nimi obchodzić. W palnikach Bunsena znajduje się otwór i jest on bardzo ważny. Kiedy się go zamknie, płomień robi się żółty, a kiedy otworzy - błękitny. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o spalanie. Ale gaz może być niebezpieczny, płomień zresztą też, więc kiedy wróciłam z toalety i zobaczyłam, jak Kelly przysuwa palnik do włosów Taylor, musiałam coś zrobić.

Podobno tym razem złamałam jej nos. Właściwie nawet tego nie pamiętam, po prostu chciałam, żeby odsunęła się od Taylor. Pan Skinner ściągnął mnie z niej i spytał, co się stało, a ja powiedziałam, że nie wiem. Krzyknął na mnie, żebym nie kłamała i że wszystko widział, ale ja naprawdę nie kłamałam. Pamiętam tylko twarz Kelly przysuniętą za blisko do Taylor. Poczułam, że coś we mnie pękło. Kocham Taylor. Nie pozwolę, żeby ktoś ją skrzywdził. Nie miałam wyboru.

Pan Skinner zaciągnął mnie za kołnierz do gabinetu dyrektorki. U tej jeszcze nie byłam, ale się nie bałam. Wszystkie dyrektorki są takie same i nic mi nie mogą zrobić, nie tak naprawdę. Było bardzo dramatycznie, zupełnie jak w filmie. Tylko że gdyby to był film, ja byłabym bohaterką. A w prawdziwym życiu byłam tą złą, która musiała czekać na korytarzu, podczas gdy oni wzywali moją mamę.

Podeszła Taylor z pielęgniarką - kiedy ją odepchnęłam, żeby ją uratować, uderzyła się w głowę. Nie wyglądała na uszczęśliwioną. Twarz miała całą czerwoną i opuchniętą od płaczu, ale nic jej nie było, dzięki mnie. Pielęgniarka powiedziała do niej, że wkrótce przyjedzie jej mama. Do mnie nawet się nie odezwała, Taylor też nie. Do tej pory zawsze miałyśmy sobie coś do powiedzenia i zrobiło mi się przykro. Spytałam, czy wszystko w porządku, ale ona tylko wbiła wzrok w podłogę. Już miałam zapytać jeszcze raz, kiedy wreszcie otworzyła usta.

- Nie trzeba było tego robić - powiedziała.

Moim zdaniem to bardzo niewdzięcznie z jej strony.

- Niby czemu nie? - spytałam.

- Bo powinnaś posługiwać się tym - powiedziała, pokazując swoją głowę. - A nie tym. - Podniosła ręce. - Jak ci się wydaje, co one mi zrobią, kiedy ciebie nie będzie? Wszystko popsują.

Jej słowa sprawiły, że poczułam jednocześnie smutek i gniew. Widziałam, że Taylor jest zdenerwowana, więc siedziałam cicho i ukryłam złość. Miałam jej w sobie tyle, że aż rozbolał mnie brzuch.

Przyjechała mama Taylor i mocno ją uściskała. Bardzo się martwiłam, że i ona będzie na mnie zła, ale mnie też objęła, więc wiem, że nadal mnie kocha. Bo naprawdę sądzę, że mnie kocha. Nie tak jak Taylor, ale całkiem mocno. Spytała, czy po mnie też ktoś przyjedzie, więc powiedziałam, że nie wiem. Od czasu incydentu z bransoletką mama Taylor nie rozmawia już z moją mamą.

Mama Taylor spotkała się z dyrektorką w gabinecie. Przez przeszklone drzwi słyszałyśmy każde słowo, aż pomyślałam, że wisząca obok plakietka z napisem POMIESZCZENIE PRYWATNE jest bardzo głupia. Nikt nie mógł się dodzwonić do mamy ani do taty, więc w końcu mama Taylor dostała zgodę, żeby zawieźć mnie do domu.

Taylor nie odzywała się do mnie ani kiedy wychodziłyśmy ze szkoły, ani kiedy wsiadałyśmy do volvo, ani nawet kiedy podjechałyśmy pod mój dom. Mama Taylor popatrzyła na mnie, jakby nie rozumiała, czemu nie wysiadam, ale spytałam, czy mogłaby pójść ze mną do domu i wytłumaczyć mamie, co się stało, bo się boję. Jej twarz się zmieniła, zrobiła się tak jakby miękka, a jej duże zielone oczy miały jednocześnie smutny i łagodny wyraz. Kazała Taylor zostać w samochodzie, choć nie było to potrzebne, bo Taylor nie odpięła pasa, wyglądała tylko przez okno. Nawet nie powiedziała mi do widzenia.

Mama Taylor poszła ze mną i zapukała do drzwi, bo dzwonek już od jakiegoś czasu nie działa. Kiedy nikt nie otworzył, popatrzyłam na nią, a ona się uśmiechnęła. Jest taka ładna i miła, a jej ubrania zawsze do siebie pasują, jakby specjalnie zaprojektowano je tak, by nosić je razem. Znowu zapukała. Kiedy nadal nikt nie otwierał, zapytała, czy mam klucz do drzwi. Powiedziałam, że tak, ale nadal się boję, i to nawet nie było kłamstwo, bo naprawdę trochę się bałam. Wiedziałam, że mama i tata będą się bardzo gniewać. No i obiecałam Buni, że już nigdy nie zdarzy mi się nic takiego. Ale Bunia nie żyje, więc nie wiem, czy to znaczy, że złamałam obietnicę, czy nie.

Kiedy weszłyśmy do środka, zawołałam raz mamę, lecz nikt nie odpowiedział. Wtedy ją zobaczyłam. Z początku tylko stopy wystające zza sofy, jakby próbowała się ukryć, tylko niezbyt dobrze. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że wcale się nie chowa. Nie ruszała się, miała zamknięte oczy, a jej twarz leżała w dużej kałuży wymiocin. Zawołałam mamę Taylor, bo naprawdę się przestraszyłam. Mama wyglądała na martwą, zupełnie jak wtedy, kiedy leżała przy schodach. I strasznie śmierdziała. Całą brodę i ubrania miała pokryte wymiocinami. Mama Taylor powiedziała, żebym się nie martwiła, i że mama źle się czuje, ale wszystko będzie dobrze. Musiałam jej pomóc zabrać mamę na górę. Potem kazała mi zawołać Taylor

z samochodu. Widziałam, że Taylor nie chce wchodzić do środka, ale w końcu weszła. Nadal się do mnie nie odzywała.

Usiadłyśmy na kanapie, a mama Taylor kazała nam włączyć telewizor i nie wchodzić na górę. Włączyłam go, ale żadna z nas tak naprawdę nie oglądała, dźwięk był za cicho, żeby zagłuszyć odgłosy z góry. Mama Taylor zabrała mamę do łazienki, żeby doprowadzić ją do porządku. Mama bardzo głośno płakała, a potem zaczęła wykrzykiwać różne rzeczy.

Najbardziej zapamiętałam z jej krzyków te trzy:

1. Pierdol się (w ogóle często to mówiła).
2. Wynoś się z mojego domu, ty suko (to nie jej dom, tylko Buni).
3. Mam gdzieś twoją pieprzoną pomoc.

To trzecie było najgłośniejsze, bo wyraźnie potrzebowała, żeby ktoś jej pomógł.

Nigdy nie słyszałam, żeby mama mówiła w ten sposób do kogoś poza tatą. Nazwała też mamę Taylor snobką. Snob to ktoś, kto ma się za lepszego od ciebie. Nie wydaje mi się, żeby mama Taylor tak myślała, chociaż jest o wiele lepszym człowiekiem niż moja mama, i najlepszą mamą na świecie. To było straszne popołudnie, ale jakaś ukryta częśćka mnie cieszyła się, bo to znaczyło, że nikogo nie będzie obchodzić moje zawieszenie.

Taylor i jej mama zostały u nas, póki nie wrócił tata. Ciągłe powtarzał „przepraszam” i „dziękuję”, jakby nie znał innych słów. Kiedy poszły, spytał, czy chcę na kolację nuggetsy z kurczaka. Zjedliśmy, siedząc na kanapie przed dużym telewizorem, który wciąż chodził, choć nikt go nie oglądał. Tata zapomniał o keczupie, ale nic nie powiedziałam. Mamie nie zrobił kolacji i chyba wiem dlaczego. Kiedy tak siedzieliśmy, nie oglądając telewizji i jedząc kurczaka bez keczupu, po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że tata pewnie tak samo jak ja chciałby, żeby mama umarła.

Teraz
Piątek, 30 grudnia 2016

– Co słyhać, Amber? Widzę, że nadal się nie poddajesz. To mi się podoba.

Mój szpitalny pokój wydaje się o odcień ciemniejszy niż poprzednio. Mam ochotę wrzeszczeć, kiedy Edward dotyka mojej twarzy. Chcę zniknąć, żeby już nigdy nie zdołał mnie znaleźć.

– I wreszcie możesz sama oddychać, wspaniałe wieści, brawo.

Jego palce przesuwają się do mojego prawego oka i je otwierają. Ledwo dostrzegam niewyraźny zarys stojącej nade mną postaci. Potem Edward świeci mi w oko oślepiająco jasnym światłem. Teraz widzę już tylko biel i masę ruchomych plamek. Edward powtarza to z lewym okiem, a potem mój świat na powrót wraca do czerni.

– Chyba robisz nieco za szybkie postępy. Może powinniśmy odrobinę to przystopować.

Słyszę, że coś robi, ale nie wiem co. Kiedy już zupełnie porzucam nadzieję i godzę się z losem, słyszę dźwięk otwieranych drzwi.

– Jak ona się czuje? – pyta Paul.

Nie rozumiem, jak może być tak spokojny, widząc w moim pokoju obcego mężczyznę, ale potem przypominam sobie, że dla niego to tylko członek personelu medycznego.

– Obawiam się, że nie jestem w stanie udzielić panu odpowiedzi – mówi Edward.

– Przepraszam, spotkałem tu tyle osób... Czy my już ze sobą rozmawialiśmy?

– Nie wydaje mi się. Jestem tylko noszowym...

Noszowym? Nie rozumiem.

– ...A poza tym właśnie zaczyna się nocna zmiana, więc właściwie nie powinno tu pana być.

– A pan powinien? – pyta Paul.

Na chwilę zapada cisza i boję się, co się dalej stanie.

– Właśnie przywozłem pańską żonę ze skanu. Wykonuję tylko swoją pracę.

Nie mówiłeś mi, że jesteś moim mężem. Myśl, Paul, myśl.

– Przepraszam, zachowałem się nieuprzejmie. Jestem bardzo zmęczony, proszę mi wybaczyć. Ale na pewno widuje pan na nocnej zmianie różne typy – mówi Paul.

– Zdziwiłby się pan, co tu się wyprawia po zmroku – odpowiada Edward. – Może pan zostać jeszcze chwilę, żeby się pożegnać, ale niedługo będzie pan musiał iść. Przepisy, proszę zrozumieć. Niech się pan nie martwi, dobrze się nią zajmiemy pod pana nieobecność.

Edward wychodzi i zostajemy z Paulem sami. Paul przysuwa sobie krzesło do łóżka i siada. Muszę znaleźć jakiś sposób, by mu powiedzieć, że to właśnie człowiek, z którym rozmawiał, odpowiada za mój stan. Nie rozumiem, czemu Edward powiedział, że jest noszowym, i czemu Paul mu uwierzył. Do pokoju wchodzi Claire i ten jeden raz się cieszę. Jest bystra, rozgryzie to.

– Kto to był?

– Noszowy, powiedział, że musimy już iść.

– Pewnie ma rację, jest późno – mówi Claire, siadając obok niego, już nie po przeciwnej stronie łóżka.

– Ona poruszyła palcem, sama widziałaś, chciała nam coś pokazać, ja to wiem – mówi Paul.

Teraz pamiętam. Wskazywałam znak wyjścia awaryjnego. Myślałam, że to tylko sen, ale oni mnie widzieli!

– Owszem, widziałam, jak porusza palcem, ale słyszałaś, co mówił wcześniej lekarz. Niektórzy pacjenci w śpiączce poruszają rękami, otwierają oczy, nawet mówią, ale to nie znaczy, że się obudzili. To dokładnie to samo, co kiedy ktoś rzuci się przez sen, bo śni mu się koszmar.

To coś więcej niż tylko koszmar.

– Moim zdaniem powinniśmy być dobrej myśli, poczekajmy, co powiedzą, kiedy dostaną wyniki...

– A ja myślę, że musimy patrzeć realistycznie – przerywa Claire.

Przez chwilę nikt nic nie mówi.

– Ale jeśli chcesz wiedzieć, ja też w to nie wierzę – mówi wreszcie moja siostra.

– Myślisz, że lekarze nas okłamują?

– Nie okłamują, po prostu wydaje mi się, że nie słuchają. To naprawdę wyglądało tak, jakby próbowała się z nami porozumieć, a oni nie znają jej tak jak my.

– Więc czemu znowu tego nie zrobiła?

– A prosiłaś ją o to? Co, jeśli ona tu leży i słyszy każde słowo, które wypowiadamy?

Claire bierze mnie za rękę, jej palce są lodowato zimne.

– Amber, jeśli mnie słyszysz, ściśnij moją rękę.

– To nie ma sensu.

– Może to za trudne. – Claire puszcza moją dłoń i odkłada ją z powrotem na łóżko. – No dobrze. Amber, patrzmy na twoją prawą rękę. Jeśli mnie słyszysz, porusz palcem, choć odrobinę.

Chcę spełnić tę prośbę, niczego bardziej nie pragnę, ale on coś mi zrobił, wiem, że tak. Skupiam się cała na prawej ręce, tak się staram, że powinnam dyszeć z wysiłku, lecz nic się nie dzieje.

– Przykro mi – mówi Claire.

– Daj spokój – odpowiada Paul. – Wiem, że starasz się pomóc. No i pewnie masz rację co do odpoczynku, powinniśmy zaraz wracać.

Proszę, nie.

– Jeszcze pięć minut i idziemy.

Przez jakiś czas panuje cisza. Chciałabym, żeby zaczęli rozmawiać, czuję, że odpływam i naprawdę przydałoby mi się coś, czego mogłabym się uchwycić. Jako pierwsza odzywa się Claire.

– Jeśli to ma się przeciągnąć, będzie nam potrzebna pomoc.

– Nie przeciągnie się.

– Też mam taką nadzieję, ale jeśli tak się stanie, sami sobie nie poradzimy.

– Owszem, po prostu będziemy się nią zajmować na zmianę.

– Może jeszcze przez kilka dni, ale co potem? David jest przykuty do bliźniaków

i niedługo oszaleje, to nie tak jak przedtem, kiedy moi rodzice mogli pomóc. Czy Amber ma jakichś przyjaciół, do których moglibyśmy zadzwonić?

Paul nie odpowiada.

– Ma jakichś przyjaciół, prawda? – nie ustępuje Claire.

– Rozmawia w pracy z Jo, czasem wychodzą na drinka.

W rozmowie następuje przerwa i robi mi się niedobrze.

– Ma przyjaciela o imieniu Jo? – pyta Claire.

– Tak, to kobieta.

Niemal słyszę myśli Claire.

– Poznałeś ją kiedyś? – dąży.

– Nie. A czemu?

– Tak pytam. No cóż, może ona mogłaby pomóc.

– Nie mam jej numeru.

– Na pewno Amber ma go w telefonie, prawda?

Słyszę, że Paul coś otwiera, i wyobrażam sobie, jak szpera w mojej torebce. Pokój zaczyna wirować w jedną stronę, a moje łóżko w drugą. Słyszę w oddali jakiś śpiew, to ta dziewczynka w różowym szlafrocжку, ale ja muszę tu zostać, muszę to powstrzymać. Paul nie może sprawdzić mojego telefonu, są tam rzeczy, których nie wolno mu zobaczyć. Chyba przypomina mi się coś złego. Coś, czego nie powinnam była robić i co sprawiłoby, że mój mąż bardzo by się gniewał, gdyby się dowiedział. Wspomnienie wydaje się rzeczywiste. Obok niego pojawia się inne. Na moim gardle zaciskają się silne dłonie, walczę o oddech i po raz pierwszy wydaje mi się, że pamiętam, co się stało. Obawy zamurują się w mojej głowie tak, że nic innego nie może już tam wejść ani stamtąd wyjść.

– Bateria padła – mówi Paul. Pokój zwalnia, ale nie przestaje się obracać. – Zabiorę go dziś do domu i podładuję.

Wtedy
Piątek, 23 grudnia 2016 – późne popołudnie

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam – mówię.
- Ja też nie, ale cieszę się, że to zrobiłaś – odpowiada Edward.
- Teraz wszyscy będą gadać, jak to uciekłam z nieznajomym w połowie świątecznego lunchu.
- Nieznajomym to raczej nie jestem.
- Wchodzimy do baru i siadamy przy tym samym stoliku, przy którym siedziałam kilka dni wcześniej z Jo. Lubię to miejsce, jest bezpieczne i znajome, jakby nic złego nie mogło się tu stać.
- Miałam ostatnio trochę kłopotów w pracy. Wolę wypić szybkiego drinka ze znajomym niż rozmawiać o pogodzie nad nieschłodzonym prosecco. – Przerywam na chwilę, wiedząc, że powinnam powiedzieć coś więcej. – Ale to wszystko. Jesteśmy tylko znajomymi, którzy poszli na drinka, żeby oczyścić atmosferę.
- Ma się rozumieć – mówi Edward. – Co mogę ci zaproponować?
- Ja stawiam – nalegam, wyjmując portfel z torebki i zostawiając ją na krześle. Jest ciężka od wszystkich rzeczy, których nie chciałam zostawiać w biurze i które mogłyby mi się jeszcze przydać.
- W takim razie proszę jakieś jasne piwo z beczki.
- Robi się, zaraz wracam.
- Przy barze panuje tłok i kiedy czekam, mój wzrok zatrzymuje się na czarno-białych zdjęciach wiszących na ścianach. Odnajduję wzrokiem datę na fotografii najbliższej mnie, z 1926 roku. Bar wygląda dokładnie tak samo. Świat wciąż się kręci, powtarza się raz za razem, póki nie nastąpi jakaś zmiana, tylko że to się nigdy nie zdarzy, bo ludzie się nie zmieniają. Obliczam sobie czas w głowie i stwierdzam, że uśmiechające się do mnie twarze należą już do umarłych. Odwracam wzrok. Kiedy wreszcie zostaję obsłużona, mam wrażenie, jakby stopy kleiły mi się do brzydkiej wykładziny, zatrzymywały mnie w miejscu. Przedzieram się przez tłum z powrotem do stolika, niosąc w jednej ręce piwo, w drugiej lemoniadę, a w zębach paczuszkę czipsów serowo-cebulowych. Wyraz twarzy Edwarda zmienia się lekko, kiedy siadam. Nie potrafię go odczytać, więc nie zwracam na niego uwagi.
- Na zdrowie – mówię, unosząc szklanekę.
- Na zdrowie.
- Więc jakie masz plany na święta?
- Niestety pracuję. Miałem pecha i dostały mi się nocne zmiany od Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku.
- Auć.
- To nic. Zarywanie nocy wcale nie jest takie złe, jak się ludziom wydaje. – W moim umyśle budzi się wspomnienie, poruszone tymi słowami.
- Pamiętasz ten dzień, kiedy skończyłam studia? – pytam i patrzę, jak na jego twarzy powoli pojawia się uśmiech.

Przez jakiś czas idzie łatwo, czuję się niemal swobodnie. Rozmawiamy o wakacjach i krajach, które odwiedziliśmy od czasu rozstania, omijając wspólne wspomnienia i opowiadając sobie historie, które nas nie łączą. Wprowadzamy w ten sposób lekki dystans, przywracamy porządek. Już zaczynam myśleć, że wypłynęliśmy na bezpieczne wody, i trochę się rozluźniam.

– Jesteś szczęśliwa? – pyta nagle Edward. Jego dłoń przysuwa się na stoliku nieco za blisko do mojej. Odsuwam rękę na bezpieczną odległość, składam je na udach i zwijam w pięści.

– Kocham swojego męża.

– Nie o to pytałem.

– Edwardzie.

Już się z nim nie zobaczę, to nasze pożegnanie. On też to wie, ale mimo to nalega na odpowiedź.

– Więc jesteś szczęśliwa?

Postanawiam, że mu odpowiem, a potem dopiję lemoniadę i pójdę do domu.

– Nie. W tej chwili nie jestem specjalnie „szczęśliwa”. Ale to nie z powodu mojego małżeństwa.

– Więc o co chodzi?

– Chyba po prostu o życie. Trudno to wyjaśnić.

– Spróbuj.

– Popełniłam kilka błędów i teraz za nie płacę.

Wtedy
Piątek, 23 grudnia 2016 – wczesny wieczór

Budzę się z bólem głowy i nie mam pojęcia, gdzie jestem ani co się ze mną stało. Ostatnie, co pamiętam, to jak rozmawiałam w pubie z Edwardem. Siadam. Nagły ruch sprawia, że wszystko kołysze się jak maleńka łódka na wzburzonym morzu, ale wcale nie jestem w łódce, tylko na łóżku. W pokoju panuje mrok, zasłony są zaciągnięte. Widok tego zaciemnionego pomieszczenia i jego zapach są mi obce, to mieszanina czyichś stęchłych ubrań i potu. Nadal nie wiem, gdzie się znajduję, ale szybko odkrywam, że jestem naga.

Czas zatrzymuje się na sekundę, podczas gdy ja patrzę na swoje blade ciało. Każda część mnie, która zazwyczaj jest zasłonięta, ukryta, teraz znajduje się na widoku. W mojej głowie robi się bardzo głośno. Sypialnia, w której jestem, nie należy do mnie. Patrzę na nieznaną granatową pościel, słyszę w oddali odgłosy prysznica i staram się zidentyfikować dziwny posmak w ustach. Rozglądam się za swoim ubraniem i widzę je na podłodze. Przecież nawet nie piłam alkoholu, to była tylko lemoniada. Nic nie zrobiłam, nie zrobiłabym tego.

Nie pamiętam.

Próbuję się poruszyć, podciągnąć z łóżka. Usiłuję wstać, ale czuję, jakbym poruszała się w zwolnionym tempie. Pokój znowu zaczyna przechylać się i zniekształcać. Jestem jak płynna rtęć uwięziona w labiryncie. Cokolwiek zrobię, nie mogę popłynąć we właściwym kierunku. Nachylam się, chcąc zmusić ciało do posłuszeństwa, ale im bardziej się przyginam, tym bardziej się boję, że zaraz pęknie mi grzbiet. Słyszę w oddali czyjs gwizd, dźwięk ginie w odgłosie wody wypychanej z potężnej dyszy prysznica. Niedobrze mi. To nie może być prawda. Nie należę do osób, które zrobiłyby coś takiego.

Zmuszam się, żeby stanąć, i czuję ból między nogami. Nie wiem, czy jest prawdziwy, czy tylko go sobie wyobrażam. Próbuję otrząsnąć się z tych myśli i z tego uczucia. Robię krok w kierunku stosiku ubrań, w których rozpoznaję własne rzeczy. Pokój znowu się kołysze, próbuje zakłócić moją równowagę. Spoglądam na swoje nagie nogi i widzę na obu kolanach tatuaż niebieskozielonych siniaków. Stało się coś bardzo złego.

Muszę spróbować sobie przypomnieć.

Przeglądam folder najnowszych wspomnień w umyśle, ale wszystkie pliki są puste aż do momentu, kiedy jestem w pubie. Piłam tylko lemoniadę, jestem tego pewna. Poszłam do ubikacji, wróciłam do stolika i miałam sobie iść. A potem... nic.

Znowu rozglądam się po pokoju. Widzę przy łóżku oprawione zdjęcie i moje ciało zapomina, jak się oddycha. Z fotografii spogląda na mnie moje młodsze ja, śmieje się z mojej głupoty. Młody Edward obejmuje ją ramieniem, przyciąga nieco za blisko, choć ona wygląda, jakby jej to nie przeszkadzało. Pamiętam, kiedy zrobiono to zdjęcie. To było w dniu, kiedy skończyłam studia. Na kilka dni przed tym, jak z nim zerwałam. Nie chciałam tego robić, ale nie miałam wyboru. A on trzymał je przez te wszystkie lata. Chłopak na zdjęciu wyrósł na mężczyznę, którego nie znam. Mężczyznę, którego

bardzo się teraz boję. I jakimś sposobem znalazłam się w jego mieszkaniu, a moje ubrania leżą na jego podłodze.

Nie chcę sobie przypominać.

To wszystko nie tak. Muszę się stąd wydostać, a nie wiem nawet, gdzie jestem. Ależ byłam idiotką. Na chwilę przestaję nurzać się w obrzydzeniu do samej siebie i rozglądam się po otoczeniu. Wszystko wydaje się brudne. Na podłodze leżą gazety, nieotwarta poczta, pusta butelka, nieuprane ubrania, brudne naczynia, otwarte pudełko po pizzy z kilkoma nadgryzionymi kawałkami. Stęchłe powietrze mnie dusi, na wszystkich powierzchniach widzę grubą warstwę kurzu. W kącie stoi jakieś urządzenie. Z początku nie jestem pewna, co to takiego, ale potem rozpoznaję w nim łóżko do opalania starego typu. To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Znowu odnajduję wzrokiem swoje rzeczy, rzucone na poplamiony dywan. Moje ciało jest posiniaczone i uparcie protestuje, kiedy próbuję włożyć ubrania, które udaje mi się znaleźć. Z pozostałych rezygnuję. Zauważam swoją torebkę i szukam w środku telefonu, ale go nie ma. Znajduję za to nieotwarty jeszcze test ciążowy i czuję narastające mdłości. Znowu się rozglądam, patrząc na fragmenty cudzego życia, i zauważam swój telefon na stoliku. Sprawdzam datę i godzinę, nadal jest piątek. Odgłos prysznicza cichnie, zastygam. Moje nogi przełączają się na autopilota, zmuszając mnie do chwiejnego przemieszczenia się w stronę jedyne go wyjścia z pokoju.

Przekręcam kłamkę i pociągam, za drzwiami ukazuje się długi, wąski korytarz. Słyszę, jak Edward gwizdże za drzwiami na drugim końcu. Brudna brązowa wykładzina jest niemal całkowicie pokryta stosami starych gazet, czuję mocną woń pleśni. Na ścianach widzę dwie duże korkowe tablice i natychmiast je rozpoznaję, Edward miał je w swoim pokoju na studiach. Wtedy pokrywały je fotografie nas obojga, nadal tu są, ale doszły też nowsze zdjęcia, tym razem przedstawiają tylko mnie. Ja pod budynkiem pracy, ja czytająca gazetę w metrze, ja pijąca kawę w kawiarni niedaleko domu niecały tydzień temu – rozpoznaję swój nowy płaszcz. Musi tam być co najmniej sto zdjęć i z każdego spogląda moja twarz. Zmuszam się, żeby odwrócić wzrok. Muszę się stąd wydostać. Ale już.

Widzę coś, co wygląda na drzwi wejściowe, są bliżej niż łazienka, w której siedzi Edward. Idę na uginających się nogach wzdłuż ściany, wymijając spiętrzone śmieci. Wiem, że kończy mi się czas. Z trudem uspokajam się na tyle, by odpiąć łańcuch i wypuścić się w jeszcze ciemniejszy mrok. Jestem na zewnątrz, ale gdzieś wysoko, to jakiś zewnętrzny korytarz w dużym bloku. Odwracam się szybko, by spojrzeć na numer na granatowych drzwiach, przez które właśnie wyszłam, po czym zaczynam się wycofywać tyłem. Nie przystaję nawet, żeby zamknąć za sobą drzwi. Z przyjemnością witam wstrząs, jaki budzi zimne powietrze, które wkrada mi się w rękawy, za dekolt i pod spódnicę. Mrugam, żeby powstrzymać łzy. Nie zasługuję na niczyją litość, nawet własną.

Przedtem
Wtorek, 15 grudnia 1992

Kochany Pamiętniczku,

teraz cała nasza trójka siedzi w domu, mama, tata i ja. Nadal jestem zawieszona, choć nikogo to nie obchodzi. Tata przestał chodzić do pracy. Mówi, że to dlatego, żeby zajmować się mamą, która źle się czuje, ale przez cały dzień siedzi na dole i ogląda telewizję, a ona przesiaduje na górze w swoim pokoju. Tata mówi, że jestem już na tyle duża, żeby poznać prawdę, i że mama była w ciąży, a potem spadła ze schodów i dziecko zmarło. Dlatego właśnie tamtego popołudnia wypłała tyle, że aż zwymiotowała, i dlatego krzyczała na mamę Taylor. Myślałam, że ludzie wykrzykują takie rzeczy, kiedy są źli, ale tata mówi, że czasem robią to też, kiedy się smucą.

Nie wiedziałam, że mama była w ciąży, ale cieszę się, że już nie jest, obrzydliwość. Pytałam tatę, czy to się może powtórzyć. Powiedział, że nie, bo w szpitalu musieli wyjąć jej coś z brzucha. Ucieszyłam się z tego. Rodzice nawet mną nie potrafią się porządnie zająć, więc byłoby bez sensu, gdyby mieli drugie dziecko. Trochę się martwię, że adoptują fałszywego brata albo siostrę, żeby mama się cieszyła. Takiego rodzeństwa też bym nie chciała.

Tata ciągle wyskakuje po to czy tamto, ale czasem wraca z pustymi rękami. Chyba powinien zacząć sobie wszystko zapisywać, żeby o niczym nie zapominać, tak robiła Bunia. Prosił, żebym miała oko na mamę, a sam poszedł po chleb, mleko i loteryjną zdrapkę. Nie było łatwo, bo nie chciałam patrzeć na mamę. Drzwi sypialni były uchylone, więc postanowiłam pilnować jej jednym okiem z korytarza, jak mówił tata. Pomyślałam, że chciałaby posłuchać, jak śpiewam, bo przegapiła w tym roku świąteczny koncert w szkole. Więc wymyśliłam śmieszny piosenkę, którą zaśpiewałam z podestu schodów.

Z pijaną matką co zrobimy?

Z pijaną matką co zrobimy?

Z pijaną matką co zrobimy?

Bardzo wczesnym rankiem?

Wymyśliłam do tego nawet krótki taniec, w którym udawałam, że piję butelkę za butelką. Nie roześmiała się, może nadal spała. Dużo teraz sypia. Tata mówi, że smutek ją wycieńcza.

Kiedy tata wrócił, powiedział, że musimy porozmawiać. Znowu zapomniał o mleku, lecz nie wytknęłam mu tego, bo i tak wydawał się bardzo przejęty. Usiedliśmy przy kuchennym stole i z początku myślałam, że zapomniał, co chciał powiedzieć, ale potem zrobił minę i oświadczył, że musimy się znowu przeprowadzić. Odparłam, że nie chcę kolejnej przeprowadzki, jednak on powiedział, że musimy to zrobić. Spytałam, czy to moja wina, bo znowu mnie zawiesili. Powiedział, że nie. Zaczął mi coś tłumaczyć, ale jego słowa

pomieszały się w drodze do moich uszu, bo zaczęłam płakać, choć wcale tego nie chciałam.

Miało to coś wspólnego z jakimś człowiekiem o imieniu Will. Bunia miała z nim porozmawiać przed śmiercią, tylko że zapomniała i teraz musimy się przenieść, bo wszyscy ciągle o czymś zapominają. Tata powiedział, że siostra mamy bardzo się gniewa, że Bunia nie porozmawiała z Willem. Nawet nie wiedziałam, że mama ma siostrę. Tata powiedział, że spotkałam ją kilka razy, kiedy byłam bardzo mała, zupełnie tego nie pamiętam. Powiedział, że siostra mamy od lat nie rozmawiała z mamą ani z Bunią, ale kiedy Bunia zmarła, ona stwierdziła nagle, że chce dostać połowę domu. Spytałam, czy nie możemy nadal mieszkać w drugiej połowie, lecz tata powiedział, że nie, to tak nie działa. Spytałam, czy moglibyśmy zostać, jeśli uda mu się znaleźć trzy takie same rzeczy na zdrapcę z loterii. Powiedział, że już ją zdrapał i że nie wygraliśmy.

Przez to wszystko zrobiło mi się bardzo smutno, więc spytałam, czy mogę iść do swojego pokoju i trochę poczytać, a on powiedział, że tak, tylko żebym była cicho i nie przeszkadzała mamie. Powiedział, że musimy bardzo o nią dbać, bo przejmuje się tym wszystkim nawet bardziej niż my. Nie rozumiem, czemu w ogóle mam się nią zajmować. Ona miała dbać o Bunię i jakoś się nie spisała, bo Bunia w końcu zmarła na raka. Ostatnio nie mogłam powstrzymać się przed myślą, że gdyby Bunią podczas choroby zajmował się ktoś lepszy, na przykład mama Taylor, toby wydobrzała i nadal by żyła. Wszystko byłoby dobrze i nie musielibyśmy się wciąż przenosić. To wszystko wina mamy, nawet jeśli tata jest za głupi, żeby to zobaczyć. Mama wszystko wszystkim popsuła i nigdy jej tego nie wybaczę.

Teraz Sylwester 2016

Budzi mnie jakiś odgłos, już go wcześniej słyszałam. Łóżko odchyła się do tyłu, tak że moje nogi celują w sufit i krew napływa mi do głowy. Przesuwają mnie nieco bliżej, do samej krawędzi. Boję się, że spadnę i nikt mnie nie złapie, ale oni delikatnie odchylają mi głowę i czują na niej ciepłą wodę i delikatne palce.

Robią mi dzisiaj włosy, nawet nie musiałam umawiać się na wizytę! Czuję zapach szamponu, wyobrażam sobie pianę i jeśli bardzo, bardzo się postaram, na kilka sekund mogę sobie wyobrazić, że jestem u fryzjera, że życie wróciło do normalności. Próbuję czerpać z tego doświadczenia jakąś przyjemność, rozluźnić się, przypomnieć sobie, co oznacza relaks.

Od kiedy utraciłam czas, dużo o nim myślę. Godziny tutaj skleją się i trudno je rozerwać. Ludzie mówią o przemijaniu czasu, ale tu, w tym pokoju, stoi on w miejscu. Czołga się, zwleka i brudzi ściany umysłu błotem wspomnień, tak że nie widać, co jest przed albo za tobą. Zzera tych, których wymywa na obrzeża, i muszę odpłynąć, muszę dogonić siebie samą w nurcie strumienia.

– Teraz będzie ci wygodniej, nie ma już tej całej zaschniętej krwi – mówi jakiś miły głos, a potem ktoś owija mi głowę ręcznikiem. Wyobrażam sobie krew barwiącą białą porcelaną oraz malejący krąg czerwonej wody, aż wreszcie kolejny element mnie zostaje zmyty.

– Ja to zrobię, pani na pewno jest bardzo zajęta, to żaden problem – mówi Claire.

Wszystko oglądała, a ja nawet nie wiedziałam, że tu jest. Czuję wyraźnie, że pielęgniarki ją lubią. Oblicze, które Claire pokazuje światu, zwykle wzbudza sympatię. Prostują łóżko i zostawiają nas same. Claire suszy mi włosy i zaplata je jak w dzieciństwie. Nie mówi ani słowa. Dokładnie w chwili, kiedy kończy, do pokoju wchodzi Paul.

– Wcześniej przyszłaś – mówi.

– Nadal nie mogę spać – odpowiada Claire.

Ja z kolei mam wrażenie, że nic tylko śpię, ale to nieprawda, zresztą nawet wtedy dookoła ciągle kręcą się ludzie. Obracają mnie, myją, faszerują lekami. Edward nie wrócił od jakiegoś czasu, w każdym razie nie pamiętam, żeby tu był. Mówię sobie, że może wreszcie zostawi mnie w spokoju, a wtedy naprawdę się obudzę, na dobre.

– Wczoraj wieczorem wydarzyło się coś dziwnego – mówi Paul.

– Co takiego? – pyta moja siostra.

Wolałam, kiedy mieli zasadę, że gdy przychodził Paul, ona wychodziła. Teraz spędzają ze sobą zbyt wiele czasu i źle się to skończy.

– Naładowałam telefon Amber, ale nie było w nim kontaktu do nikogo o imieniu Jo.

– To dziwne.

– Zadzwoń do jej szefa, chciałem spytać o jej numer. Z początku był bardzo miły, ale potem wpadł w złość i powiedział, że nie może mi dać żadnego numeru, bo nie zna nikogo o imieniu Jo.

– Nie rozumiem – mówi Claire.

Oczywiście, że rozumie.

– W *Porannej kawie* nie ma nikogo o tym imieniu. Spytałem, czy to może jakieś przezwisko albo coś takiego, powiedziałem, że na pewno chodzi o przyjaciółkę Amber z pracy. Zmieszał się bardzo i usiłował w uprzejmy sposób dać mi do zrozumienia, że Amber nie miała w pracy żadnych przyjaciół.

Proszę, przestań.

– Jakie to dziwne.

– Zaczynam rozumieć, czemu odeszła, facet sprawiał wrażenie dupka.

Proszę cię, przestań mówić.

– Amber odeszła z pracy? – pyta Claire.

Nie mów nic więcej.

– Przepraszam, prosiła, żebym nic ci nie mówił, zapomniałem.

– Dlaczego?

– Po prostu jej się tam nie podobało.

– Nie, pytam, dlaczego nie chciała, żebyś mi o tym mówił.

– Nie wiem.

Wtedy
Piątek, 23 grudnia 2016 – wieczór

Nie potrafię spojrzeć w oczy taksówkarzowi, który podwozi mnie pod dom. Odkąd zabrał mnie spod tamtego bloku, raz po raz spogląda na mnie we wstecznym lusterku. Nie umiem powiedzieć, czy w jego oczach rysuje się obrzydzenie, czy troska. Może jedno i drugie. Płacę gotówką i nie czekam na resztę, mamroczę podziękowanie, wysiadam i zatrzaskuję drzwi. Pierwszą rzeczą, którą widzę po odjeździe taksówki, jest zaparkowany pod domem samochód Paula. Nie mówił mi, że wraca na noc. Prawie w ogóle się nie kontaktował.

Wyszukuję w torebce miętówkę i spryskuję się perfumami. Znajduję kompaktowe lusterko i w świetle latarni przyglądam się uważnie swojej twarzy. Pierwszy raz, od kiedy obudziłam się w cudzym łóżku, patrzę sobie w oczy. Większość makijażu całkowicie się starła, ale maskara jest tylko rozmazana. Nic dziwnego, że taksówkarz się na mnie gapił. Oblizuję palce i pocieram skórę pod oczami, po czym jeszcze raz sprawdzam efekt w lusterku. Nadal wyglądam jak dawna ja, choć już nią nie jestem.

Schodzę z chodnika na nasze podwórko, przekraczam niewidzialną barierę, utwierdzając się w decyzji, że muszę działać ostrożnie. Jest tak zimno, że z trudem zmuszam przemarznątą drewnianą furtkę, by do końca się zamknęła, a ona w proteście parzy mi zimnem koniuszki palców. Zmuszam się, żeby ruszyć do drzwi, pozostawiając wszystkie niewypowiedziane prawdy na ulicy. Kroczę ciężko zwirową ścieżką, patrzę na dom. Wygląda na zmęczony, niekochany, potrzebuje nieco troski. Biała farba miejscami odłazi jak spalona słońcem skóra. Wszystko w ogrodzie wygląda na martwe albo umierające. Gruby pień wisterii rozgałęzia się w siatkę suchych brązowych żyłek, które pokrywają cały front. Wyglądają, jakby nigdy już nie miały zakwitnąć. Próbuję sobie wmawiać, że może nie zrobiłam nic złego, jednak ciężar winy z powodu tego, czego nie mogę lub nie chcę sobie przypomnieć, spowalnia moje kroki. Rozprawiłam się z Madeline, lecz obawiam się, że teraz czeka mnie o wiele gorsza przeprawa.

Szukam w torebce kluczy, ale nie mogę ich znaleźć, więc dzwonię do drzwi. Czekam chwilę, a potem pod wpływem zimna budzi się we mnie zniecierpliwienie i dzwonię jeszcze raz. Paul otwiera drzwi. Nic nie mówi i oboje stoimy tylko, jakbym czekała na zaproszenie do własnego domu. W końcu wchodzę do środka, mimowolnie przepychając się obok męża.

- Późno wróciłaś – mówi, zamykając za mną drzwi.
- Tak, świąteczne przyjęcie w pracy. Jak twoja mama? – pytam.
- Mama? A tak, wszystko gra. Chyba musimy porozmawiać.

On wie.

- W porządku. Mów. – Zmuszam się, żeby podnieść wzrok i spojrzeć mu w oczy.
- Muszę ci o czymś powiedzieć. Może lepiej usiądźmy.

Więc jednak nie wie, ale to nie ma znaczenia. Spóźniłam się.

- Najpierw nalej sobie drinka, też chcesz? – pytam.

Paul kręci głową, a ja wycofuję się do kuchni. Biorę butelkę czerwonego wina,

pierwszą z brzegu. Sięgając po kieliszek, waham się przez chwilę, po czym odpycham niepokój – przecież jeden nie może zaszkodzić. I tak wszystko na nic. Paul chce powiedzieć, że to koniec, mogę tylko go wysłuchać. Nieważne, co zrobiłam czy czego nie zrobiłam, on podjął już decyzję.

Znajduję korkociąg i chwytam go mocno. Próbuję zapanować nad dłońmi, wkręcam się w korek i rozsadam go od środka. Obracam nadgarstkiem; ironia wspina mi się po rękę, ramieniu, aż do gardła, dusząc mnie tak, że słowa nie mogą się wydostać, a powietrze wejść do środka. W mojej głowie raz za razem rozbrzmiewa jedno imię. Potrzebuję Claire. Tak strasznie jej w tej chwili potrzebuję, a jednocześnie jej nienawidzę. Myślałam, że odniosłam dziś zwycięstwo, ale teraz mam wrażenie, że grałam nie w tę grę, co trzeba. Odgłos wyciąganego z butelki korka nie sprawia mi takiej przyjemności jak zwykle. Na chwilę biorę go w palce, pod pewnym kątem wciąż wygląda idealnie, nikt by się nie domyślił, że jest uszkodzony.

Paul siedzi na sofie, którą normalnie zostawiamy dla gości. Przystaję w drzwiach, po czym siadam naprzeciwko niego na swoim zwykłym miejscu. Czuję się brudna i splugawiona, ale on chyba tego nie zauważa.

– Nie jestem pewien, od czego powinienem zacząć – mówi.

Wygląda na podenerwowanego, przypomina małe dziecko. Kiedyś mnie to rozczulało, ale teraz chciałabym, żeby po prostu dorósł, wziął się w garść i wydusił to z siebie. Nic nie mówię, nie będę mu tego ułatwiać, nieważne, skąd właśnie wróciłam i co mogłam zrobić.

– Okłamywałem cię – mówi Paul. Nadal na mnie nie patrzy, gapi się tylko w jakąś plamkę na podłodze.

– W jakiej sprawie?

– Nie byłem wczoraj u mamy. Wcześniej tak, naprawdę się przewróciła, ale nie tam pojechałem wczoraj rano.

Upijam łyk wina. Dociera do mnie, że przechodząc przez ruchliwą ulicę, patrzyłam nie w tę stronę, co trzeba. Kończy mi się cierpliwość i czuję, że to przedstawienie musi się wreszcie skończyć.

– Kim ona jest?

Dopiero teraz Paul na mnie patrzy.

– Kto? – pyta.

– Ta kobieta, z którą masz romans. – Ręce nadal trochę mi się trzęsą, więc odstawiam kieliszek.

Paul kręci głową i się ze mnie śmieje.

– Nie mam żadnego romansu. Chryste... Byłem u swojej agentki.

Przez chwilę trawię tę nieoczekiwaną informację.

– U agentki?

– Tak. Wolałem nic nie mówić, dopóki nie będę miał stuprocentowej pewności, nie chciałem, żebyś robiła sobie nadzieje i potem się rozczarowała.

– O czym ty mówisz?

– Napisałem kolejną książkę. Nie sądziłem, że się do czegoś nadaje, myślałem, że już nic nigdy nie będzie dobrze, ale sprzedali prawa, sprzedali je wszędzie. Podczas wizyty w Norfolk dowiedziałem się, że ma być aukcja. Byłem tak przejęty mamą, że sam w to

nie wierzyłem. Ale to prawda i mówimy o dużych pieniądzach. Amber, oni się zakochali w tej książce, w Stanach też ją licytują, to jakieś szaleństwo, jak na razie w grę wchodzi trzynaście obszarów. A najlepsze, że przebąkują też coś o filmie. To jeszcze nie do końca potwierdzone, ale zapowiada się niezłe. – Paul uśmiecha się, naprawdę się uśmiecha i zdaję sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz wydawał się tak szczęśliwy.

Moje usta też się rozciągają; jego uśmiech jest zaraźliwy i nie mogę się powstrzymać. Nagle przypominam sobie coś, co nie przestaje mnie dręczyć.

– W twojej szafie była bielizna. Teraz jej nie ma.

– Co?

– Kupiłeś koronkową bieliznę dla innej kobiety. Widziałam ją. To nie był mój rozmiar.

Przez chwilę nie mam pewności, czy Paul jest zły, czy rozbawiony.

– Kupiłem ją dla ciebie. Owszem, była w złym rozmiarze. Więc ją wymieniłem. Jeśli pójdziesz teraz na górę, znajdziesz tę samą torebkę zawierającą bodajże ten sam model, co wcześniej. Jest ukryta w tym samym miejscu. W każdym razie miałem nadzieję, że pozostanie ukryta aż do świąt. Naprawdę myślałaś, że mam romans?

Zaczynam płakać. Nie mogę się powstrzymać.

– Kochanie, tak mi przykro – mówi Paul, a potem obejmuje mnie i pozwalam mu na to. – Wiem, że od jakiegoś czasu nam się nie układało, ale kocham cię. Tylko ciebie. Wiem, że przez ostatnie miesiące siedziałem w tej książce i przepraszam, jeśli się od ciebie odsunąłem. Tyle razem przeszliśmy, no i oczywiście bardzo mi przykro z powodu całej tej sytuacji z dzieckiem, ale jesteś jedyną osobą, z którą chcę spędzić życie, i to się nigdy nie zmieni. Rozumiesz?

Mogłabym mu teraz powiedzieć, że chyba jestem w ciąży. Gdy tylko ta myśl przychodzi mi do głowy, natychmiast ją odrzucam. Nie zrobiłam jeszcze testu, nie mogę mu powiedzieć, dopóki nie będę pewna. Stuprocentowo pewna. Nie mogę robić mu nadziei. Ależ byłam głupia.

Paul całuje mnie. Tak naprawdę, jak nie robił tego od bardzo dawna. Nie chcę, żeby przerywał, a kiedy to robi, otwieram oczy i widzę, że znowu się do mnie uśmiecha. I ja uśmiecham się do niego. Przepęlnia mnie szczęście. Prawdziwe.

– Jest tylko jeden haczyk – mówi Paul.

Nasze lustrzane uśmiechy szybko bledną.

– Jaki?

– Muszę pojechać na jakiś czas do Ameryki. Umowa obejmuje działania promocyjne, a jeśli uda się z filmem, może będę musiał spędzić trochę czasu w Los Angeles. Wiem, że powinniśmy to najpierw omówić, ale... zgodziłem się.

– I to wszystko? Tego obawiałeś się mi powiedzieć?

– Nie jestem pewien, jak długo to potrwa, może kilka miesięcy, a wiem, że ostatnio nie było między nami za dobrze. Ale muszę to zrobić. Tak, wiem, zawsze powtarzasz, że im dalej od rodziny, tym lepiej, i nie możesz zwyczajnie zrezygnować z pracy, ale mogłabyś mnie odwiedzać, a ja będę wracał, kiedy tylko się da. Na pewno damy radę, tylko oboje musimy się postarać.

Kiwam w milczeniu głową i osuwam się z tymi wszystkimi informacjami.

– No i wiem, że się boisz, kiedy nie ma mnie w domu. – Rzucam mu spojrzenie. – No dobrze, nie boisz się, ale niepokoisz, tak jak w zeszłym tygodniu, kiedy obudziłaś się w środku nocy i myślałaś, że ktoś jest w ogrodzie. O tym też myślałem i chcę, żebyś pod moją nieobecność czuła się bezpiecznie. Widziałem takie minikamery bezpieczeństwa, aktywują się na ruch, żadnych kabli, nic skomplikowanego. Zamówię kilka i zamontuję na tyłach domu. Jeśli będziesz chciała, możesz ściągnąć obraz na komórkę i sama zobaczyć, że nikogo tam nie ma.

– Rzuciłam dziś pracę.

– Co?

– Złożyłam wymówienie. Powiedziałam Matthew przed wyjściem z przyjęcia.

– Dlaczego?

– Miałam okropny tydzień. Długa historia. Najwyższy czas, żebym stamtąd odeszła. Więc jeśli naprawdę chcesz, żebym z tobą pojechała, to pojedę.

– Oczywiście, że chcę, kocham cię! – Paul mówi poważnie, w jego słowach brzmi szczerść. Tak samo prawdziwe są łzy, które w odpowiedzi płyną z moich oczu. Niczego nie udajemy, po prostu jesteśmy sobą i robi mi się lżej na duszy. Na twarzy Paula pojawia się uśmiech tak szeroki, że chyba zaraz go połknie. Chcę odpowiedzieć tym samym, ale nagle w moim umyśle pojawia się myśl i wszystko psuje. Przypominam sobie, gdzie się obudziłam. Tępy ból między nogami, wciąż nieotwarty test ciążowy w torebce. Myślę o Claire. Ja też mam dużo wieści, tylko nie mogę się nimi podzielić i się nie podzielę. Muszę wziąć prysznic. Muszę zmyć z siebie to, co się stało. Paul widzi zmianę na mojej twarzy.

– Co takiego? Co się stało?

– Nie możemy nikomu o tym powiedzieć, jeszcze nie teraz.

– Będziemy musieli powiedzieć przynajmniej kilku osobom.

– Proszę, jeszcze nie teraz. Nawet rodzinie.

– Dlaczego?

– Po prostu obiecaj mi to, dobrze?

– W porządku, obiecuję.

Przedtem
Piątek, 18 grudnia 1992

Kochany Pamiętniczku,
minał cały tydzień, od kiedy widziałam się z Taylor, i mam jej tyle do powiedzenia. Dużą część napisałam w kartce świątecznej, ale nie zmieściłam wszystkiego, choć pisałam bardzo małymi literami. Wiem, że dostała tę kartkę, sama ją doręczyłam, bo tata zapomniał kupić znaczki. Zapukałam do drzwi wejściowych, a kiedy nikt nie otworzył, wsunęłam kartkę przez otwór na listy. Mam nadzieję, że Taylor do mnie zadzwoni, bo naprawdę muszę z nią porozmawiać.

Do naszego domu przychodzą obcy ludzie i wcale mi się to nie podoba. Jakiś wysoki, chudy człowiek bez żadnych włosów na głowie przyszedł porozmawiać z rodzicami. Powiedział, że nazywa się Roger, i szczyrzył zęby w białym, nieszczerym uśmiechu. Roger jest pośrednikiem nieruchomości i ubiera się w lśniące garnitury. Powiedział, że najlepiej, gdyby nikogo z nas nie było w domu, kiedy będzie oprowadzał po nim klientów. Nie powiedział dlaczego, pewnie chodzi o to, że mama jest teraz w takiej rozsypce i wszystkich by odstraszyła.

Tata mówił, że jego zdaniem nikt nie kupi domu Buni tuż przed Bożym Narodzeniem, ale się mylił. Dziś rano przyszli jacyś ludzie, zanim nawet ubrałam się na oprowadzanie, jak nazywa to Roger. Czasami puka do drzwi, ale kiedy indziej po prostu sam je sobie otwiera, ma własny klucz. Opowiada o domu Buni, jakby tu mieszkał, ale to nieprawda, on wszystko miesza.

Nie zamierałam urządzać awantury. Tata miał rozmowę o pracę, bo postanowił poszukać sobie nowej, a mama poszła do sklepu na rogu po puszkę fasoli, więc byłam sama, kiedy Roger otworzył sobie drzwi. Wykradłam się z pokoju i przez poręcz zobaczyłam czubek jego lśniącej głowy. Mówił bardzo głośno, jak aktor na scenie w tych przedstawieniach, na które zabierała mnie Bunia. Aktorzy robią tak, żeby ludzie na najtańszych miejscach z tyłu teatru też mogli ich usłyszeć. Roger natomiast krzyczał do jakiejś tłustej pary, choć stała tuż obok niego. Zastanawiałam się, czy ci ludzie nie są może przygłusi, jak dziadek. Dreptali po holu jak kaczki przekarmione czerstwym chlebem i wcale mi się nie podobali.

Roger mówił tak głośno, że podniosłam rudzikowy odbojnik i cicho zamknęłam drzwi do sypialni, a mimo to nadal wszystko słyszałam. Próbowalam czytać książkę, ale nie mogłam się skupić, wiedząc, że kręcą się po domu i wścibiają nosy tam, gdzie nie powinni. Weszli po schodach, które trzeszczały nawet bardziej niż zwykle, i całe wieki spędzili na oglądaniu łazienki. Nie jest to specjalnie duża łazienka i wygląda tak samo jak każda inna, więc nie wiem, czemu to tyle trwało. To było jak podsłuchiwanie kręcących się po domu włamywaczy, tylko że w tym przypadku mama i tata

sami ich zaprosili.

Weszli do pokoju, gdzie kiedyś sypiali rodzice. Byli dokładnie po drugiej stronie ściany ode mnie, więc słuchałam, jak ten grubas opowiadał, że dom trzeba by „odpicować”, i zastanawiałam się, co to może znaczyć. Teraz w tym pokoju sypia tylko mama. Nienawidzę jej, ale mimo to nie podobało mi się, że ci ludzie tam są i dotykają jej rzeczy. Potem zaczęła mówić ta grubaska. Dotąd niewiele się odzywała i to właśnie ona, nie Roger ani ten drugi mężczyzna, sprawiła, że naprawdę się rozżłościłam.

Trzy rzeczy, które powiedziała i przez które straciłam panowanie nad sobą, brzmiały:

1. „Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tu mieszkać”.
2. „Trzeba go zwyczajnie rozebrać”.
3. „Paskudna rudera”.

Czułam, że mój oddech zaczyna przyspieszać, i w głowie zrobiło mi się bardzo głośno, tak jak wtedy, kiedy się czymś denerwuję. Nie mogłam uwierzyć, że można być tak chamskim i głupim. Sama nie wiedziałam, co zrobię, niczego nie planowałam, ale musiałam zadziałać. Nie chciałam, żeby te paskudne grubasy kupiły dom Buni. Nie zamierzałam robić nic złego, chyba po prostu chciałam, żeby sobie poszli.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Usłyszałam, jak wychodzą z pokoju mamy i idą po podeście, a potem Roger otworzył drzwi mojej sypialni, a ja zwyczajnie zaczęłam wrzeszczeć z całych sił. Ta gruba kobieta wydawała się przerażona i nawet Roger wyglądał na trochę przestraszonego, a ten drugi grubas i tak był już czerwony na twarzy od wchodzenia po schodach i myślałam, że dostanie zawału serca.

- Spokojnie, dziewczyneczko - powiedział Roger.

To tylko jeszcze bardziej mnie rozżłościło, nie jestem żadną dziewczynką. Potem dodał, że nie chcieli mnie przestraszyć, co było głupie. Wcale mnie nie przestraszyli, to ja ich przestraszyłam. Chciałam, żeby sobie poszli, więc powtórzyłam to, co powiedziała mama do mamy Taylor, kiedy chciała ją wyrzucić z domu. Zaczęłam krzyczeć bardzo głośno: „Wynocha z mojego domu, pierdolona suko”, raz za razem. Nawet kiedy zeszli już po schodach, nadal stałam na piętrze i na nich wrzeszczałam. A potem rzuciłam w głowę Rogera odbojnikiem, ale nie trafiłam, uderzył w ścianę i wylądował na podłodze. Cieszyłam się, że wreszcie sobie poszli. Przestraszyłam się, że uszkodziłam rudzika, lecz nic mu się nie stało, nie było nawet draśnięcia, w przeciwieństwie do ściany, na której widać było wgłębienie w kształcie dzioba. Śmieszne, że taka mała rzecz może wyrządzić taką szkodę i nadal wyglądać dokładnie jak przedtem.

Kiedy mama wróciła z fasolką, nie powiedziałam jej, co się stało. Zadzwonił telefon i odebrała go w kuchni, więc nie słyszałam za dobrze, z kim rozmawia. Jakiś czas potem zawołała mnie na dół i powiedziała, że dzwonił Roger. Kazała mi usiąść na sofie i pomyślałam, że mam kłopoty. Usiadła obok mnie, a kiedy na nią popatrzyłam, zobaczyłam, że minę ma smutną, a nie złą. Powiedziała, że ktoś, kto oglądał rano dom, kupił go i musimy się

wyprowadzić w ciągu kilku dni. Rozpłakałam się, nie mogłam się powstrzymać, i ona też zaczęła trochę płakać. Przysunęła się, żeby mnie objąć, ale odepchnęłam ją i pobiegłam do pokoju.

Jakiś czas później przyszła na górę. Zapukała do moich drzwi, nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że nie wejdzie bez mojego pozwolenia, nie po tym, co się wydarzyło ostatnim razem. Stała tam tak i stała, aż wreszcie szepnęła „dobranoc” jak duch i odeszła. Odpowiedziałam zbyt późno, chyba mnie nie usłyszała. To była rymowanka, której sama mnie nauczyła.

Dobranoc.

Pchły na noc.

Karaluchy pod poduchy.

A szczy pawki do zabawki.

Przekręciłam się na drugi bok i zakryłam głowę poduszką. Wstrzymałam oddech jak najdłużej, ale w końcu wymknął mi się z ust i nie umarłam.

Teraz Sylwester 2016

– Jak się czujesz?

Otwieram oczy i widzę Jo siedzącą w nogach mojego łóżka. Tak się cieszę, że przyszła, nawet jeśli nie jest sama.

– Jeśli nie chciałaś wracać po świętach do pracy, to wystarczyło powiedzieć, nie musiałaś wjeżdżać w drzewo i zapadać w śpiączkę. – Uśmiecha się i bierze mnie za rękę.

Wygląda tak młodo. Chciałabym, żeby czas był dla mnie tak łaskawy jak dla niej. Widzę swój pokój i jest o wiele ładniejszy, niż sobie wyobrażałam, taki pogodny i kolorowy. Okno jest szeroko otwarte, za nim widać jasne błękitne niebo, a ptaki zapewniają muzykę w tle.

– Pamiętasz już, co się stało? – pyta.

Kręcę głową.

– Ale wiesz, że to nie Paul, prawda? On by cię nigdy nie skrzywdził. Nie w ten sposób.

Przytakuję, bo teraz już wiem, że Jo ma rację. Prawda trochę się pogmatwała, kiedy tu leżałam, ale poszczególne pasma zaczynają się rozplątywać i prostować.

– Więc to nie był wypadek? – pytam. Dziwnie znowu słyszeć swój głos.

– Nie.

Znowu kiwam głową. Elementy układanki zaczynają się odwracać wierzchem do góry, nadal jednak do siebie nie pasują.

– Czemu to zrobiłaś? – pyta Jo. Nie mówi już o wypadku.

Jak dobrze znowu ją widzieć, tylko z nią mogę być całkowicie szczerą, żadnych tajemnic, żadnych kłamstw. Próbuję odsiać prawdę od moich wspomnień.

– Sama wiesz czemu – mówię.

– Nie wiem, czemu zrezygnowałaś, nie musiałaś tego robić.

– Przyjęłam tę pracę tylko po to, żeby dorwać Madeline, przecież wiesz.

– Wiem też, że chodzenie do pracy dobrze ci robiło, wreszcie miałaś coś swojego.

– To była gówniana praca.

– Posada prezenterki w popularnym programie radiowym, którego słuchają miliony ludzi, to nie jest gówniana praca.

– Owszem, ale przecież tak naprawdę wcale nie byłam prezenterką, prawda? Wymyśliłyśmy to tylko dla zabawy – mówię.

Jo marszczy brwi.

– Naprawdę?

– Tak. Byłam tylko asystentką Madeline.

– Naprawdę?

– Naprawdę, Jo, przecież wiesz.

– Może i tak. Chyba zapomniałam. Czasem miesza mi się w głowie.

– Nie, to ja, to mnie się miesza w głowie – mówię i Jo puszcza moją rękę.

Naraz robi się o wiele ciemniej i na zewnątrz zaczyna padać. Śpiew ptaków zostaje zastąpiony niecierpliwym wiatrem, szarpiącym zasłonki i pościel. Pokój jakby wyblakł, jakbym oglądała zremasterowaną kolorową wersję starego czarno-białego filmu. Czuję, że coś jest nie tak. Scena nie wydaje się już autentyczna i to mi przypomina, że się zgubiłam. Siadam prosto i wyciągam rękę do Jo.

– Znajdź mnie, proszę, chcę zostać odnaleziona.

Ale mała dziewczynka w różowym szlafroku wstaje i bierze dłoń Jo, zanim mogę jej dosięgnąć. Ciągnie Jo do drzwi. Pokój zaczyna się rozpadać, wielkie fragmenty w kształcie elementów puzzli spadają w ciemność. Muszę się trzymać. Tak strasznie chcę poskładać w całość odłamki swojego życia, ale nie wiem jak.

– Musisz już iść? – pytam.

– Tak mi się wydaje, a tobie nie? – mówi Jo i razem opuszczają pokój, zamykając za sobą drzwi.

Wtedy Wigilia 2016 – rano

Nie istnieje coś takiego jak odpowiedni moment na odejście kochanej osoby, ale śmierć kogoś bliskiego w Boże Narodzenie to prawdziwa tragedia. W święta straciłyśmy oboje rodziców i nigdy już nie było tak samo. Ta strata zawsze będzie nas łączyć, nieważne, jak bardzo się od siebie odsuniemy. Wspólna Wigilia to był pomysł Claire, nie mój, ale nie mogłam odmówić, to stało się taką naszą ponurą tradycją. Claire powiedziała, że powinnyśmy pamiętać o tym wszystkim, co mamy, nie o tym, co straciłyśmy. Staram się. Wiem, że ona widzi ich we mnie. Czasem mam wrażenie, jakby gapieniem się usiłowała wyciągnąć z mojego DNA resztki naszych rodziców. Mam takie same oczy jak mama. Czasem przyłapuję Claire na patrzeniu na mnie w lusterku, ale zawsze jest rozczarowana tym, co widzi.

Kingston High Street to był mój wybór; zawsze panuje tam ruch. Bliźniaki odwracają moje myśli od czekającego nas dnia i cieszę się z tego – dwulatki z piekła rodem. Claire popycha je w największym podwójnym wózku, jaki w życiu widziałam. Ściskają w łapkach własne zabawki, niczym nie muszą się dzielić. Chłopczyk i dziewczynka – teraz Claire ma wreszcie swoją idealną rodzinę, naprawdę powinno jej to wystarczyć. Kocha te bliźniaki bardziej niż mnie, bardziej niż kogokolwiek z nas, i tak właśnie powinno być. Dzisiaj jej powiem, ale nie wszystko, tylko tyle, ile będzie musiała wiedzieć, kiedy nadejdzie właściwy czas.

– Głuptasie, one już dawno wyrosły z tego rozmiaru – mówi Claire.

– Wiem, po prostu mi się spodobała. – Odwieszam sukieneczkę w rozmiarze 0–6 miesięcy na wieszak.

Dziś rano, kiedy Paul spał, zrobiłam sobie test. Wyszedł pozytywnie. Z góry wiedziałam, że tak będzie. Nie wiem, jakim cudem zaszłam w ciążę po tylu nieudanych próbach. To chyba znak, musi tak być. Czas, żebym zapomniała o przeszłości i zaczęła wreszcie żyć swoim życiem wraz z Paulem. Tylko z Paulem. Z naszą własną rodziną, której nikt nam nie odbierze. Chcę mu powiedzieć jako pierwszemu, zanim podzielę się tą informacją z kimkolwiek innym. Powtarzałam sobie tę scenę w głowie, Paul tak się ucieszy. Powiem mu dziś wieczorem.

Kupuję bliźniakom ubranka, które wybiera Claire – w końcu one nie będą nawet pamiętać tych świąt, a już na pewno nie to, co na sobie miały. Zastanawiam się, czy pamiętałyby mnie, gdybym wkrótce zniknęła z ich życia. Niedawno sprawdziłam termin „matka chrzestna”: „Kobieta wyznaczona na prawną opiekunkę dziecka w razie przedwczesnego zgonu rodziców”. Przedwczesny zgon. Nie potrafię wybić sobie z głowy tego zwrotu. Rola ciotki i matki chrzestnej jak dotąd niewiele dla mnie znaczyła, ale to się jeszcze zmieni. Planuję lepiej się nimi zajmować, kiedy podrosną. Tego, co się wydarzy w te święta, nie będą pamiętać, to nie będzie miało znaczenia.

Tłumy przepychających się ludzi robiących pośpieszne zakupy na ostatnią chwilę sprawiają, że niemal nie da się przejść od jednego sklepu do drugiego. To dziwne, że ludzie, których mijamy, obciążeni torbami i kredytami, wydają się tacy szczęśliwi.

Czasem mam wrażenie, że wszyscy są szczęśliwsi ode mnie, jakby znali sekret, w który mnie nie wtajemniczono. Szerokie uśmiechy na ich twarzach są za jaskrawe. Przyłapuję się na tym, że ich nienawidzę, wszystkiego nienawidzę. Świątecznych światełek, kołęd, sztucznego śniegu. Wszystko to, co kiedyś lubiałam, teraz nie robi na mnie wrażenia. Claire też nie czerpie z tego przyjemności. Jesteśmy do siebie bardziej podobne, niż chciałabym przyznać, i widzę, że Claire już teraz wpada w zły humor albo i gorzej. Pewnie lepiej przekazać jej wieści teraz niż później, nie mogę dopuścić, by poszła w zbyt ciemne miejsce, dokąd nie zdołam za nią podążyć.

Steruję naszą grupkę w kierunku niewielkiego świątecznego jarmarku, Claire lubi takie rzeczy. Zatrzymuje się przy stoisku ze świecami zapachowymi. Podnosi wszystkie po kolei, przysuwa do nosa i wdycha zapach. Każda świeczka ma inną nazwę. Miłość. Radość. Nadzieja. Zastanawiam się, jak pachnie nadzieja.

– Ten znajomy ze studiów, na którego wpadłaś... – mówi, nie odrywając wzroku od świeczek. Przyrastam do ziemi i ruchliwy jarmark zdaje się cichnąć.

– To nie znajomy, tylko były chłopak – udaje mi się powiedzieć.

– Wszystko jedno. – Claire podnosi pachnidło z pałeczkami sterczącymi na wszystkie strony jak jeź. – Już go pamiętam, przypominałam sobie wczoraj wieczorem.

Wczoraj wieczorem, kiedy obudziłam się w jego łóżku.

Wiem, że powiedziałam te słowa tylko w myślach, ale mimo to boję się, że jakimś cudem je usłyszała. Claire mówi dalej, nie patrząc na mnie, i cieszę się z tego, bo nie ufam swojej twarzy, wydałaby mnie.

– On studiował medycynę, prawda? – pyta.

– Tak.

– I nie chciał ci dać spokoju, kiedy go rzuciłaś, pamiętasz?

– Pamiętam. Strasznie to przeżywał. Nie potrafił zrozumieć, czemu to skończyłam. Nie mogłam mu powiedzieć, że to ty mnie zmusiłaś.

– Wcale cię nie zmuszałam. Po prostu to nie był właściwy mężczyzna dla ciebie. Miło było na niego popatrzeć, ale coś tu było nie tak. – Puka się palcem w skroń. – Pamiętasz, jak po rozstaniu bez końca do ciebie wydzwaniał? Wystawał w środku nocy pod twoim mieszkaniem?

– Mówiłam przecież, bardzo to przeżywał.

– A nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego w końcu dał ci spokój? – Claire odwraca się twarzą do mnie i w jej oczach błyszczy wesołość, po czym patrzy z powrotem na przecenione artykuły.

Mój mózg przerzuca się na najszybszy bieg. Fragmenty układanki, o której nawet nie wiedziałam, że muszę ją rozwiązać, zaczynają wskakiwać na miejsce.

– Co zrobiłaś? – pytam.

– Niewiele. Napisałam tylko kilka listów. Szkoda, że ludzie już do siebie nie piszą, prawda?

Claire nie podnosi głowy, tylko swobodnie przesuwając się wzdłuż stoiska, podnosząc kolorowe kawałki wosku, przysuwając je do nosa i wdychając ich zapach.

– Powiedz mi, co zrobiłaś.

Claire wreszcie odwraca się twarzą do mnie.

– Wysłałam kilka listów do dziekana wydziału medycznego, rzekomo od kobiet,

które chciały złożyć skargę na jego zachowanie. Twojego byłego. Napisałam je każdy na innym papierze, innym charakterem pisma. Byłam bardzo sprytna. – Uśmiecha się. – A potem zadzwoniłam do niego z budki telefonicznej i powiedziałam, że te listy przestaną przychodzić dopiero, kiedy da ci spokój. – Wybucho śmiechem.

– Claire, to nie jest śmieszne. Mogłaś mu zniszczyć karierę.

– A co on teraz robi?

– Jest lekarzem.

– Więc żadna krzywda się nie stała. Jak zwykle denerwujesz się o nic. Mówię ci tylko na wypadek, gdybyś znowu na niego „wpadła”. Radziłabym ci tego unikać.

– Dlaczego? – pytam, obawiając się, że znam już odpowiedź.

– Bo chyba powiedziałam mu, że te listy były od ciebie.

Wtedy Wigilia 2016 – pora lunchu

Jarmark zaczyna wirować mi przed oczami i muszę się o coś oprzeć. Zapach grzanego wina wznosi się ponad smród świeczek, przypraw i ludzi. Muszę się uspokoić. Staram się skupić na tym, co chciałam powiedzieć Claire. Odpycham Edwarda gdzieś daleko w głąb umysłu i zamykam go w pudełku. Miewałam już w głowie wspomnienia ukryte w pudełkach. Czasem to jedyny sposób, żeby sobie z czymś poradzić.

- Napijemy się? – pytam.
- Czemu nie – mówi Claire.

Staję w kolejce, podczas gdy ona znajduje dla nas stolik. Widzę, jak daje bliźniakom trochę chrupek, żeby nie hałasowały. Nie powinny jadać takich świństw, ale nic nie powiem. Słyszę, jak ktoś robi za mną zdjęcie, i odwracam się szybko, a w głowie migają mi fotografie sprzed kilku tygodni, które widziałam w przedpokoju Edwarda. Niemal spodziewam się zobaczyć go w tłumie z wycelowanym we mnie obiektywem. Muszę przestać o nim myśleć, po jednej sprawie naraz, ale nie mogę zapomnieć, jak wyglądała moja twarz, kiedy myślałam, że nikt nie patrzy. Takie zdjęcia z ukrycia uchwycają nasz wygląd w chwilach, kiedy życie usiłuje nas zmiążdżyć. Papierowe prostokąci, które ukazują możliwą przyszłość.

Stawiam nasze drinki na stole, grzejąc dłonie o gorące szkło. Trochę parzy, ale nie przeszkadza mi ten ból. Claire wypija łyk aksamitnego płynu i patrzę, jak jej irytacja stygnie w miarę, jak jej ciało się rozgrzewa. Jej termostat przywraca ją do normalnego stanu, ale atmosfera nadal jest niezręczna. Niebezpieczna.

- Nie gniewaj się. To było lata temu – mówi Claire, wypijając kolejny łyk.
- Nie gniewam się.
- Więc o co chodzi?

Pytanie bierze mnie z zaskoczenia i czuję, jakbym miała spaść z krzesła.

- O nic.
- No dalej, wyduś to z siebie. Przecież cię znam. – Uśmiecha się, wydaje jej się, że nad wszystkim panuje. – Masz coś do powiedzenia, więc powiedz to.

Rozglądam się. Dużo tu ludzi.

- Zrobiłam to, o co prosiłaś – mówię.

Claire odstawia kieliszek.

- Madeline?
- Tak.

Znowu się uśmiecha. Nie dziwię się, że jeszcze nie wie, większość życia spędziła w Clairkształtnej bańce. Nie interesują jej media społecznościowe, nie pisze nawet maili, z internetu korzysta tylko do zakupów online. Od kiedy nie pracuję w wiadomościach, przestała je oglądać, woli opery mydlane i niekończące się reality show.

- Najwyższa pora. W ogóle nie wiem, czemu to trwało tak cholernie długo. Mów wszystko. – Jej oczy błyszczą niecierpliwością, jak u dziecka w świąteczny poranek.

- Liczy się tylko to, że już jej nie ma. Odeszła.
- I dobrze. Życzę jej bardzo nieszczęśliwej emerytury.

Z Claire zawsze wiedziałam, na czym stoję, przy mnie nie udaje kogoś, kim nie jest. Pamięta, co o niej wiem, i najwyraźniej jej to nie przeszkadza. Katie zaczyna płakać w wysokim krzeselku. Claire nawet na nią nie patrzy.

- Jak wyglądała?
- Co?
- Kiedy jej powiedziałaś?

Katie zaczyna płakać coraz głośniej. Widzę, że ludzie rzucają w naszą stronę zirytowane spojrzenia, ale Claire nie odrywa ode mnie wzroku, jej twarz wygląda tak znajomo, a mimo to nie potrafię jej odczytać.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.
- A ja owszem.
- Zrobiłam to po swojemu. Sprawa skończona i tylko to się liczy.

Teraz już oba maluchy płaczą, ale my zachowujemy się, jakbyśmy tego nie słyszały.

- Dziękuję – mówi Claire.

Mam wrażenie, jakby cała ta rozmowa była fałszerstwem.

– Właściwie nie miałam wyboru. Teraz, kiedy już zrobiłam to, co chciałaś, zostaw Paula w spokoju.

Kiedy to mówię, Claire rzuca mi spojrzenie, w jej oczach pojawia się ostrzegawczy wyraz. Kilka stolików od nas kieliszek rozbija się o kamienną posadzkę i czuję, jakby i między nami coś pękło. Wiem, że nie powinnam mówić nic więcej, ale w moim umyśle otworzyła się szuflada i wysypują się z niej słowa, które przez długi czas leżały schludnie złożone.

– Mówię poważnie, Claire. Daj spokój Paulowi albo zniknę, nigdy mnie już nie zobaczysz.

- Czy coś się stało? – pyta, prostując się lekko na krześle.
- Nie.
- Nie wierzę ci. Nie jesteś sobą. Nie jesteś... zrównoważona. Czy on cię skrzywdził?
- Nie!

Claire wpatruje się we mnie uważnie i odwracam wzrok. Za późno. Coś zobaczyła.

- Czy ktoś inny cię skrzywdził?
- Nie – mówię znowu.

Niedostatecznie szybko. Przez chwilę mam ochotę wszystko jej wyznać. Chcę powiedzieć, że ma rację, ona zawsze ma rację. Ktoś mnie skrzywdził. Ale nadal nie pamiętam, w jaki sposób trafiłam do łóżka Edwarda. Kiedy przypominam sobie swoje nagie ciało na granatowej pościeli, martwię się, że sama jestem temu winna.

– W porządku. Powiesz mi, kiedy będziesz gotowa. Zawsze mówisz. Ale Paul to dla ciebie nieodpowiedni facet, już nie. Pogubił się w życiu, stać cię na więcej. Mama i tata też to wiedzieli.

- Zostaw go w spokoju.
 - Nie bądź głupia.
 - Jeśli coś mu się stanie, zabiję się.
- Kąciki jej ust unoszą się do góry.

– Wcale nie – mówi Claire z uśmiechem.

Uciekaj, myszko, do dziury, bo cię tu złapie kot bury.

Bliźniaki nadal się wydzierają i ja też zaczynam płakać. Claire to jedyna osoba przy naszym stoliku, która siedzi spokojnie.

– Przecież się umawialiśmy – mówię. – Gdyby ludzie wiedzieli, co...

Claire sięga przez stół i bierze mnie za rękę. Ścisza aż do bólu.

– Uważaj, Amber.

Przedtem
Sobota, 19 grudnia 1992

Kochany Pamiętniczku,

nie rozmawiam z rodzicami, od kiedy się dowiedziałam, że znowu się przeprowadzamy, ale nie jestem pewna, czy w ogóle to zauważyli. Dziś rano powiedziałam do taty, że chcę iść do parku, a on powiedział, że w porządku. Potem, kiedy kłócił się z mamą na górze, zadzwoniłam do Taylor. Jej mama zawołała ją do telefonu. Taylor niewiele mówiła, ale poprosiłam, żeby spotkała się ze mną w parku, jeśli może. Park jest dokładnie w połowie drogi między naszymi domami. Wysłałam o dwunastej czterdzieści siedem, bo wiem, że dojdzie tam zajmie mi dokładnie trzynaście minut, a powiedziałam Taylor, żebyśmy spotkały się o pierwszej. Nie mam zegarka, ale musiałam chyba iść bardzo szybko, bo długo czekałam na huśtawkach.

Już miałam się poddać, gdy zobaczyłam na ulicy ich volvo. Mama Taylor pomachała do mnie i się uśmiechnęła. Odmachałam, ale bez uśmiechu, bo chciałam jej pokazać, jak mi smutno. Pomyślałam, że to dziwne, że Taylor nie przyszła sama, przecież to niedaleko. Bardzo długo gramoliła się z samochodu, a kiedy wreszcie wyszła, wyglądała zupełnie inaczej. Włosy miała obcięte na pazia, tak że teraz już nie wyglądamy tak samo.

Plac zabaw jest tak naprawdę dla małych dzieci, więc go ogrodzono, żeby nie uciekały i żeby nic im się nie stało. Taylor podeszła i stanęła po drugiej stronie ogrodzenia, więc wyglądało to trochę tak, jakby odwiedzała mnie w więzieniu. Z początku było dość dziwne, nie tak luźno jak kiedyś. Powiedziałam jej, że się przeprowadzam, a ona odparła, że wie, i tak śmiesznie wzruszyła ramionami. Potem powiedziała, że słyszała, jak jej rodzice mówili, że tatę zwolniono za kradzież. Powiedziałam, że to nieprawda i że tata zrezygnował z pracy, żeby zajmować się mamą, ale nie jestem pewna, czy mi uwierzyła. Zapytałam, czy mogłybyśmy porozmawiać na huśtawkach, a nie przez ogrodzenie, więc okrążyła je i przyszła do mnie.

Zapytałam ją o szkołę i powiedziała, że niewiele straciłam przed końcem semestru. Bardzo trudno się z nią rozmawiało i miałam wrażenie, że nie rozumie, jakie to straszne, że muszę się przeprowadzić, więc celowo trochę popłakałam. Od razu zrobiła się o wiele miłsza, jak dawna Taylor, chociaż wygląda inaczej. Spytałam, czy radzi sobie beze mnie w szkole, ale pokręciła głową. Zdjęła płaszcz i podwinęła rękaw swetra. Na ramieniu miała dwie okrągłe blizny. Spytałam, kto jej to zrobił, ale nie chciała powiedzieć. Spytałam, czy mogę dotknąć, i kiwnęła głową. Byłam bardzo delikatna, dotknęłam gładkiej skóry na jej ramieniu i zatoczyłam ósemkę wokół czerwonych niezabliźnionych kraterów. Powiedziałam, że przykro mi, że mnie przy niej nie było i nie mogłam temu zapobiec. Kiedy zabrałam palec, z powrotem obciągnęła rękaw i założyła płaszcz. Wiedziałam, że to jej

sposób, by powiedzieć, że nie chce już o tym rozmawiać.

Wstała i odeszła, a ja się przestraszyłam, że ją zdenerwowałam i że sobie idzie, ale nie poszła. Przystanęła przy karuzeli i położyła się na niej. Wyglądała śmiesznie, więc się roześmiałam. Potem podbiegłam i zaczęłam popychać ją jak najszybciej, biegnąc obok, aż Taylor też się roześmiała. Kiedy karuzela była już maksymalnie rozpędzona, wskoczyłam i położyłam się po przeciwnej stronie. Obie nadal się śmiałyśmy i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć Taylor przez barierkę. Trzymałyśmy się mocno, zaśmiewając się i wirując, aż zakręciło mi się w głowie, ale o to nie dbałam. Chciałabym, żebyśmy mogły tak zostać na zawsze.

Potem, kiedy już przestałyśmy się kręcić, ale ciągle leżałyśmy na karuzeli, Taylor opowiedziała mi śmieszna historię o swojej przyjaciółce Jo. Powiedziała, że Jo świetnie sobie radzi z nowymi miejscami i poznawaniem nowych ludzi, jest wspaniałą słuchaczką i potrafi zachować tajemnicę. Zaczęłam się robić trochę zazdrosna, bo wydaje mi się, że skoro się z Taylor przyjaźnimy, to nie powinna potrzebować nikogo innego. Właściwie ta cała Jo w ogóle nie bardzo mi się podobała, póki Taylor nie powiedziała, że ona tak naprawdę nie istnieje, to taka wyobrażona przyjaciółka. Zaczęłam się śmiać tak mocno, że prawie spadłam z huśtawki, ale Taylor się nie śmiała, mówiła poważnie. Powiedziała, że jeśli chcę, mogę pożyczyć sobie Jo, kiedy się przeprowadzę - Jo dotrzyma mi towarzystwa, jeśli będę się bała albo czuła samotna, i zawsze będę miała przyjaciółkę, gdziekolwiek się znajdę. Powiedziałam, że ona mi wystarczy, nie potrzebuję innych przyjaciółek, ale Taylor zdawała się mnie nie słyszeć. Powiedziała, że Jo może wrócić ze mną do domu na noc, żeby sprawdzić, czy też się zaprzyjaźnimy. Odparłam, że nie, dziękuję. Wtedy Taylor zaczęła się dziwnie zachowywać i powiedziała, że Jo siedzi na jednej z pustych huśtawek i że bym nie robiła jej przykrości. Zaczęłam myśleć, że Taylor jest szurnięta, ale kiedy przyszedł czas wracać do domu, zgodziłam się, żeby Jo poszła ze mną, tylko żeby sprawić przyjemność Taylor. Jo jest teraz ze mną w moim pokoju i patrzy, jak piszę w pamiętniku. Ma jasne włosy i nosi džinsy, i lubi wszystko to, co ja. Ciągłe szepcze mi coś do ucha. Nie wiem, czy się zaprzyjaźnimy, czy nie, ale jak na razie może sobie zostać.

Teraz
Sylwester 2016

Paul wychodzi z pokoju i czekam, aż Claire coś powie. Wiem, że nie będzie mogła się powstrzymać, nawet jeśli nie wierzy, że ją słyszę.

– Trzydzieści pięć lat i nadal wymyślasz bajki o wymyślonej przyjaciółce? Poważnie?
– Jej śmiech brzmi złośliwie. – Ale prawdziwe pytanie brzmi, z kim naprawdę byłaś, kiedy mówiłaś, że z Jo?

Drzwi się otwierają i bardzo się cieszę, że ktoś przerywa tę rozmowę.

– Przepraszam, nie chciałem pani zaskoczyć – mówi Edward.

Moja ulga natychmiast gaśnie.

– Na pewno myśli pan, że oszalałam, siedzę tu i gadam do siebie – mówi Claire.

– Może jest pani szalona, ale nie gada pani do siebie, tylko do siostry. Trzeba rozmawiać z pacjentami w sypialni. To dobrze robi i im, i krewnym.

– Chyba się jeszcze nie poznaliśmy. Skąd pan wiedział, że jestem jej siostrą? – pyta Claire. Złapała go, Claire każdego przejrzy.

– Wyglądacie na siostry – mówi Edward. – Muszę tylko...

– Oczywiście. Doktorze...?

– Clarke.

Paulowi mówił chyba, że jest noszowym.

Słucham przez jakiś czas, podczas gdy człowiek, który mnie tu więzi, i moja siostra prowadzą uprzejmą rozmowę. Claire go nie lubi, słyszę to w jej głosie. Usiłuję trzymać się sensu słów, choćby tych najprostszych. Ich głosy stają się cichsze, jakby ktoś przykręcał głośność w moim świecie, aż prawie nic nie słyszę. Czuję, że coś nadchodzi, choć nie wiem co. Cisza zawsze do mnie wraca, bo ja wybrałam ją pierwsza.

Czas zwalnia. Wciąż słyszę w oddali głos Claire, ale ledwo, ledwo. Oczy i usta mam zamknięte, a kiedy cisza wypełnia mi uszy, robię się nie tylko niema i ślepa, ale też całkowicie głucha. Kiedy nie słyszę już głosu Claire, uchylam powieki i widzę ją przed sobą. Znajdujemy się w korytarzu jej domu, a ona stoi zastygła, niczym żyjący posąg. Wygląda, jakby zastopowano ją w pół słowa, na jej twarzy widać przerażenie, czytam je w jej połyskujących oczach. Podążam za jej wzrokiem i spoglądam w dół. Widzę ściekającą mi po nogach krew, aż zupełnie znika, jakbym tylko ją sobie wyobraziła. Już wiem, że wolę nie widzieć nic więcej, ale teraz, kiedy otworzyłam oczy, nie mogę ich zamknąć. Chcę wcisnąć „stop”, ale mój umysł dalej przewija obrazy do tyłu. Claire krzyczy na mnie, lecz nie słyszę, co mówi, wszystko jest wytłumione. Wycofuję się przez drzwi wejściowe i idę tyłem po podjeździe. Claire zamyka drzwi, a ja wsiadam do samochodu. Czekala, spodziewała się mnie. Zanim mam czas przemyśleć, co to oznacza, uruchamiam silnik i jadę samochodem Paula znajomymi ulicami, a potem jestem przed naszym domem. Wjeżdżam tyłem i hamuję, a Paul stoi na podjeździe i krzyczy. Nim wysiadam, dwa razy otwieram drzwi. Aż do bólu ściskam klucze w zimnych, mokrych palcach. Przyklekam na podjeździe, ignorując asfalt wrzynający się w kolana, i puszczam kluczyk w cieniu pod samochodem. Wszystko zdaje się

przewijać na wstecznym biegu. Podnoszę się i staję twarzą w twarz z Paulem, krzyczymy na siebie w deszczu. Nie słyszę, co mówimy, ale patrzę na kształty, w jakie układają się jego usta. Paul wymachuje rękami, lecz moja pierwotna interpretacja była błędna, na jego twarzy widać strach, nie gniew. Deszcz pada mocno i rzeczywistość znowu zwalnia, czas prawie nieruchomieje.

Widzę wszystko tak wyraźnie, że moje otoczenie zaczyna się wydawać prawdziwe. Bo jest prawdziwe. To wspomnienie, nie sen, jestem tego pewna. Patrzę w dół i widzę, że moja nowa kremowa sukienka jest przemoczona i przywiera mi do skóry, ale nie ma krwi i wiem, że dziecko wciąż jest we mnie, wciąż żyje. Kładę sobie rękę na brzuchu. Zastanawiam się, czemu nie mam na sobie płaszcza, i zdaję sobie sprawę, że musiałam wybiec w pośpiechu. Paul kręci głową i wchodzi tyłem do domu. Stoję sama w strugach deszczu. Jestem całkiem pewna, że ten fragment się nie zgadza. Nie stałam tu, ale teraz wydaje się bardzo ważne, bym tkwiła tak zastygła w czasie i przestrzeni, póki sobie nie przypomnę, póki wszystko nie nabierze sensu. Deszcz leje tak mocno, że boli mnie twarz. Obraz zaciera mi się w oczach i zdaję sobie sprawę, że wilgoć na moich policzkach to częściowo łzy. Słyszę głos Paula wylewający się z deszczem z ciemnego nieboskłonu.

– Ona płacze.

Czarne niebo spada na dom i zalewa samochód. Coś zamalowuje to wspomnienie, ale ja muszę je uchwycić, muszę sobie przypomnieć, co się stało. Wyczuwam jej obecność, zanim ją widzę. Dziewczynka w różowym szlafroku staje przy mnie i wsuwa rączkę w moją dłoń. Teraz widzę jej twarz, wiem, kim ona jest.

– Patrz, ona płacze – mówi znowu Paul zza drzewa i odkrywam, że to prawda, faktycznie płacze.

Dziewczynka też zaczyna płakać i przyciągam ją blisko do siebie, wiedząc, że nie wolno mi jej puścić. Nie mogła temu zapobiec, to nie jej wina. Obraz ciemnieje, odzierając mnie ze wspomnienia, aż pozostaje tylko czerń. Dopiero wtedy wszystko staje się jasne. Ona wybrała milczenie i teraz ja muszę z nim żyć. Dziewczynka trzyma mnie mocno, a ja zapominam o ponad dwóch minionych dekadach i patrzę na siebie z przeszłości. Przeżyła ćwierć wieku w czasie i przestrzeni, by przypomnieć mi, kim wtedy byłam, i powiedzieć, kim muszę być teraz.

Niektórzy ludzie stają się duchami, jeszcze zanim umrą.

Wtedy Wigilia 2016 – popołudnie

Kiedy docieram do domu, ręce nadal mi się trzęsą. Zostawiłam Claire na jarmarku świątecznym, po prostu odeszłam, nie oglądając się za siebie. Niebo jest ciemne i nabrzmiałe deszczem. Chcę tylko schronić się w środku, odciąć się na dobre od świata i swoich błędów. Wyjmuję z torebki klucze i odkrywam, że omyłkowo wzięłam komplet Paula. Taka nieuwaga to do mnie niepodobne. Muszę się uspokoić, wziąć w garść, skupić się. Gdy wchodzę do domu, od razu czuję się lepiej. Opieram się plecami o drzwi i staram się uspokoić oddech i myśli. Zamykam na chwilę oczy i próbuję się spokojnie zastanowić, ale kiedy je otwieram, wciąż nie mam odpowiedzi. Trudno znaleźć coś, co nie istnieje.

W przedpokoju zdejmuję płaszcz, odwieszam go na wieszak i nachylam się, żeby zdjąć buty.

– Już jestem – mówię bez entuzjazmu i wielkich oczekiwań.

Nie ma żadnej odpowiedzi.

Rozwiązuję sznurówki w drugim bucie.

– Paul?

Nic.

Nigdy nie lubiłam być dotykana. Nauczyłam się nie odskakiwać i nie odsuwać, ale zawsze uważałam, że bez sensu kogoś obejmować, kiedy wiesz, że w końcu będziesz musiał go wypuścić. Mimo to chciałam, żeby ktoś mnie teraz przytulił. Chciałam kogoś objąć i pozwolić, żeby ten ktoś objął mnie.

Grzane wino poparzyło mi język i jestem tak spragniona, że idę do kuchni i nalewam sobie szklankę chłodnej wody z kranu. Łykam ją i rozglądam się dookoła. Natychmiast to zauważam. Odkładam szklankę i gapię się na piekarnik. Pokrętko po lewej stronie jest w niewłaściwej pozycji. Ustawiam je tak, żeby wszystko było wyłączone, i gapię się na nie, jakby mogło przekreślić się z powrotem na moich oczach. Rozglądam się, szukając wytłumaczenia, i czuję przyływ złości, że Paul był tak niedbały, i to akurat dzisiaj. Słyszę skrzypnięcie podłogi w drugim pokoju i pozwalam, by mój gniew wypłynął na powierzchnię.

– Zostawiłeś włączony piekarnik! – wrzeszczę w pustkę.

Przechodzę z pomieszczenia do pomieszczenia, szukając kogoś, kogo mogłabym obwinić. Ale Paula nie ma. Zatrzymuję się w salonie, pustym, nie licząc ogromnej choinki w kącie. Nie było jej, kiedy rano wychodziłam; uzgodniliśmy, że w tym roku nie będziemy sobie zaprzętać głowy dekoracjami świątecznymi, a tu proszę, choinka jest wyższa ode mnie i obwieszona maleńkimi, mrugającymi białymi światełkami. Niemal na każdej gałęzi wisi jakaś ozdoba, Paul i ja kupowaliśmy je wspólnie przez lata: miniaturowa brązowa torebeczka z Bloomingdale'sa z wycieczki do Nowego Jorku, maleńki jodełkowy aniołek z Nowej Zelandii, biały koronkowy bałwanek z Niemiec. Kiedyś tyle podróżowaliśmy... Teraz, kiedy Paul napisał kolejną książkę, znowu będziemy tak żyli. Stoję, oczarowana wspomnieniami wiszącymi na każdej gałęzi,

i przyłapuję się na uśmiechu, choć nie mam żadnej widowni: jestem zwyczajnie szczęśliwa i już. Wyłączam światelka, czytałam gdzieś, że kiedy za długo są włączone, mogą zaiskrzyć i spalić cały dom.

Słyszę na górze skrzyknięcie podłogi i wchodzę po schodach w poszukiwaniu Paula, próbując otrząsnąć się z resztek irytacji. Zrobił coś miłego, więc muszę wybaczyć mu to z piekarnikiem. Przechodzę z pokoju do pokoju – nie ma ich wiele, więc nie trwa to długo – ale na piętrze też go nie ma. Wracam do sypialni, coś się w niej nie zgadzało, coś było nie na miejscu. Rozglądam się po niej i zauważam leciutko uchylone drzwi szafy. Powinny być zawsze domknięte. Oddycham szybciej niż zwykle i podnoszą mi się włoski na rękach, ale wmawiam sobie, że to nedorzecznosc. Podchodzę do drzwi, by je zamknąć, i zauważam, że ktoś ruszał moje rzeczy, są źle ułożone. Zawsze wiem je według rozmiaru i koloru, mam swój system i ktoś go naruszył.

Coś jest nie tak.

Teraz jestem tego pewna.

Nie wyobrażam sobie.

Stoję nieruchomo i nasłuchuję ze wszystkich sił. Nic. Zakradam się przez korytarz, zaglądam za drzwi, bojąc się tego, co mogę zobaczyć. Nawet mój oddech wydaje się zbyt głośny. Przystaję przy łazience. Teraz, kiedy rozglądam się uważnie, widzę, że drzwiczki szafki są uchylone, a ręczniki ułożone nie tak, jak lubię. Paul nigdy by tego nie zrobił, wie, że doprowadza mnie to do szału. Był tu ktoś inny.

Claire.

Claire mogłaby zrobić coś takiego, żeby dać mi nauczkę. Nie rozumiem, jak zdołała się tu dostać przede mną i to bez klucza. Wstrzymuję oddech, aż udaje mi się zdusić myśli i mam pewność, że nikt ich nie usłyszy.

Muszę znaleźć Paula. Muszę się przekonać, że nic mu nie jest. Wreszcie go słyszę, chodzi po parterze, widać przyszedł z ogrodu. Ulga, że nic mu się nie stało, pozwala mi chwilowo zapomnieć o chaosie na górze i zbiegam po schodach, chcę tylko go zobaczyć. Nie ma go w kuchni, gdzie się go spodziewałam. Cofam się korytarzem do salonu i wdziwam na twarz uśmiech, otwierając drzwi, których zamykania nie pamiętam.

Światelka na choince znowu są włączone, ale nie to jest pierwszą rzeczą, którą zauważam. Jest nią siedzący na kanapie Edward. Patrzy, jakby na mnie czekał, jakbyśmy umówili się na spotkanie, jakby nie było nic dziwnego w fakcie, że ten człowiek z mojej przeszłości siedzi w moim salonie. Mam ochotę krzyknąć, ale jeszcze bardziej – uciekać. Edward uśmiecha się do mnie.

– Cześć, Amber. Wyglądasz na zmęczoną, może usiądziesz?

Przedtem
Poniedziałek, 21 grudnia 1992

Kochany Pamiętniczku,
dzisiaj tata ustawił choinkę. Nie jest prawdziwa, tylko z plastiku, i tak naprawdę w ogóle nie jest nasza, należała do Buni i dziadka, ale chyba by im to nie przeszkadzało. Jest w takim dziwnym wyblakłym odcieniu zieleni, jakby wołała być szara. Pozwolono mi ją ubrać. Świąteczka nie działa i nie ma pod nią żadnych prezentów, ale i tak mi się podoba. Kiedy skończyłam, Jo powiedziała, że ładnie wygląda. Całkiem lubię jej towarzystwo.

Tata dostał nową pracę. To powinna być dobra nowina, ale nie jest. Nowa praca jest w Walii, a to strasznie daleko stąd. Tak daleko, że to zupełnie inny kraj. Mają tam nawet własny język, który brzmi, jakby ludzie mówili do tyłu, tata puścił mi go z kasety. Taylor opowiadała, że była kiedyś na wakacjach w Walii i że poza walijskim ludzie mówią tam też po angielsku, ale i tak nie chcę tam mieszkać.

Są trzy ważne powody, dla których nie powinniśmy przeprowadzać się do Walii:

1. Po raz kolejny będę musiała zmienić szkołę.
2. Będę bardzo tęsknić za Taylor.
3. Nie będzie tam Buni.

Tu też jej nie ma, ale są wszystkie jej rzeczy, więc można udawać, że nadal żyje.

Tata pakuje cały dobytek w pudła. Małe kawałki naszego życia porzucane są w stertach po całym domu: labirynt zapomnianych staroci, których i tak nie będziemy potrzebować, poowijanych i popakowanych ostrożnie jak jakieś skarby. Nadal mieliśmy na strychu stare pudła po ostatniej przeprowadzce, tata znalazł choinkę, kiedy poszedł ich szukać. Poprosił mamę o pomoc przy pakowaniu, ale ona nie czuje się za dobrze, więc tata wszystko robi sam. Mama przestała się nawet ubierać, snuje się tylko w piżamie. Lekarz przepisał jej jakieś tabletki na sen, co wydaje mi się nieco dziwne, bo ona i tak cały dzień leży w łóżku.

Tata mówi, że jestem już na tyle duża, że tym razem mogę sama popakować swoje rzeczy. Przyniósł mi do pokoju dwa kartony, do których włożył grubą brązową taśmę klejącą, i kazał mi wypełnić je przed kolacją. W jednej z kuchennych szuflad znalazł dziesięć funtów. Powiedział, że możemy zaszaleć i pójść na rybę z frytkami, tylko on i ja. Cieszę się, że znalazł trochę pieniędzy, bo chyba nam się kończą. Wczoraj przyszedł jakiś człowiek i pytał o tatę, i słyszałam, jak mówił, że nie zapłaciliśmy rachunku za wodę. Sprawdziłam krany w kuchni i w łazience – nadal działają. Tata powiedział, że jeśli ktoś jeszcze będzie pukał do drzwi, musimy udawać, że nie ma nas w domu, i chować się pod oknami, żeby nie było nas widać, jak

ten ktoś zajrzy do środka.

Próbowałam spakować te dwa pudła, ale to wcale nie takie proste, jak się wydaje. Włożyłam do jednego część swoich książek, ale miałam wrażenie, że wszystko jest nie tak, więc znowu je wyjęłam i odłożyłam z powrotem na półkę. Wydaje mi się, że moje książki nie chcą stąd wyjeżdżać, tu jest ich dom i powinny móc tu zostać tak długo, jak im się podoba. Schowałam za to do pudeł swoje ubrania. I tak nie potrzebuję ich dużo, od dwóch dni noszę to samo i jest dobrze. Żeby oszczędzać wodę, za którą nie zapłaciliśmy, przestałam się też kąpać, ale chyba nikt nie zauważył. Okleiłam jedno pudło brązową taśmą i zostawiłam rolkę zwisającą z boku, nie wolno mi trzymać w pokoju nożyczek.

Ryba z frytkami była najlepsza na świecie! Ja polałam swoją octem i keczupem – strasznie się objadłam, ale wyczyściłam cały talerz. Tacie chyba też smakowało. Miło było, kiedy tak sobie siedzieliśmy we dwoje, ale potem tata zaczął pić czerwone wino z pudełka i zrobił się smętny. Spytałam, dlaczego wino jest w kartoniku, a nie w butelce, i wtedy tata powiedział, że zadaję za dużo pytań i żebym siedziała cicho. Wydaje mi się, że nie powinien tyle pić, bo robi się nieprzyjemny. Udaje miłego, z całą tą choinką i rybą z frytkami, ale tak naprawdę mnie nie lubi. Patrzyłam na niego przez jakiś czas po kolacji, kiedy oglądał coś na dużym telewizorze. Miał w brodzie okruszki jedzenia, a suche skórki na jego ustach były fioletowe od wina. Wydaje mi się, że wcale nie wyglądam jak on, nawet nie jestem pewna, czy wierzę, że to naprawdę mój tata. Nienawidzę go, kiedy za dużo pije. NIENAWIDZĘ.

Kiedy poszłam do kuchni po szklankę wody, zauważyłam nożyczki. Wiem, że nie powinnam ich dotykać, ale mam już jedenaście lat. Postanowiłam porządnie okleić taśmą pudła w moim pokoju. Kiedy jednak weszłam po schodach, stało się coś dziwnego. Moje stopy wpadły na zupełnie inny pomysł, o którym nic mi nie powiedziały, i zaniósł mnie do łazienki. Włączyłam światło, a w wannie stała Jo, strasznie mnie przestraszyła. Kazała mi zamknąć drzwi, więc je zamknęłam. Potem spojrzałam w lustro, żeby zobaczyć, co robię.

Gdy skończyłam, na podłodze leżała cała masa włosów. To był pomysł Jo, żeby je obciąć. Kiedy zmrużyłam oczy i popatrzyłam na swoje odbicie, mogłam udawać, że to Taylor na mnie patrzy, i od razu zrobiło mi się weselej. Uśmiechnęłam się i ona też się uśmiechnęła. Spytałam Jo, jak jej się podoba, i powiedziała, że to było bardzo sprytne, bo w ten sposób mogę zabrać Taylor ze sobą, o ile tylko w Walii mają lustra.

Teraz Sylwester 2016

Budzę się na odległy dźwięk wyskakującego z butelki korka. Ktoś gdzieś świętuje. W mojej głowie miga jakieś wspomnienie: szampan na Boże Narodzenie, brzęk kieliszków, płacz bliźniaków na piętrze. Próbuję przypomnieć sobie coś więcej, ale reszta folderu jest pusta. Nie wydaje mi się, że byłam wtedy pijana, lecz naprawdę nie jestem w stanie nic sobie przypomnieć i sama myśl, że to możliwe, zasila rosnące we mnie poczucie wstydu. Rodzice pili, alkohol zmienił ich w innych ludzi. Nigdy nie chciałam być taka jak oni, ale historia lubi się powtarzać, czy tego chcemy, czy nie. Słyszę śmiech w korytarzu i zastanawiam się, z czego można się śmiać w takim miejscu.

Paul bierze mnie za rękę. Jest tutaj, jeszcze ze mnie nie zrezygnował.

– Szczęśliwego Nowego Roku – mówi i całuje mnie bardzo delikatnie w czoło.

Nowy Rok.

Więc jestem tu od tygodnia. Czas rozciąga się tutaj jak akordeon; chwilami wszystko jest ściśnięte, a chwilami mam wrażenie, jakby moja egzystencja była nieskończona, kryła się w fałdach płótna i kartonu, złożonych w kształt życia. Mam lekki zamęt w głowie i czuję się zagubiona.

Wracam myślami do minionych obchodów Nowego Roku. Nie przypominam sobie ani jednego, który bym przyjemnie spędziła, choć na pewno wszystkie były lepsze niż ten.

– Jeśli mnie słyszysz, porusz tylko palcem – mówi Paul. – Proszę cię.

Wyobrażam sobie, jak wpatruje się z napięciem w moje palce, i próbuję siłą woli sprawić, by się poruszyły. Chciałabym móc zrobić mu tę maleńką przyjemność.

– Nic nie szkodzi, wiem, że gdybyś mogła, tobyś poruszyła. Powiedzieli, że mogę zostać do północy, o ile tylko nikogo poza mną tu nie będzie. Jest dwunasta trzy, więc... – Słyszę, jak zasuwa zamek kurtki, i wpadam w panikę.

Proszę, nie odchodź.

– Nie martw się, nadal będę cię pilnował. Tak między nami, zainstalowałam tu maleńką kamerkę, tę, którą miałem zamontować za domem. Schowałam ją tak, że nikt jej nie znajdzie. Aktywuje się na ruch, więc jeśli nocą wstaniesz i zaczniesz tańczyć, zobaczę cię w domu na laptopie. Wiem, że tam jesteś, Amber. Oni mi nie wierzą, ale ja to wiem. Po prostu się trzymaj, a ja znajdę sposób, żeby cię stąd wydostać. – Jeszcze raz mnie całuje, po czym wyłącza światło i cicho zamyka za sobą drzwi, jak rodzic kładący dziecko do łóżka.

Jestem sama. Znowu.

A więc tak wygląda rok 2017. W mojej głowie brzmi to futurystycznie. Kiedy byliśmy mali, myśleliśmy, że do tej pory wszyscy będziemy już latać własnymi samolotami i jeździć na wakacje na Księżyc. Od czasów mojego dzieciństwa dużo się zmieniło – może nie tyle, ile byśmy chcieli, ale świat naprawdę stał się innym miejscem. Jest szybszy, głośniejszy, bardziej samotny. W przeciwieństwie do niego my zbyt szybko się nie zmieniliśmy, nie tak naprawdę. Historia jest lustrem, a my to tylko

starsze wersje samych siebie; dzieci poprzebierane za dorosłych.

Wtedy Wigilia 2016

– Co ty tu robisz? Jak wszedłeś do mojego domu?

Edward siedzi spokojnie na mojej kanapie i uśmiecha się do mnie. Jakby sytuacja była zupełnie normalna, jakby wszystko to było całkowicie zrozumiałe. Wydaje się jeszcze bardziej opalony niż przedtem i przypominam sobie stare łóżko do solarium w jego mieszkaniu.

– Uspokój się, Amber. Wszystko w porządku. Napijesz się wina? Rozluźnij się, powiedz, jak ci minął dzień – mówi.

Widzę na stoliku butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki. Nasze kieliszki, Paula i moje. Nasze wino.

– Dzwonię na policję – mówię.

– Nie dzwonisz. A może chcesz, żeby twój mąż się dowiedział, że widywałeś się z innym mężczyzną? – Bierze butelkę i nalewa dwa kieliszki.

Próbuję zachować spokój, zastanowić się, zrozumieć, co się dzieje.

– Chciałaś, żebym tu przyszedł, dlatego zostawiłaś klucze w moim mieszkaniu. – Kładzie klucze na stoliku i czuję przelotną ulgę. Potrzebuję ich, nie wszystkie są moje. I nagle do mnie dociera.

– Wyjąłeś mi je wczoraj z torebki...

– Czemu miałbym to robić? Swoją drogą, zachowałeś się bardzo nieuprzejmie, wyszłaś i nawet się nie pożegnałaś.

– Dodałeś mi coś do drinka – mówię, jękając się.

– Co ty opowiadasz? – pyta Edward. Jego idealnie biały uśmiech wygląda jak przyklejony do brązowej twarzy.

– Na pewno. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

Jego uśmiech blednie.

– Daruj sobie te gierki, Amber. Jesteśmy na to za starzy. Sama chciałaś do mnie przyjść. Sama chciałaś, żebym cię rozebrał. Pragnęłaś tego.

Czuję, że zaczynam się łamać.

– Wcale nie. – Moje słowa brzmią jak wypowiedane przez kogoś innego, kogoś małego i odległego.

Edward wstaje, a ja cofam się o krok. Oczy mu ciemnieją, a potem na jego twarz wraca uśmiech.

– Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, wyciąga rękę i podnosi ze stolika mój telefon. Odblokowuje go, nie pytając nawet o PIN, po czym podsuwa mi ekran przed oczy.

– Czy to wygląda, jakbym cię do czegoś zmuszał?

Wszystko wokół zamiera. Chcę odwrócić wzrok, ale nie mogę.

Edward przewija kolejne zdjęcia kobiety, która wygląda jak ja, ale nigdy w życiu nie oglądałam się w ten sposób. Moje nagie ciało. Moje otwarte usta. Wyrzeczony rozkosz na mojej twarzy. Odwracam wzrok.

– Chciałaś iść na całość, ale jestem dżentelmenem. Cierpliwości, lepiej zaczekać na właściwy moment. Najpierw musisz skończyć z mężem, nie zamierzam się tobą z nim dzielić. Zmarnowaliśmy zbyt wiele lat, ale teraz wreszcie czeka nas wspaniała przyszłość.

Robi kolejny krok do przodu, a ja znowu się cofam.

– Jesteś szalony.

Edward z trzaskiem odkłada telefon na stół i natychmiast żałuję tych słów.

– Spokojnie, na swoim telefonie mam o wiele więcej zdjęć. Wybrałem nawet jedno ulubione. Zastanawiałem się, czy nie wysłać go Paulowi. Co za żałosne imię, Paul. „Ponury Paul”, właściwie nawet do niego pasuje. Na tej jego pisarskiej stronie jest adres e-mail, ale pomyślałem sobie, że sama powinnaś mu powiedzieć. Prawda, że to wyrozumiale z mojej strony?

Zwracam się twarzą do niego, wściekłość chwilowo zagłusza mój strach.

– Musisz powiedzieć wszystko Paulowi i poprosić go, żeby odszedł. Wtedy ja się tu wprowadzę i możemy zacząć od nowa.

– Zacząć od nowa? Ty jesteś popieprzony, wiesz o tym? Dosypałeś mi prochów, na pewno, to nie ma żadnego sensu. Nie zrobiłabym tego.

Jego twarz wykrzywia się w skwaśniały wyraz.

– Sama mnie o to prosiłaś – mówi Edward, stając tuż przede mną. – Błagałaś, żebym cię przeleciał w każdy jeden cholerny otwór.

Muszę się stąd wydostać, muszę odszukać Paula.

Biegnę do drzwi, ale Edward mnie wyprzedza, zatrząskuje je jedną ręką, a drugą uderza mnie mocno w twarz.

Potem uderza jeszcze raz, tak że zataczam się na podłogę.

– Czemu zawsze musisz wszystko psuć? Wybaczyłem ci to, co zrobiłaś mi przed laty, ale nie pozwolę, żebyś znowu robiła ze mnie idiotę.

Przypominam sobie listy, które napisała Claire, kiedy byliśmy na studiach. Próbuje mu to wyjaśnić, ale znowu mnie uderza, aż brakuje mi tchu i słów. Kiedy jego ręce zaciskają się na mojej szyi, przestaję słyszeć, co mówi. Podnosi mnie z podłogi i prawie nie mogę oddychać. Biję go pięściami i próbuję kopnąć, ale on sprawia wrażenie, jakby zupełnie nie czuł tych ciosów, jakbym była muchą atakującą konia, jestem tylko irytującą przeszkodą.

Muszę coś zrobić, cokolwiek, inaczej mnie zabije...

– Jestem w ciąży – wyduszam z trudem.

Trzy krótkie słowa tańczą w powietrzu między nami. Nie sądziłam, że to on dowie się o tym jako pierwszy. Chyba mnie nie słyszy – mam wrażenie, że nie chce mnie słyszeć. Nie mogę myśleć, nie mogę oddychać. W oczach zaczyna mi czernieć, ciemność rozprzestrzenia się jak atrament na bibule.

Słyszę trzask tylnych drzwi.

Edward też go słyszy i puszcza mnie na podłogę. Leżę nieruchomo, bojąc się tego, co będzie dalej. Edward odsuwa się o krok i spinam się w oczekiwaniu na kopniaka. Obejmuję brzuch rękami i zamykam oczy, ale nie ma takiej potrzeby. Edward spokojnie wychodzi przez drzwi frontowe, zamykając je cicho za sobą. Słyszę, jak Paul napełnia w kuchni czajnik, i wiem, że jestem już bezpieczna – na razie. Paul nie może mnie

zobaczyć w tym stanie. Staję na uginających się nogach, przekręcam dwukrotnie zamek, łapię telefon ze stolika i pędzę na górę, zamykam się w łazience. Po krótkiej chwili Paul wchodzi za mną na piętro.

– To ty? – pyta.

– Tak – mówię, z trudem przypominając sobie zwyczajne brzmienie mojego głosu i usiłując je naśladować.

– Co u Claire?

Lunch z siostrą wydaje się teraz tak odległy, że z początku nie rozumiem, czemu o to pyta.

– Wszystko w porządku. Wezmę szybką kąpiel, okej?

Opieram się o drzwi. Tak strasznie chcę je otworzyć, żeby mnie przytulił. Chcę mu powiedzieć, jak bardzo mi przykro i jak bardzo go kocham. Chciałabym wszystko mu wyznać, ale nigdy by mi nie wybaczył, gdyby poznał prawdziwą mnie. Spoglądam na telefon w ręce i widzę na ekranie zastygły obraz swojego nagiego ciała. Robi mi się niedobrze. Kasuję go i na jego miejsce pojawia się kolejny.

– Rozwiesiłem świąteczne dekoracje – mówi Paul.

– Widziałam, ślicznie to wygląda. Fajnie, że kupiłeś choinkę.

– Kiedy znosiłem ze strychu ozdoby, znalazłem coś jeszcze.

Przykładam dłoń do drewnianych drzwi. Wyobrażam sobie jego rękę po drugiej stronie, chciałabym jej dotknąć.

– Chyba nie kolejne gniazdo os?

– Tym razem nie. Znalazłem pudło ze starymi notatnikami.

Mam wrażenie, jakby oddech uwiązał mi w gardle.

– Wyglądają jak jakieś dzienniki.

Wszyscy jesteśmy tylko duchami ludzi, za których się uważaliśmy, i podróbkami tych, którymi pragnęliśmy być.

– Mam nadzieję, że ich nie czytałeś – mówię, żałując, że nie widzę jego oczu, żebym mogła zobaczyć, co myśli i czy mnie nie oszukuje.

– Oczywiście, że nie. No, w każdym razie przestałem, kiedy się zorientowałem, co to takiego. Ale zaintrygowały mnie wielkie cyfry „1992” na jednej okładce. Ile miałaś wtedy lat? Dziesięć?

– Jedenaście – odpowiadam. – Nie powinno się czytać cudzych dzienników – dodaję, osuwając się na podłogę, zamykając oczy i opierając głowę o ścianę. – To prywatne sprawy.

Przedtem Wigilia 1992

Kochany Pamiętniczku,

nigdy jeszcze nie siedziałam do tak późnej pory. Jest pierwsza w nocy, a kiedy wstanie słońce, będzie już Wigilia. Wczoraj wieczorem przyjechała do nas Taylor i wciąż tu jest, śpi w moim pokoju. Mama i tata powiedzieli, że może zanoć u nas ten ostatni raz przed przeprowadzką – zagroziłam, że jeśli się nie zgodzą, obetnę sobie włosy jeszcze krócej. Przeprowadzamy się dwudziestego siódmego grudnia, żeby tata mógł zacząć pracę od następnego dnia. A ja od stycznia będę musiała zacząć kolejną szkołę w zupełnie nowym kraju. Rodzice nawet nie wiedzą którą, w ogóle im na mnie nie zależy. Mama mówi, że kiedy już się urządzimy, Taylor może nas odwiedzić. Mówi, że tym razem będzie inaczej. Mama jest KŁAMCZUCHĄ.

Taylor niewiele mówiła podczas kolacji i prawie nie tknęła pizzy. To wszystko wina mamy, bo zamówiła hawajską i Taylor musiała powybrać ananasa, zanim mogła cokolwiek zjeść. Mama Taylor nigdy nie zrobiłaby takiego błędu, wie, co obie lubimy. Teraz naprawdę jesteśmy zupełnie splukani, nie zostały nam już nawet monety w słoiku Buni na czarną godzinę. Tata był w pubie. Ma tam znajomego o przezwisku Kreska, który płaci za jego drinki, i słyszałam, jak mówił, że nie musi mu oddawać przed wyjazdem. Mama z jakiegoś powodu bardzo się o to zdenerwowała, więc zapłaciła za pizzę kartą kredytową, która jest tylko na wyjątkowe sytuacje. Zabroniła nam o tym wspominać. Jadłyśmy więc coś w rodzaju wyjątkowej pizzy.

Mama wcześniej się położyła, mówiła, że jest wyczerpana. Jeśli ciągle jest taka zmęczona, to nie wiem, czemu co wieczór musi brać tabletki nasenne, ale cieszyłam się, że zostawiła nas same. Obejrzałyśmy z Taylor film. Już go kiedyś widziałam, więc teraz patrzyłam na Taylor, kiedy ona wpatrywała się w duży telewizor. Wyłączyłam wszystkie światła, tak jak robią jej rodzice, kiedy oglądają filmy, i jej twarz rozjaśniał tylko blask ekranu, wyglądała jak anioł. Nie śmiała się w niektórych śmiesznych momentach, chociaż ja owszem, tylko patrzyła na mnie smutno i odwracała się z powrotem do telewizora. Trzymałam ją za rękę, bo przyszła mi taka ochota, a ona mi na to pozwoliła. Ścisnęłam trzy razy jej dłoń i po chwili Taylor trzy razy ścisnęła moją, ale nadal nie chciała na mnie spojrzeć.

Kiedy film się skończył, poszliśmy do mojego pokoju. Przez jakiś czas rozmawiałyśmy, ale nie tak długo jak zwykle, głównie dlatego, że Taylor ciągle opowiadała o różnych rzeczach, w których nie brałam udziału. Zaczęła spędzać sporo czasu z jakąś dziewczynką o imieniu Nicola, chodzą razem na balet w salce przykościelnej. Ja nie chodzę na balet, nie stać nas na to. Podobno Nicola jest bardzo zabawna i ciągle żartuje. Taylor mówi, że to ja wciąż jestem jej najlepszą przyjaciółką – spytałam, żeby się upewnić. Nie

wiem, czemu w ogóle potrzebne jej inne przyjaciółki, ja ich nie mam i to mi nie przeszkadza.

Taylor powiedziała, że nie może się doczekać Bożego Narodzenia. Cała jej rodzina przyjedzie do nich w odwiedziny, a jej mama kupiła największego indyka, jakiego Taylor w życiu widziała, wielkiego jak struś, a to naprawdę coś. Przyjedzie jej Bunia, na którą oni mówią Babcia, i zrobiło mi się smutno, bo pomyślałam o swojej Buni, więc przez jakiś czas się nie odzywałam, tylko słuchałam. Jestem dobra w słuchaniu. Ludzie mówią przeróżne rzeczy, jeśli tylko im się na to pozwoli. I wtedy właśnie Taylor powiedziała, że nie chce, żebym wyjechała do Walii, a ja bardzo się ucieszyłam, że myśl o moim wyjeździe budzi w niej taki smutek. Obiecałam jej, że donikąd się nie wybieram, i mówiłam poważnie, zawsze dotrzymuję swoich obietnic.

Tata wrócił do domu pijany i narobił dużo hałasu na schodach. Najadłam się wstydu, ale troszkę też się cieszyłam, bo po wizytach w pubie tata bardzo mocno sypia, a tabletki nasenne mamy działają tak dobrze, że w ogóle nie dałoby się jej obudzić. Taylor też śpi na górze. Wszyscy śpią.

Nie wolno mi ruszać zapalek. Są na tej samej liście co nożyczki, ale i tak mam całe pudełko. Zdobyłam je już jakiś czas temu. Zabrałam je ze szkoły tamtego dnia, kiedy uczyliśmy się o palnikach Bunsena, dużo się wtedy nauczyłam. Przed zejściem na dół zapaliłam jedną zapalniczkę. Miałam ochotę obudzić Taylor, żebyśmy mogły zrobić to razem, ale ona spała mocno, więc zostawiłam ją w spokoju. Tak mi się podobał zapach płonącej zapalniczki, że aż poparzyłam sobie palce. Chciałam, żeby płomień sam się wypalił.

Zabiorę ze sobą wszystkie ważne rzeczy.

Trzy najważniejsze to:

1. Moje ulubione książki (w tym Matylda, Alicja w Krainie Czarów i Lew, Czarownica i stara szafa).
2. Moje dzienniki.
3. Moja przyjaciółka Taylor. Jej nigdy nie zostawię, bo jesteśmy jak dwa ziarna groszku z jednego strączka.

Wtedy Wigilia 2016

Leżę w wannie, żałując, że woda nie jest tak gorąca, by mnie sparzyć, ale nie chcę skrzywdzić rosnącego we mnie dziecka. Wyobrażam sobie, jak będzie to wyglądać za kilka tygodni: z wody wynurzy się wtedy pagórek, nowy ląd, czekający na podbicie. Kładę sobie rękę na brzuchu, delikatnie, jakby mógł mnie zranić, jakby nie był częścią mnie samej. Nic nie czuję. Może jest jeszcze za wcześnie.

Kiedy woda stygnie tak, że robi mi się za zimno, wychodzę z wanny i się wycieram. Para już zeszła i z przerażeniem patrzę na swoje odbicie w lustrze; na białej szyi wyraźnie widać czerwone odciski palców. Sińce na mojej duszy są starsze, ale równie łatwo je dostrzec, jeśli umie się patrzeć.

Otwieram drzwi łazienki i słyszę na dole Paula. Potem wyczuwam zapach ognia i niemal dostaję odruchu wymiotnego. Stąpam ostrożnie po dywanie kłamstw, starając się ich nie zbudzić. Kiedy dochodzę do sypialni, wkładam sweter z kołnierzem polo i wygodne legginsy do biegania, a potem pędzę na dół do salonu.

– Jesteś wreszcie – mówi Paul. – Chcesz drinka?

– Czy to bezpieczne?

– Drink?

– Ogień. Nie powinniśmy przed rozpaleniem wygarnąć z kominka?

– Wszystko w porządku. Pomyślałem, że tak będzie przytulniej, w końcu jest Wigilia.

Pokój jest oświetlony świecidełkami z choinki i ogniem. Paul chciał być miły, ale wybrał najgorszy możliwy sposób. Nie muszę nic mówić, sam czyta to z mojej twarzy.

– O kurde, przepraszam, pewnie to ci przypomina o... Przepraszam, ale ze mnie idiota.

– Nie, w porządku, tylko muszę się trochę oswoić, to wszystko.

Paul bierze butelkę czerwonego wina, którą otworzył Edward, i nalewa do kieliszków. Nie chcę ich dotykać ani pić alkoholu, ale zmuszam się do udawania. Tyle mam mu do powiedzenia, a jednak z trudem znajduję jakiegokolwiek słowa, które zechciałyby wyjść z moich ust.

– Za ciebie i nową książkę, gratulacje – mówię wreszcie z wysiłkiem, stukając się z Paulem kieliszkiem.

– Za nas – mówi Paul i całuje mnie w policzek.

Upijam mały łyk i patrzę, jak on połyka pół zawartości kieliszka. Siedzimy w milczeniu, patrząc w płomień. To dziwne, jak jedna rzecz może znaczyć co innego dla różnych ludzi. Chciałabym, żeby Paul wiedział o dziecku. Pomyśli, że to jakiś cud. No i chyba w pewnym sensie tak jest. Ale nie mogę mu dziś powiedzieć, za dużo się wydarzyło. Chcę, by wspomnienie chwili, kiedy się o tym dowie, było nieskazywane. Sięgam po dłoń Paula w tym samym momencie, kiedy on sięga po swój laptop.

– Laura przysłała mi kilka propozycji co do wyjazdu. Będzie wspaniale. Nowy Jork, oczywiście Londyn, Paryż, Berlin. Dzięki Bogu, że jesteśmy tylko we dwoje, z dzieckiem nigdy nie moglibyśmy wyjechać.

Moja fantazja pęka jak bańka mydlana na wietrze, w jednej sekundzie dryfowała sobie ostrożnie, w drugiej odchodzi w niebyt. Cofam przygotowane słowa i tylko się uśmiecham. Paul zamyka laptop, odkłada go na stolik i upija kolejny łyk. Wbijam wzrok w tańczące na kominku płomienie. Wydają się dzikie i nieposłuszne, aż mam ochotę uciec z pokoju.

– Więc nadal prowadzisz dziennik? – pyta Paul.

– Co? Nie.

Paul sięga za sofę, na jego usta zakrada się psotny uśmiech.

– Może poczytalibyśmy trochę, tak dla zabawy?

Widzę w jego rękach dziennik, na okładce widnieją znajome kręte cyfry, 1992, i pomimo ciepła z kominka ogarnia mnie chłód.

– Mówiłeś, że je odłożyłeś.

Paul źle odbiera mój ton, myśli, że się drocę, że to tylko gra.

– Tylko jeden wpis, no weź.

– Powiedziałaś: „nie”. – Mój głos rozbrzmiewa głośniejsze, niż chciałam, i nagle zdaję sobie sprawę, że stoję.

Jego twarz się zmienia i Paul wyciąga dziennik, żeby mi go oddać. Wyrwam mu go i przyciągam do piersi, jak dziecko, po czym na powrót siadam. Paul gapi się na mnie, ale ja nie mogę oderwać wzroku od kominka, boję się, co mogłoby się stać, gdybym to zrobiła.

– Więc po co je trzymasz, skoro są dla ciebie tak bolesne? – pyta.

Zepsułam cały wieczór i nienawidzę siebie za to. Wszystko psuję. Czuję na twarzy gorąco, a płomienie wydają się jakoś większe, jakby to była tylko kwestia czasu, nim wyciągną się po to, co mi jeszcze zostało.

– Nie trzymałam ich. Znalazłam je na strychu w domu rodziców, kiedy sprzątałam go w zeszłym roku.

Paul odstawia pusty kieliszek obok mojego, którego prawie nie tknęłam. Zamykam oczy, żeby nie widzieć płomieni, ale nadal słyszę ich krzyki.

– Myślałem, że nie mamy przed sobą tajemnic – mówi.

– Bo nie mamy. To nie są moje tajemnice. Te dzienniki należą do Claire.

Teraz Sylwester 2016

Moja siostra nie zawsze była moją siostrą, dawniej była moją przyjaciółką. Wtedy nazywała mnie Taylor; prawie wszyscy mówili mi po nazwisku, bo tak wolałam. Imię Amber nigdy mi się nie podobało: bursztyń, żółtawy pomarańcz. Kojarzyło mi się z kolorem świateł drogowych. Czerwony, żółty, zielony. Na czerwonym stajesz, na zielonym jedziesz, a żółty właściwie nic nie oznacza, nie liczy się, zupełnie jak ja. Byłam przekonana, że to właśnie przez to imię koledzy w szkole mnie nie lubili. Nie nazywali mnie Amber, tylko wymyślali różne przezwiska. Z początku rodziców doprowadzało to do szału, próbowali mnie przekonać, że amber to kamień szlachetny, ale ja wiedziałam, że wcale tak nie jest. Przez całe tygodnie nie reagowałam na nic poza Taylor, więc w końcu oni też zaczęli mnie tak nazywać. Zmieniło się to dopiero, kiedy wyszłam za mąż. Nazwisko Taylor zniknęło, zastąpione przez Reynolds. Wtedy znowu zaczęli mówić na mnie Amber i miałam wrażenie, że stałam się kimś nowym.

Pamiętam, jak mama odłożyła słuchawkę telefonu i powiedziała, że zaproszono mnie na ostatni nocleg do Claire, zanim się wyprowadzi. Nie chciałam jechać, byłam zdenerwowana, że Claire wyjeżdża, ale mama powiedziała, że powinnam to zrobić, że tak będzie słusznie. Myliła się. To był największy błąd w moim życiu, i od tamtej pory za niego płacę.

Mama Claire zamówiła tego wieczoru pizzę, sama raczej nie gotowała. Wciąż pamiętam, jak Claire zaczęła się na nią wydzierać, że nie lubię ananasa – była przerażająca, kiedy wpadała w gniew, zupełnie nad sobą nie panowała. Ja nigdy nie zwracałam się do rodziców w ten sposób i zawsze mnie dziwiło, że ona może sobie na to pozwalać. Jej taty często nie było w domu, przetracał te nędzne grosze, które zarabiał, obstawiając je w zakładach. Ciągłe wyrzucali go z pracy. Jej mama miała lekki problem z piciem i zawsze wydawała się taka smutna i zmęczona, jakby życie ją pokonało. W końcu zrezygnowała nie tylko z życia, ale także z Claire, i dzięki temu zrozumiałam, że ludzie, którzy nic nie robią, są tak samo niebezpieczni jak ci, którzy podejmują działania.

Claire nie była wtedy lubiana w szkole, kipiała gniewem, wściekała się na cały świat i praktycznie na wszystkich, którzy go zamieszkiwali. Jej rodzina często się przenosiła, a ona pakowała się w kłopoty prawie w każdej szkole, do jakiej uczęszczała. Była bardzo bystra. Aż za bystra. Tak jakby poznawszy kogoś, natychmiast zaczynała się nim męczyć, jakby od razu wiedziała, kim i czym dana osoba jest, i ciągle doznawała rozczarowań. Wolała opowieści od prawdziwego życia, tak że część jej najlepszych przyjaciół mieszkała na kartach książek. Ja byłam jej jedyną prawdziwą przyjaciółką. Robiła się zazdrosna, jeśli choćby wspomniałam o kimś innym, więc nauczyłam się tego unikać.

Wciąż codziennie myślę o tym, co się wtedy wydarzyło. Zastanawiam się, czy to wszystko moja wina, czy mogłam coś zrobić, żeby temu zapobiec. Ona była tylko małą dziewczynką, ale przecież ja też. Małe dziewczynki są inne niż mali chłopcy, słodkie

i niewinne, a ich blizny pozostają na całe życie. Ja nadal noszę swoje. To, że ich nie widać, nie znaczy, że nie istnieją.

Tamtej nocy słyszałam, jak Claire wstaje i kręci się po pokoju. Leżałam plecami do niej, ale oczy miałam otwarte. Usłyszałam, jak pociera zapałkę, i poczułam zapach siarki. Myślałam, że chce zapalić świeczkę albo coś takiego – czasem wyłączali u nich prąd, jej rodzice ciągle mieli problemy z płaceniem rachunków. Potem wyszła na korytarz. Czekałam przez jakiś czas, ale kiedy nie wracała, wstałam, żeby zobaczyć, dokąd poszła. W ich domu zawsze było zimno, więc mama spakowała mi nowy różowy szlafrok. Owinęłam się nim mocno i zawiązałam pasek.

Wymknęłam się na korytarz, przeszłam na palcach pod drzwiami mamy Claire i stanęłam przy schodach. Wszystkie drzwi były pozamykane z wyjątkiem tych do łazienki, ale widziałam, że nikogo w niej nie ma. Usłyszałam na dole jakiś hałas i zeszałam po kilku stopniach, starając się poruszać jak najciszej. I wtedy ją zobaczyłam. Co za dziwny widok... Kucnęłam i przyglądałam się przez barierkę, jak Claire kręci się po kuchni.

Była ubrana w piżamę, a na plecach miała swój szkolny plecak. Patrzyłam, jak stoi nieruchomo przed starą białą kuchenką. Przekręciła jedną gałkę i zwyczajnie stała dalej, patrząc na palnik, jakby na coś czekała. Potem przekręciła kolejną. Przez jakiś czas siedziałam nieruchomo, jak wrośnięta w ziemię. Potem Claire bardzo wolno odwróciła głowę w moim kierunku i zdawało mi się, że widzi mnie tam na schodach. Miałam wrażenie, jakby patrzyła prosto na mnie, jej oczy błyszczały w ciemnościach jak u kota. Pamiętam, że miałam ochotę krzyczeć. Gdybym tylko to zrobiła. Claire odwróciła się z powrotem do kuchenki i przekręciła kolejną gałkę.

Wstałam jak najciszej i przekradłam się z powrotem na górę. Nie wiedziałam dokładnie, co się dzieje, ale wiedziałam, że coś złego. Nacisnęłam klamkę drzwi do pokoju jej mamy, ale były zamknięte. Powinnam była zapukać, zrobić coś, cokolwiek, a zamiast tego zwyczajnie wróciłam do pokoju Claire i weszłam do łóżka, wciąż w szlafroku. Chyba miałam nadzieję, że to po prostu zły sen.

Wkrótce nawet w sypialni zaczęło pachnieć gazem, jakby po domu roznosiła się niewidzialna chmura, która wypełniała wszystkie miejsca, wszystkie ciemne kąty. Naciągnęłam kołdrę na głowę z nadzieją, że to wystarczy, by mnie ocalić, ale ktoś ją ściągnął. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą Claire, wciąż z plecakiem. Potrząsała mną, jakbym spała, choć byłam zupełnie wybudzona, a potem uśmiechnęła się do mnie. Do końca życia zapamiętam, co wtedy powiedziała.

Zawsze się tobą zajmę, Amber Taylor. Weź mnie za rękę.

Zawsze robiłam to, co kazała Claire – nadal tak jest. Przystanęła w drzwiach sypialni, jakby zobaczyła ducha. Było ciemno i z początku nie widziałam, na co patrzy. Potem nachyliła się, żeby podnieść żelazny stoper do drzwi po jej Buni. Włożyła go do plecaka. Był w kształcie rudzika, maleńki posążek ptaka, który nigdy nie zdoła ulecieć. Wyprowadziła mnie na korytarz, a potem znowu przystanęła i odwróciła się do mnie, podnosząc palec do ust.

Ćśśś.

Ścisnęła mnie mocno za rękę i ściągnęła po schodach, a z każdym krokiem zapach gazu w moich nozdrzach przybierał na sile. U podnóża schodów skręciła w prawo,

z dala od kuchni, w stronę salonu. Posadziła mnie w fotelu i nachyliła się do kominka. Jej mama zawsze miała w nim naszykowany opał, ale rozpalali wyłącznie w niedzielę. To był tylko mały stosik starych gazet i patyków, czasem na wierzchu leżała jeszcze jakaś świeczka. Claire podpaliła tę nędzną kupkę. Potem rzuciła w ogień pudełko z zapalkami, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła za drzwi, które za nami zamknęła. Nie miałam kapci i pamiętam, jak zimny żwir kasał mnie w stopy, kiedy Claire ciągnęła mnie po podjeździe. Ścisnęła moją rękę tak mocno, jakby myślała, że inaczej ucieknę. Potem powiedziała, żebym nie płakała. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że to robię.

Usiadłyśmy na murku przed domem po drugiej stronie ulicy, nawet przez szlafrok czułam chłód kamienia. Miałam wrażenie, że siedzimy tak bardzo długo. Claire nie odezwała się ani słowem, tylko trzymała mnie mocno za rękę i patrzyła z uśmiechem na dom. Bałam się na nią spojrzeć, więc wbiłam wzrok w swoje gołe stopy, które zaczynały sinieć od zimna. Nie podniosłam głowy, nawet kiedy Claire zaczęła śpiewać.

Mrugaj, mrugaj, gwiazdko ma,

Jaka tajemnica twa?

Tam wysoko jesteś ty,

Światło twe jak ogień skrzy.

Claire uwielbiała piosenki dla dzieci. Mówiła, że przypominają jej Bunię, ale zawsze przekręcała słowa. Należy do ludzi, którzy widzą to, co chcą, a nie to, co naprawdę mają przed oczami.

Dom właściwie nie wybuchł. Wyglądało to bardziej, jakby powoli rozpętał się od tyłu. Rozległ się huk, ale nie tak głośny jak na filmach – brzmiało to jakby ktoś wyciągnął spod cegieł ciszę. Prząd domu wyglądał normalnie, ale wkrótce pojawiły się płomienie tańczące za oknami. Usłyszałyśmy syreny na długo przed tym, nim zobaczyłyśmy wóz strażacki. Wtedy Claire zamilkła, uśmiech zniknął jej z twarzy i po policzkach pociekły łzy. Godzinami opłakiwała rodziców, jak kran, którego nie da się zakręcić. Ja opłakuję ich do dziś.

Tamtej nocy dym stał się częścią mnie. Nieważne, ile razy myłam włosy i szorowałam skórę, wciąż go na sobie czułam. Wkręcił się w moje DNA i mnie odmienił. Claire powiedziała, że zabiła ich dla mnie. Powiedziała, że myślała, że tego właśnie chciałam, żebyśmy mogły być razem, żeby mogła mnie chronić. Od tamtej pory przez całe życie się zastanawiam, czego człowiek musi doświadczyć, żeby zrobić coś takiego. Claire mówiła, że oni jej nie kochali. Nie wiem, czy to prawda. Istnieją różne rodzaje miłości, nie da się objąć ich wszystkich jednym słowem. Niektóre łatwo wyczuć, inne są bardziej niebezpieczne. Mówi się, że nic nie może się równać z miłością matki, ale kiedy jej zabraknie, wtedy nic nie może się równać z nienawiścią córki.

Odgłos karetki na zewnątrz zaskakuje mnie i wytrąca mi z głowy wspomnienia. Patrzę na płytkę w szpitalnym suficie, która nie do końca pasuje do reszty, i dopiero po kilku sekundach uświadamiam sobie, że mam otwarte oczy. Nie czuję się jak we śnie, to chyba rzeczywistość. Tak jakby moje powieki same z siebie postanowiły się unieść. W pokoju panuje ciemność i nie mogę ruszyć głową, ale widzę, jestem tego pewna. Mrugam raz, potem drugi. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, boję się, że już się nie otworzą, ale jednak to robią. Powoli mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności

i widzę swój pokój. Okno jest dokładnie tam, gdzie sądziłam, ale mniejsze, niż sobie wyobrażałam. Widzę stolik przy łóżku i kilka kartek z życzeniami powrotu do zdrowia, choć niewiele. Tuż za rozciągającym się przede mną bezużytecznym, połamanym ciałem dostrzegam drzwi. Słyszę kogoś na zewnątrz i widzę, jak zaczyna się przekręcać klamka. Instynkt mówi mi, że powinnam zamknąć oczy, i pogrążam się z powrotem w ciemności, w moim świecie, gdzie można mnie widzieć, ale nie słyszeć.

Teraz Sylwester 2016

Na zewnątrz stoi kilka osób. Nie rozpoznaję ich głosów, więc trzymam oczy zamknięte. Zaczynam wsłuchiwać się w słowa, choć to tylko wydestylowane fragmenty dźwięku, wciskające się maleńką szczeliną między drewnem a ścianą. Potem drzwi uchylają się jeszcze odrobinę i szybkie zdania robią się akurat na tyle wyraźne, bym wiedziała, że nie są to głosy, które chcę słyszeć.

– Nie, naprawdę. Idź już, prześpij się kilka godzin. Nie ma powodu, żebyśmy wszyscy mieli dupny Nowy Rok. Zobaczmy się rano.

To Edward.

Nie otwieram oczu i staram się zachować spokój. Edward zamyka drzwi i słyszę odgłos przekręcanego zamka. Nie zapala światła, podchodzi cicho do łóżka.

– Witam, pani Reynolds, jak się dzisiaj mamy? Widzę, że bez zmian. Jaka szkoda.

Podchodzi do okna i słyszę dźwięk zasuwanych zasłon. Teraz, kiedy już widziałam pokój na własne oczy, mogę go sobie wyobrazić o wiele dokładniej. Czuję się mniej jak we śnie, a bardziej tak, jakbym próbowała zobaczyć coś z zasłoniętymi oczami.

– Już Nowy Rok. Wiedziała pani o tym? A ja robiłem sobie takie nadzieje na ten dzień... Myślałem, że spędzę go z jedną dziewczyną, którą kiedyś znałem, ale ona... spieprzyła... sprawę. Więc na ochotnika zgłosiłem się na dodatkową nocną zmianę, żeby dotrzymać jej towarzystwa. I wreszcie zostaliśmy tylko we dwoje, tak jak powinno być od samego początku.

Słyszę, że robi coś przy łóżku, ale nie wiem co.

– Przez ostatnie kilka dni dużo myślałem o twoim mężu i muszę powiedzieć, że jest zupełnie inny, niż się spodziewałem. Przy okazji, policja nadal uważa, że to on ci to wszystko zrobił, ale to żadna niespodzianka po tym, co im naopowiadałem. Dziwię się, że w ogóle wpuszczają go do szpitala. Powiedziałem glinom, że jestem jednym z tutejszych lekarzy, i mi uwierzyli. No, ale ty przecież też uwierzyłaś, prawda?

Staje przy łóżku i zaczyna głaskać mnie po głowie. Mimowolnie wstrzymuję oddech. Edward zakłada mi włosy za uszy i słyszę walenie swojego pulsu, który stara się mnie ostrzec.

– W sumie nie jest nieatrakcyjny, ten twój mężulek, „Ponury Paul”, ale w ogóle o sobie nie dba; szczerze mówiąc, wygląda fatalnie. Czy to dlatego do mnie wróciłaś? Zachciało ci się prawdziwego faceta, a nie jakiegoś wychudzonego kurdupla?

Przesuwa palcem po mojej twarzy, gładzi po policzku i kładzie mi rękę na ustach.

– Jeśli nie chcesz odpowiadać, w porządku, rozumiem. Zresztą wiem już z doświadczenia, że z tych ust wychodzą tylko kłamstwa.

Nachyla się i mówi mi prosto do ucha:

– Musisz przestać wreszcie kłamać, Amber. Bo w końcu się doigrasz.

Nie mogę oddychać i zaczynam myśleć, że zaraz go odepchnę, ale wtedy przypominam sobie, że nie mogę. Edward odsuwa rękę od mojej twarzy.

– Faktycznie sprawia wrażenie, jakby naprawdę cię kochał, tyle mu przyznam. Ale to

ci nigdy nie wystarczało, prawda?

Próbuję zachować spokój, kontrolować oddech, zapanować nad sobą. Zastanawiam się, czy znowu mnie pocałuje, i na myśl o jego języku w moich ustach robi mi się niedobrze.

– Nie pierdolił cię, jak trzeba? O to chodzi? Bo pamiętam, że lubiłaś porządne rżnięcie, co, Amber? Pewnie ci ciężko, leżysz tu tyle czasu i nikt nie dba o twoje potrzeby. Jestem gotów wziąć to na siebie. Jako członek obsługi medycznej tej placówki muszę dopilnować, byś czuła się tu jak najlepiej.

Jego ręka gładzi moje prawe udo i wsuwa się pod kołdrę. Odnajduje drogę między moje nogi i bez trudu je rozsuwa. Jego palce wsuwają się we mnie, a ja krzyczę w głoście.

– I jak? Lepiej? – pyta Edward. – Mów głoście, bo nie słyszę.

Palce napierają mocniej.

– Milczenie uznaję za odpowiedź odmowną. Jaka szkoda. Ale w końcu trudno komuś pomóc, kiedy nie jest się prawdziwym lekarzem. I trudno zostać lekarzem, kiedy jakaś durna pizda sabotuje twoją karierę, wysyłając jakieś pieprzone listy.

Jego szept przechodzi w krzyk. Przecież ktoś musi go słyszeć.

Dlaczego tu nie przychodzą? Dlaczego nikt nie przychodzi mi na ratunek?

– Złamałaś mi serce, zniszczyłaś mi karierę i myślałaś, że ujdzie ci to na sucho, prawda?

Czuję drobinki śliny, kiedy pluje na mnie słowami.

– Przez ciebie skończyłem jako pierdolony noszowy, ale w porządku. Mam klucze do całego szpitala, mogę zamknąć każde drzwi i otworzyć każdą szafkę z lekami. I wiem różne rzeczy. Nie zapomniałem, czego się nauczyłem na studiach. Wiem, jak cię tu zatrzymać tak, żeby nikt nic nie podejrzewał.

Oddycha szybciej. Muszę się napominać, że nie wolno mi się ruszyć, nie wolno mi wydać żadnego dźwięku.

– Masz coś do powiedzenia? Nie? – Sapie jak pies. – Pomyśleć, że ci to wybaczyłem. Obserwowałem cię, czekałem, aż wreszcie odkryjesz, że popełniłaś błąd, i wszystko naprawisz. Nadal myślałem, że mamy jakąś szansę. Ale takie kobiety jak ty nigdy się nie uczą, dlatego sam musiałem dać ci nauczkę, rozumiesz? – Na chwilę przerywa to, co robi, i już myślę, że na tym koniec, ale nie. – Widziałem cię tu dwa lata temu, kiedy ta suka, twoja siostra, przyjechała na poród. Przeszłaś tuż obok mnie. Dwa razy. Jakbym był nikim, jakbym był dla ciebie niczym. Tamtego dnia poszedłem za tobą do domu. Kocham cię od prawie dwudziestu lat, a ty nawet mnie nie pamiętałaś. No, to może teraz zapamiętasz.

Słyszę, jak rozpina pasek. Słyszę dźwięk rozsuwanego zamka. Edward włącza lampkę nad łóżkiem, po czym gwałtownie ściąga ze mnie pościel i podciąga moją koszulę.

– Ale obleśne włosy – mówi i raz za razem przesuwa palec między moimi nogami. – Na studiach się depilowałaś, dbałaś o siebie. A teraz patrz, jak wyglądasz. Właściwie robię ci przysługę. Powinnaś być wdzięczna.

Łóżko trzęsie się, kiedy na nie wchodzi, jego skóra przylega do mojego ciała, jego ciężar mnie przygniata, czuję na twarzy jego oddech. Wpycha się we mnie i próbuje wyłączyć umysł. Czuję się, jakby w ogóle nie chodziło już o mnie, tylko ktoś zmusza

mnie do patrzenia na kogoś innego, mimo zamkniętych oczu. Góra szpitalnego łóżka uderza o ścianę, metronom obrzydzenia wybija w mojej głowie miarowy rytm. Wiem, że nie mogę się opierać, jest za silny, przegrałabym.

– Jak bardzo cię teraz boli, w skali od jednego do dziesięciu?

Zadaje mi ból i to go podnieca. Muszę leżeć cicho i bez ruchu. Inaczej on mnie zabije, jestem tego pewna. By żyć, muszę udawać martwą.

Gdy kończy, natychmiast ze mnie schodzi. Przez chwilę panuje cisza i myślę, że Edward zaraz sobie pójdzie, lecz on wciąż stoi nade mną. Słyszę jego przyspieszony oddech. Czuję jego zapach. Słyszę jakiś odgłos, jakby manipulował przy mojej kroplówce. Bez ostrzeżenia znowu wkłada we mnie palce, a potem wyciera je o moją twarz, wsuwa mi do ust, pociera o moje zęby, dziąsła i język.

– Czujesz? To ty i ja, tak smakujemy razem. Nie było tak dobrze, jak się spodziewałem, ale w końcu seks z tobą zawsze przypominał pieprzenie trupa.

Słyszę, jak zapina pasek. Z powrotem zakrywa moje ciało pościelą.

– Dobranoc, Amber. Śpij dobrze.

Wyłącza światło i wychodzi.

Mam wrażenie, jakbym doszła do ostatniej kropki w książce i po niej nic już nie ma. Boję się, że nie będę w stanie znowu otworzyć oczu, i boję się, co zobaczę, jeśli mi się uda. Nic już nie czuję, więc zaczynam odliczać. Po tysiąc dwustu sekundach zaczynam wierzyć, że jestem bezpieczna. Dwadzieścia minut skleiło się w całość, tworząc mur oddzielający mnie od niego. To za mało, ale kiedy uchylam powieki, widzę przynajmniej, że fizycznie już go tu nie ma. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że moje palce się poruszają, odliczałam nimi czas. Mogę poruszyć rękami. Wciąż jest ciemno i moje oczy oswajają się z mrokiem. Na razie jedyne, co do mnie dociera poza widokiem łóżka, to szary i gęsty jak chmura ból. Zastanawiam się, co jeszcze mogę zrobić, skoro poruszam rękami. Unoszę prawe ramię, powoli, jakby mogło się połamać. Wydaje się ciężkie, trudno mi nad nim zapanować, jakbym niosła przeładowaną tacę. Widzę cienką rurkę przymocowaną do grzbietu dłoni i wyciągam ją, krzycząc z bólu. Muszę wezwać pomoc i to szybko, ale wszystko wydaje się tak strasznie wolne, tak strasznie trudne.

Nadal nie mogę ruszyć resztą ciała. Rozglądam się po wszystkim, co widzę ze swojej pozycji, i mój wzrok pada na czerwony sznurek. Wygląda on jak coś, za co należy pociągnąć, kiedy się potrzebuje pomocy, a ja zdecydowanie jej potrzebuję. Wyciągam prawe ramię, które z drżeniem ustawia się na pozycji, potrącając przy okazji kroplówkę. Zatrzymuję się i patrzę na do połowy pustą torebkę przejrzystego płynu, kołyszącą się łagodnie na stojaku. Na pewno zawiera narkotyki, którym faszkuje mnie Edward. Ściągam ją szarpnięciem i udaje mi się wrzucić ją do bocznej szafki. Mam nadzieję, że ktoś ją znajdzie i domyśli się, co robić. Coś jest zdecydowanie nie tak, moje oczy chcą się zamknąć i zaczynają natarczywie do tego dążyć. Znowu wyciągam rękę do czerwonego sznurka, tym razem moje palce owijają się wokół niego i pociągam. Widzę, że nad łóżkiem zapala się czerwone światełko, i pozwalam ramieniu opaść. Moje dłonie zaciskają się na pościeli tak mocno, że paznokcie wpijają mi się w skórę. Sen wciąga mnie pod powierzchnię. Opuszczam powieki i czuję, jak zapadam w ciemność.

Wydaje mi się, że chyba umieram, ale jestem tak zmęczona życiem, że może to i dobrze. Pozwalam, by mój umysł się wyłączył. Wysoko w górze, ponad zimnymi, czarnymi falami, słyszę głosy, ale słowa nie chcą się rozplątać. Dwa z głosów nurkują pod powierzchnię, by mnie odnaleźć.

– Tracimy ją.

Jestem stracona.

Wtedy Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016

Boże Narodzenie to czas na tolerowanie rodziny, której się nie wybierało.

– Śliczny masz szal – mówi Claire, zapraszając nas do przedpokoju.

Paul i ja wchodzimy za nią do środka. Mimo wczorajszej sprzeczki na jarmarku w naszym zachowaniu nie czuć teraz ani odrobiny napięcia, obie jesteśmy świetnie w udawaniu. To coś, co zawsze nas łączyło. Mimo to wątpię, czy Claire byłaby w stanie zachować spokój, gdyby wiedziała, że Paul czytał jej dzienniki z dzieciństwa. Nie wie nawet, że ja je czytałam. To dziwne uczucie, czytać o swoim życiu z punktu widzenia innej osoby. Twoja wersja prawdy robi się wtedy nieco odkształcona, bo nie należy już tylko do ciebie.

Wchodzimy do nowej kuchni połączonej z jadalnią.

Wszędzie leżą zabawki, lecz poza tym jest nieskazitelnie czysto. Dużo tu zmienili od śmierci rodziców, prawie nie poznaję domu; niemałe osiągnięcie, bo przecież mieszkałam w nim od urodzenia. Claire wszystko pozmieniała, pozaklejała tapetą pęknięcia w naszej rodzinie. Ciągłe sobie powtarzam, że to była rozsądna decyzja ze strony rodziców, by zostawić dom jej i Davidowi. Im był bardziej potrzebny niż nam, poza tym tuż obok jest warsztat Davida, tam się poznali.

– David przewija na górze maluchy, zaraz zejdzie. Napijcie się czegoś?

Długie jasne włosy Claire są ściągnięte do tyłu, odsłaniają nieskazitelną, promienną twarz. Oczywiście nie zawsze była blondynką, ale od tylu lat umiejętnie się tleni, że teraz nikt by nie zgadł. Jej czarna sukienka wygląda na nową, obcisła jej ciało. W porównaniu z Claire czuję się jak szkarada. Nie wiedziałam, że mamy się elegancko ubrać. Co prawda jestem nieco starsza, ale Claire wygląda o wiele młodziej, biorąc pod uwagę, że urodziłyśmy się tego samego dnia w odstępie zaledwie kilku godzin.

– Ja nie, dziękuję – odpowiadam.

– Nie bądź głupia, przecież są święta! – woła Claire. – Miałam otworzyć na początek szampana...

– Brzmi nieźle – mówi Paul.

– No dobrze, może jeden kieliszek – ustępuję, patrząc na schowek kuchenny.

Po drugiej stronie drewnianych drzwi były nacięcia znaczące, ile co roku urosłam. Claire wszystko zamalowała.

Siadamy na narożnej sofie i czuję się jak dodatek do zdjęcia w jednym z wnętrzarskich magazynów Claire. Kuchnia wygląda, jakby nigdy w niej nie gotowano, a jednak coś niesamowicie pachnie. Moja siostra, idealna pani domu. Wchodzi David, niosąc po dziecku na każdym ramieniu. Jest za wysoki i zawsze nieco się garbi, jakby ciągle się bał, że uderzy o coś głową. Ostatnio zaczął mocno łysieć na czole i różnica dziesięciu lat między nim a Claire zaczyna się robić naprawdę widoczna.

Miałyśmy po szesnaście lat, kiedy naprawił samochód taty i w ramach zapłaty rozdzwiczył moją siostrę. Byłam tym wstrząśnięta i nieco zdegustowana. Claire sądziła, że to tylko zazdrość, ale chodziło o coś innego. Myśl, że David coś jej zrobił,

wzbudzała moje obrzydzenie. Pamiętam, jak Claire zaczęła wymykać się z domu, żeby się z nim spotykać. Często wychodziłam razem z nią, a potem czekałam na zewnątrz, usiłując nie słuchać, kiedy oni robili w środku różne rzeczy. Jednego takiego wieczoru siedzieliśmy potem w parku, tylko ona i ja. Było to na długo po tym, jak David poszedł do pubu, do którego my nie miałyśmy jeszcze wstępu. Kiedy opróżniłyśmy butelki z cydrem, które nam przyniósł, wyszliśmy spod osłony drzew. Zrobiło się tak późno, że żelazna brama parku była już zamknięta na kłódkę i gruby łańcuch.

Nie przejęliśmy się tym, nasze nastoletnie ciała bez trudu mogły przedostać się na drugą stronę ogrodzenia, ale Claire powiedziała, że chce najpierw odpocząć, i położyła się na wybetonowanej ścieżce. Ułożyłam się obok niej, a ona wzięła mnie za rękę. Ścisnęła ją lekko trzy razy, więc odpowiedziałam tym samym. Leżaliśmy tak w świetle księżycy, śmiejąc się po pijaku ze wszystkiego i z niczego, aż nagle Claire przerwała i odwróciła się do mnie, opierając głowę na łokciu. Zaczęła mówić szeptem, jakby drzewa i trawa mogły nas podsłuchać. Nie pytałam, co robi z Davidem, kiedy ja czekam na zewnątrz, ale sama mi powiedziała. Mówiła, że to przyjemne. Pamiętam, że zrobiło mi się niedobrze. Czułam się trochę zmieszana i bardzo zdradzona. Sądziłam, że Claire popełnia duży błąd. Ślub, dwoje dzieci i niemal dwadzieścia wspólnych lat sugerują jednak, że może się myliłam. Nigdy nie zadawała się z innym mężczyzną. Nigdy jej to nie interesowało. Kiedy Claire postanawia kogoś pokochać, to na całe życie.

– Jesteście! – woła tubalnym głosem David. Ma tendencję do mówienia głośniejszym głosem niż trzeba. – Przydadzicie się na coś i zajmijcie się tą dwójką, dobrze?

Daje nam po dziecku i idzie do łódki, łapiąc po drodze Claire za wyrzeźbioną na jodze pupę. Claire chyba to nie przeszkadza, w ogóle tego nie zauważa. Ja biorę Katie, a Paul Jamesa.

Bliźniaki wydają mi się bardzo obce, choć to moi siostrzeńcy. Paul ma rękę do dzieci, może dlatego zawsze pragnął je mieć. Wydaje właściwe odgłosy, emanuje odpowiednią energią. Ode mnie wymaga to większego wysiłku i nie zawsze wiem, co robić. Próbuje rozmawiać cicho z Katie, pytam, czy myśli, że Święty Mikołaj już do nich zajrzał. Claire zupełnie w tym roku poniosło z prezentami i dekoracjami – mówi, że to wszystko dla bliźniaków, jakby w ogóle mogły to zapamiętać. Katie szarpie mój szal. Wysuwam materiał z jej maleńkiej piąstki – szal musi pozostać na miejscu, zakrywa siniaki w kształcie dłoni na mojej szyi. Katie nie podoba się to i zaczyna płakać. Wszystkie moje próby uspokojenia jej spełniają na niczym, więc Paul proponuje zamianę. Podaje mi Jamesa, a gdy tylko bierze na ręce Katie, ona natychmiast przestaje krzyczeć. Patrzy na mnie nieco podejrzliwie, jakby wiedziała więcej, niż może wiedzieć. Sprawdzam, czy szal jest na swoim miejscu.

Paul będzie świetnym tatą. Powiem mu dziś wieczorem. To będzie mój tegoroczny prezent na Boże Narodzenie, nie mogę mu dać nic innego, czego już by nie miał. Cieszę się, że jeszcze tego nie zrobiłam. Nie potrafiłby ukryć tego przed Claire, a nie chcę, żeby już się dowiedziała. Powiem mu, gdy tylko wrócimy do domu, kiedy zostaniemy sami.

Popołudnie ciągnie się wolno, a my wszyscy jemy o wiele za dużo i zatykamy przerwy w jedzeniu uprzejmą rozmową i historiami, którymi zanudzaliśmy się nawzajem już zbyt wiele razy. Wyobrażam sobie, że ten scenariusz powtarza się

właśnie w tysiącach domów w całym kraju. Przez kilka godzin odgrywam różne role: troskliwej siostry, kochającej żony, uwielbianej cioci. Piję wino maleńkimi łyżkami, żeby nikt mi nie dolewał. Kiedy Claire idzie do kuchni, wykorzystuję okazję, na którą czekałam, i proponuję, że jej pomogę. Paul rzuca mi niezadowolone spojrzenie; nie lubi zostawać sam na sam z Davidem, mówi, że nie mają ze sobą nic wspólnego. Bo to prawda.

– Coś się stało – mówię szeptem, gdy tylko wchodzimy z Claire do kuchni.

– Co takiego? – pyta, stojąc plecami do mnie.

– Coś, co nie powinno było się wydarzyć.

– O czym ty mówisz? – dopytuje, ładując talerze do zmywarki.

Odwaga mnie zawodzi.

– O niczym. Nieważne. Sama się tym zajmę.

Claire kończy robotę i odwraca się twarzą do mnie.

– Amber, czy wszystko w porządku?

Oto moja szansa. Wiem, że jeśli powiem jej o Edwardzie, ona mi pomoże. Wpatruję się w jej twarz, chcę wreszcie komuś powiedzieć, jak bardzo się boję, ale słowa nie chcą przyjść. To nie jest odpowiednia chwila i przypominam sobie, że jej przecież też się boję. Claire mogłaby mnie zmusić, żebym poszła na policję. Mogłaby powiedzieć Paulowi. Mogłaby zrobić coś gorszego.

– Tak, wszystko w porządku.

Teraz to ona z kolei patrzy na mnie uważnie; wie, że kłamię. Muszę coś jeszcze powiedzieć.

– Po prostu jestem zmęczona, muszę trochę odpocząć, to wszystko.

– Mnie też się tak wydaje. Ciągłe się denerwujesz o nic.

Reszta dnia mija błyskawicznie. Bliźniaki jedzą, śpią, bawią się, płaczą, powtórka. Dorośli marzą, by sami mogli robić to samo. Mama i tata zawsze kazali nam czekać na prezenty aż do popołudnia i najwyraźniej teraz kontynuujemy tę dość przygnębiającą tradycję. Patrzymy, jak dzieci otwierają pięknie opakowane podarunki, bardziej zainteresowane opakowaniem niż zawartością, co było do przewidzenia. Potem sami wymieniamy się prezentami, zapakowanymi schludnie z paragonami bez ceny na wypadek, gdyby ktoś chciał coś zwrócić do sklepu. Otwieram jeden z podarunków od Paula i chwilę trwa, nim dociera do mnie jego znaczenie. Dziękuję i natychmiast staram się zmienić temat.

– Czekaj, czekaj, co tam masz? – pyta Claire. Lubi, kiedy otwieramy prezenty po kolei, żeby wszyscy widzieli, co dostała reszta.

– To dziennik – mówię.

– Dziennik? A co, chcesz być drugą Anną Frank? – śmieje się David.

Paul wydaje się zmieszany.

– Pomyślałem, że jej się spodoba, bo...

Wchodzę mu w słowo, zanim może dokończyć zdanie.

– Śliczny, dziękuję – mówię i całuję go w policzek.

– Prowadziłam kiedyś dziennik – mówi Claire. – Zawsze miałam wrażenie, że to świetna terapia. Czytałam gdzieś, że to dobrze robi na lęki, jak się wszystko zapisze. Powinnaś spróbować, Amber.

Kiedy wszyscy mamy już dość udawania szczęśliwej rodzinki, pomagam Davidowi ułożyć bliźniaki do snu. Czytam bajkę, którą czytałam im już wcześniej, i zdumiewam się, jak szybko zasypiają. Wychodząc z ich pokoju, zauważam bryłę żelaza w kształcie rudzika, która podpiera otwarte drzwi. Rudzik należał do Buni Claire. Do tej pory go trzyma, to jedyny staroć w całkowicie odnowionym domu. Schodzę na dół, gdzie Paul i Claire rozmawiają cicho w kuchni. Na mój widok milkną i następuje chwila ciszy, o ułamek sekundy za długa, aż wreszcie Paul uśmiecha się w moim kierunku.

Wtedy

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – popołudnie

Paul i ja wracamy w milczeniu do domu. Paul idzie szybko, tak że muszę się spieszyć, by za nim nadążyć. Zimne powietrze wypełnia mglista mżawka, ale nie przeszkadza mi to, cieszę się, że jestem na zewnątrz, że wyszłam wreszcie z domu Claire. Bo teraz należy on już całkowicie do niej. W jego ścianach nie zostało nic po mnie, nawet wspomnienia nie są moje. To życie, które powinnam była już dawno pozostawić za sobą, ale coś zawsze powstrzymywało mnie przed zmianą. Strach przed nieznanym jest zawsze większy niż strach przed tym, do czego się już przyzwyczailiśmy.

Ulice są puste. Podobają mi się ta cisza i ten bezruch. Pokój ludziom dobrej woli. Wszyscy siedzą w domach z krewnymi, których przez resztę roku nie będą musieli oglądać. Ładują w siebie indyka, oglądają bzdury w telewizji, rozpakowują prezenty, których ani nie chcą, ani nie potrzebują. Za dużo piją. Za dużo mówią. Za mało myślą.

Kiedy mijamy stację benzynową, mżawka przechodzi w deszcz. Stacja jest zamknięta, zresztą jak wszystko. Byłam na niej tylko dwa razy. Pierwszy raz kilka tygodni temu, chciałam zadać pytanie. To nic takiego, ludzie ciągle zadają pytania. Kiedy skończyłam mówić, kasjer zmierzył mnie nieco twardszym spojrzeniem, ale w końcu stwierdził, że nie wyglądam na kogoś, kto chciałby ich obrabować. Powiedział, że nagrania z monitoringu trzymane są przez tydzień, a potem automatycznie kasowane. Podziękowałam i odczekałam chwilę, na wypadek gdyby chciał wiedzieć, czemu pytam. Nie chciał, więc wyszłam. Zapomniał o mnie, zanim doszłam do drzwi.

Drugi raz był nieco później.

Tamtego dnia, kiedy odwiozłam ją po pracy, bo źle się czuła, Madeline nie okazała specjalnej wdzięczności. Pomogłam jej wejść do domu, a ona wepchnęła mi do ręki kartę kredytową i kazała zatankować swój samochód na stacji za rogiem. Nie podobało jej się, że bak jest prawie pusty. Wytłumaczyła mi, że następnego dnia przed pracą nie będzie miała czasu sama się tym zająć. Spodziewała się, że jej żądanie mnie zdenerwuje, więc zrobiłam minę odpowiadającą jej oczekiwaniom, ale w głębi serca byłam całkiem zadowolona z siebie. Nie na próżno musiałam znosić smak benzyny w ustach po tym, jak na biurowym parkingu odciągnęłam paliwo z jej baku. Nauczyłam się tej sztuczki w szkole, kiedy pomagałam sprzątać klasowe akwarium. Wprawdzie od razu wszystko wypłułam, ale i tak przez całe godziny czułam na języku smak benzyny.

– Może innych nabrałaś tą swoją pozą dobrej duszyczki, ale nie mnie – mruknęła jeszcze Madeline, gramoląc się na schody stopień po stopniu.

W połowie drogi przystanęła i odwróciła się, żeby na mnie popatrzeć. Na jej bladej i spoconej okrągłej twarzy pojawił się zwyczajny uśmiech. Madeline zawsze potrafiła dobrać słowa, ale te, które wybrała tego popołudnia, naprawdę zapadły mi w pamięć.

– Przejrzałam cię na wskroś, Amber. Nie zapominaj o tym. Jesteś leniwa i głupia, jak całe twoje pokolenie. Dlatego właśnie nigdy do niczego nie dojdiesz. – Z tymi słowami odwróciła się i zaczęła dalej wchodzić po schodach, które kiedyś znałam i na których siedziałam.

Od czasu pożaru dwadzieścia pięć lat temu dom zmienił się nie do poznania, zresztą nic dziwnego, nowe schody znajdują się jednak w tym samym miejscu, a gdybym skierowała głowę w prawo, niemal byłabym w stanie wyobrazić sobie włączającą gaz Claire. To ona powinna była odziedziczyć ten dom po śmierci rodziców – była pewna, że tego chciałaby Bunia, ale jej matka chrzestna, Madeline Frost, dopilnowała, by Claire nigdy nie dostała za niego nawet grosza.

Tankując samochód, a potem kupując kanistry, napełniając je benzyną i wstawiając do bagażnika, zastanawiałam się nad tym, co powiedziała Madeline. Myślałam o tym, płacąc jej kartą kredytową i słyszałam jej słowa w głowie, kiedy wycierałam bawełnianą szmatką kierownicę i wszystko inne, czego dotykałam.

Gdy idziemy teraz z Paulem – razem, ale samotnie – i mijamy ulicę, przy której mieszka Madeline, odwracam się, by rzucić okiem na jej dom. Po raz pierwszy dochodzi do mnie, że wygląda on zupełnie jak każdy inny. Mogłaby w nim mieszkać jakaś rodzina, bawić się w świąteczne zabawy i wspólnie tworzyć wspomnienia. Mogłyby tam być dzieci, wnuki, zwierzęta, hałas i śmiech. Mogłyby, ale wiem, że ich nie ma. W środku znajduje się tylko jedna osoba, jestem tego pewna. Jedna smutna, samotna, żalonna i pokręcona osoba. Osoba kochana tylko przez obcych ludzi, którzy uwierzyli w wersję jej, jaką słyszą w radiu. Osoba, za którą nikt nie będzie tęsknił.

Przedtem
Czwartek, 7 stycznia 1993

Kochany Pamiętniczku,
dzisiaj mieliśmy pogrzeb. Było dziwnie, bo przyszło bardzo mało osób, nie tak jak na pogrzebach w telewizji. Moja ciocia Madeline została zaproszona, ale się nie zjawiała. To jedyna krewna, jaka mi pozostała, a nawet nie wiem, jak wygląda. Nieważne. Teraz mam nową rodzinę. Płakałam, kiedy zobaczyłam trumny, bo wiem, że tak wypada, ale nie brakuje mi mamy i taty. Cieszę się, że już ich nie ma, bez nich jest o wiele lepiej. Od pożaru mieszkam u Taylor i jest super. To tak, jakby całe moje poprzednie życie było jedną wielką pomyłką, jakbym powinna była się urodzić w tej rodzinie. Jedyne, co naprawdę doprowadza mnie do łez, to myśl, że nigdy już nie będę mogła wrócić do domu Buni. Nie mogę już siadać w jej ulubionym fotelu ani spać w jej łóżku. W tym domu było wszystko, co mi po niej zostało. Mówią, że teraz dom należy do cioci Madeline, w każdym razie to, co z niego zostało.

U Taylor dostałam masę nowych ubrań i książek, i nawet własną sypialnię. Na początku dzieliłyśmy pokój, ale Taylor nie dawała mi spać. Cały czas śni jej się ten pożar i budzi się z krzykiem. To bardzo irytujące. A czasami w ogóle nie może zasnąć. Śpiewam jej tę piosenkę, którą śpiewała mi Bunia, kiedy sama nie mogłam usnąć. „Jadą, jadą misie, tra la la la la”. Nie jestem pewna, czy to pomaga.

Od tamtej nocy Taylor w ogóle bardzo dziwnie się zachowuje. Nie wiem czemu, nic jej się nie stało i nie umarł nikt, na kim by jej zależało. Zagroziła, że na mnie poskarży, ale nie zrobi tego. Powiedziałam jej, co się stanie, jeśli piśnie choć słówko. Ciągle jednak robi dziwne rzeczy, na przykład stoi przed kuchenką i się na nią gapi. I zaczęła skubać sobie skórki na ustach, czasem tak mocno, że aż krwawią. Obrzydliwość. Mama Taylor powiedziała, że różni ludzie różnie sobie radzą z różnymi rzeczami i że Taylor po prostu potrzebuje czasu. Zabrała ją do szpitala, żeby z kimś o tym porozmawiać – jej zdaniem to może pomóc. Nie byłabym tego taka pewna.

Ja też musiałam po pożarze rozmawiać z wieloma osobami. Z lekarzami w szpitalu, a potem z policją, i dwa razy w tygodniu muszę chodzić na spotkania z kobietą o imieniu Beth. Beth pracuje w opiece społecznej, co oznacza, że stara się pomagać ludziom. Ma wielkie, smutne oczy, którymi nie mruga, oraz włochatego psa, który wabi się Cygan. Nigdy go nie widziałam, ale jej ubrania zawsze są całe w sierści i kiedy rozmawiamy, Beth wybiera kłaki i strząsa na podłogę. Mówi bardzo cicho i wolno, jakbym mogła czegoś nie zrozumieć, i zawsze chce wiedzieć, czy wszystko ze mną w porządku, ale nigdy zwyczajnie nie pyta o to wprost.

To właśnie Beth powiedziała mi o cioci Madeline. Myślę, że ciocia jest chyba słabego zdrowia, bo nie była na pogrzebie i nie może sama pisać

listów. Pisze je za nią prawnik, a potem Beth odczytuje mi fragmenty. Czasem jej duże oczy przesuwają się dalej, ale usta milkną, i zastanawiam się, czego takiego nie chce mi czytać. Nie wiedziałam właściwie, co to znaczy, kiedy powiedziała, że ciocia Madeline to moja matka chrzestna. Beth odwróciła wzrok i wyjaśniła podłódze, że zazwyczaj oznacza to kogoś, kto zajmie się tobą, jeśli rodzice nie są już w stanie. Nie odpowiedziałam. Nie chciałam, żeby zajmował się mną ktokolwiek poza mamą Taylor. Potem Beth powiedziała, że Madeline bardzo mnie kocha, ale nie sądzi, by mogła się mną opiekować. Mówiła dalej z miną jeszcze smutniejszą niż zwykle, ale ja czułam wielką ulgę, aż nagle powiedziała, że może będę musiała zamieszkać w domu dziecka, póki nie znajdą dla mnie jakiejś rodziny adopcyjnej. Kiedy dziadek zamieszkał w obcym domu, to zmarł. Ja nie chcę umrzeć. W tym momencie zniechęciłam ciocię Madeline za to, że nie chciała się mną zająć. Nie obchodzi jej, czy będę żyła, czy umrę, ale nawet nie wiem, kim ona jest, więc gniew rośnie mi w żołądku i uwiera, zamiast znaleźć ujście.

Beth zostawiła mnie samą w pokoju i powiedziała, żebym pobawiła się zabawkami. Nie chciałam, nie jestem już dzieckiem, ale ona stwierdziła, że powinnam to zrobić, a potem po prostu wyszła. Wiedziałam, że obserwuje mnie przez lustro, widziałam to na filmach, więc wstałam i podeszłam do pudła z zabawkami. W środku była lalka, wyglądała na drogą, nie taką byle jaką z plastiku. Posadziłam ją sobie na kolanach i powiedziałam, jak bardzo mi smutno z powodu śmierci mamy i taty, i jaka jestem wdzięczna, że rodzice Taylor są dla mnie tacy dobrzy. A potem odmówiłam krótką modlitwę i nawet powiedziałam „Amen” na końcu, bo zdawało mi się, że Beth należy do ludzi, którym coś takiego by się spodobało. I tak właśnie było. Wróciła do pokoju i powiedziała, że mogę już iść i nawet zabrać ze sobą lalkę. „Za to, że byłaś taka dzielna”. Postanowiłam, że dam tę lalkę Taylor. Powiem, że ona będzie jej pilnować, nawet pod moją nieobecność. Bardzo mi się spodobał ten pomysł, aż się uśmiechnęłam, a wtedy i Beth się uśmiechnęła, bo myślała, że sprawiła mi przyjemność.

Nie jestem głupia i wiedziałam, co muszę zrobić. Tamtej nocy zaczęłam płakać w swoim pokoju, akurat na tyle głośno, żeby mama Taylor mnie usłyszała. Weszła bez pukania, ale nie przeszkadzało mi to, bo to inne drzwi w innym domu, a ona jest inną mamą. Otuliła mnie porządnie kołdrą, tak jak robiła to Bunia, a potem siedziała przy mnie przez jakiś czas, głaszcząc mnie po włosach. Miała na sobie biały szlafrok, starta już makijaż, ale nadal wyglądała pięknie i pachniała tym różowym żelem pod prysznic, którego używa. Jak dorosnę, chcę być taka jak ona. Powiedziałam jej, że boję się mieszkać z obcymi ludźmi, i jeszcze trochę popłakałam. Odpowiedziała, żebym się nie martwiła, i pocałowała mnie w czoło, po czym wyszła z pokoju, gasząc światło. Potem słyszałam, jak przez kilka godzin rozmawiała z tatą Taylor, ale nie krzyczeli jak moi rodzice, tylko rozmawiali cicho we wspólnej sypialni, jak prawdziwe małżeństwo. Następnego dnia zobaczyłam na stole w jadalni dokumenty adopcyjne, więc wszystko świetnie się ułożyło.

Teraz
Poniedziałek, 2 stycznia 2017

Nadal żyję.

To pierwsza myśl, która rozbrzmiewa wyraźnie w mojej głowie. Nie wiem, jakim cudem, ale nadal żyję i wróciłam, tylko nie jestem pewna, gdzie dotąd byłam. Chwilę trwa, nim decyduję, czy się z tego cieszę i co to wszystko oznacza. Edward usiłował mnie zabić, jestem tego pewna, ale mu się nie udało. Pewnie trudno zabić coś, co już jest martwe.

Jak na osobę, która nie znosi szpitala, spędziłam w nim całkiem sporo czasu. Paul i ja przychodziliśmy tu, kiedy staraliśmy się o dziecko, tu także moja siostra urodziła bliźniaki i tu zmarła moja babcia. Nie umarła na raka, jak Bunia Claire, tylko ze starości przebranej za zapalenie płuc, kiedy miałyśmy po trzydzieści lat. Babcia umierała długo, a jej śmierć odbiła się na naszej i tak już podzielonej rodzinie. Z początku zjednoczyliśmy się we wspólnym bólu i rozpacz. Ale potem w Claire włączył się jakiś guzik, którego nie dało się wyłączyć. Wrócił gniew, który czuła jako dziecko z powodu śmierci swojej Buni. Gniew, który tak długo wypierała i który tylko narastał. Wciąż potrzebował ujścia. A Claire potrzebowała kogoś, kogo mogła obwinić. Wtedy właśnie odnalazła Madeline. Wyobraźcie sobie nasze zdumienie, kiedy odkryła, kim jest jej matka chrzestna i gdzie mieszka. Zniszczenie Madeline stało się obsesją Claire, a w rezultacie i moją. Claire znowu zrobiła się porywcza, nikomu nie ufała. A ta zmiana z kolei zwiększyła moją czujność. Kiedy Claire się czymś denerwowała, musiałam mieć pewność, że wszystko jest zabezpieczone najlepiej, jak to tylko możliwe.

Nazywają to zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi. To nic takiego, ale z wiekiem przybrało na sile. Jako nastolatka musiałam co tydzień odwiedzać ten szpital. Spotykałam się tu z niskim człowiekiem, który za dużo mówił, a za mało słuchał. Zawsze nosił te same buty z szarej skóry, z fioletowymi sznurówkami. Wiele godzin spędzałam na wpatrywaniu się w nie. Po czterech miesiącach cotygodniowych spotkań oświadczył, że mam natrętne myśli i przejawiam zachowania kompulsywne, aby poradzić sobie z niezrozumiałym poziomem stanów lękowych. Ja z kolei powiedziałam mu, że cierpi na halitozę. Niedługo potem przestałam do niego chodzić. Rodzice dali sobie spokój z próbami doprowadzenia mnie do ładu i całą uwagę skupili na Claire: ładnej, piątkowej córce zastępczej, którą uratowali. Zapomnieli o wadliwym pierwowzorze, którego nie mogli naprawić – czyli o mnie.

Próbuję zostawić przeszłość i wrócić do teraźniejszości, choć tak naprawdę ona też mnie nie zachwyca. Wtedy nagle słyszę jej płacz. Chwilę trwa, zanim jestem w stanie wytłumaczyć sobie te łzy i zrozumieć, gdzie i kiedy jestem.

– Tak cię przepraszam, Amber, za wszystko – mówi głos Claire gdzieś z oddali.

Słowa zdają się rozbrzmiewać na powierzchni, podczas gdy ja unoszę się pod spodem. Dźwięk głosu Claire wyciąga mnie z głębin i czuję się, jakbym obudziła się z bardzo głębokiego snu. Coś się zmieniło. Światło i cień się przesunęły. Wzbudza to we

mnie niepokój, jakby ktoś poprzestawiał bez pytania umebłowanie w mojej głowie.

– Próbowałaś mi o nim powiedzieć, prawda? Ale ja nie słuchałam. Tak cię przepraszam – powtarza Claire.

Teraz jej głos brzmi wyraźniej, jakbym mogła wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Chwilę trwa, zanim zaczynam rozumieć, o czym ona mówi, ale wreszcie przesłuchania dobiegają końca i ostatecznie Edward zostaje obsadzony w roli „jego”.

Odpływam. Nie jestem w stanie przetrwać tych wszystkich słów naraz.

Wzmianka o Edwardzie zdaje się sprawiać, że miejsce, w którym przebywam, nagle ciemnieje na obrzeżach. Coś się stało, coś złego. Coś jeszcze gorszego niż to, co pamiętam. Cokolwiek to było, Claire o tym wie, więc może teraz wszystko będzie dobrze. Nigdy nie pozwalała, żeby ktokolwiek mnie krzywdził.

– Jakież zmiany? – To głos Paula.

– Nie, jeszcze nie. Złapali go? – pyta Claire.

– Nie. Byli w jego mieszkaniu, ale tam go nie ma.

Próbuję się skupić i przepuścić ich słowa przez filtr rzeczywistości, który budowałam w głowie, jednak nie zawsze to działa. Chciałabym móc wymazać część smutnych i złych wspomnień, ale mam wrażenie, jakby nagle mnie włączono i teraz wszystko sobie przypominam. Nawet to, czego wolałabym nie pamiętać.

Pamiętam Edwarda w tym pokoju.

Pamiętam, co mi zrobił.

Nie rozumiem, skąd się o tym dowiedzieli.

Wtedy przypominam sobie, jak Paul mówił, że zainstalował w pokoju kamerę. Musiał obejrzeć, co się stało. Na tę myśl robi mi się niedobrze.

Nadal mam wrażenie, jakbym znajdowała się pod wodą, ale mętny płyn staje się coraz bardziej przejrzysty i cały czas zbliżam się do powierzchni. Potem odkrywam coś jeszcze.

Pamiętam wieczór wypadku – wszystko pamiętam.

Wiem już, co się wydarzyło, to nie ja prowadziłam wtedy samochód i to wcale nie był wypadek. Odpłynęłam daleko. Nie wiem, jak długo to trwało, ale wreszcie wróciłam i wszystko sobie przypominałam.

Wtedy

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – wczesny wieczór

- Wszystko okej? – pytam, kiedy Paul pada na kanapę i sięga po pilot telewizora.
- Co? Tak, wszystko w porządku.
- Napijesz się?
- Poproszę whisky.

Zastygam na chwilę. Paul od dawna nie sięgał po whisky. Dawniej nie pił nic poza nią, ale ten bursztynowy płyn go zmienił, a jego uzależnienie zmieniło nasze małżeństwo. Whisky stała się częścią niego. Brzydką częścią. Myślał, że to pomagało mu pisać, i całymi nocami siedział w swojej komórce, tylko on, laptop i butelka. Conocny literacki trójkącik i jednocześnie rozczarowujący banał. Staliśmy się osobnymi krajami o płynnych granicach, a ja byłam zła, samotna, przestraszona. Paul rzeczywiście pisał, ale były to niewłaściwe słowa; nie pasowały do siebie. A kiedy nie zdołaliśmy począć dziecka, zrobiło się jeszcze gorzej. Whisky stała się lekiem, który miał zaleczyć jego rany, więc wlewał go w siebie w czystej postaci. Bez lodu. Lecz rezultaty nie były dobre. Czułam się, jakbym siedziała w pierwszym rzędzie na spektaklu ukazującym jego powolne samobójstwo. Kiedy nie mogłam już na to patrzeć, zagroziłam, że odejdę. Powiedział, że rzuci picie, ale tego nie zrobił. Truł się w samotności. Odeszłam na dziesięć dni. Wtedy przestał. To było ponad rok temu i nigdy do tego nie wrócę.

- Kochanie, chyba nie mamy whisky...
- Mama dała mi butelkę, jest w szafce – mówi Paul, nie podnosząc głowy. Ciągłe zmienia kanały, nie może znaleźć tego, czego szuka.

Wychodzę do kuchni i otwieram lodówkę. Ignoruję jego prośbę i wyjmuję butelkę szampana, którą specjalnie schłodziłam. Powiem mu o dziecku, od razu poprawi mu się nastrój i będziemy mieli niezapomniane święta. Wypiłam już więcej, niż powinnam, ale jeden maleńki kieliszek nie robi różnicy.

- Po takim dniu aż się cieszę, że nie mamy dzieci, prawda? – mówi Paul z salonu.
 - Jak to?
 - Cały ten chaos. Wszystko kręci się wokół nich, nie można o niczym spokojnie porozmawiać, bo ciągle coś przerywa.
 - Przecież nie było tak źle, prawda? – pytam, wróciwszy do pokoju.
- Z lewego oka spływa mi łza, nie mogę nad tym zapanować.
- Nie, dzieciaki są w porządku. Po prostu Claire trochę mnie zirytowała. Mam dość tego, że ciągle nam mówi, jak mamy żyć, cały czas się wtrąca, a ty nigdy jej nie mówisz, żeby przestała... A to co? – pyta nagle, wskazując szampana.
 - Pomyślałam, że to ważna okazja.
 - Przecież już uczciliśmy moją książkę. Czy ty płaczesz?
 - Nic mi nie jest.
 - Jeśli chodzi o to, że Claire nie chce, żebyś jechała ze mną do Ameryki, to nic mnie to nie obchodzi. Na pewno poradzi sobie bez ciebie przez kilka tygodni.

– Powiedziałaś Claire o książce? Kiedy?

– Wymknęło mi się, jak czytałaś dzieciom bajkę na dobranoc.

Teraz rozumiem, dlaczego tak na mnie spojrzała, kiedy wychodziliśmy. To było ostrzeżenie. Paul mówi dalej, nie zdając sobie sprawy z tego, co uczynił.

– Zresztą, czemu mamy o tym nie mówić? I masz rację, powinniśmy to uczcić. – Bierze butelkę ze stołu i ją otwiera.

– Co dokładnie jej powiedziałaś? – pytam i słyszę, że głos mi drży.

– Czy możemy już przestać rozmawiać o twojej siostrze, jej mężu nudziarzu i bliźniakach z piekła rodem?

– Paul, co jej powiedziałaś? To ważne.

– Czemu się tak przejmujesz? Ona też zaczęła wariować.

– Bo jest zdenerwowana moim wyjazdem. Wiedziałam, że tak będzie. Mówiłam ci, żebyś nic jej jeszcze nie mówił.

– Nie chodziło o to, tylko o jej głupie pamiętniki. Spytała, czemu kupiłem ci dziennik, więc powiedziałem, że znalazłem jej zapiski na strychu. Zanim się zorientowałem, odbiła jej szajba.

W mojej głowie robi się bardzo głośno.

– Mówiłam, żebyś nie mówił Claire o tych dziennikach i żebyś ich nie czytał.

– Nie czytałem, tylko zająrzałem. Przeczytałem jedno zdanie o tym, że jesteście jak dwa ziarna groszku z jednego strączka. Przypomniałem jej to, bo myślałem, że to zabawne. Ale ona tak nie uważała.

Dwa ziarna groszku z jednego strączka.

– Ona cię zabije.

Paul się śmieje. Nie rozumie, że mówię poważnie. Ona nie pozwoli, żeby ktoś mnie jej odebrał, nigdy na to nie pozwalała. Przez lata robiła straszne rzeczy, moim znajomym, kolegom, kochankom – jej zdaniem nikt nie był dla mnie dostatecznie dobry. Sądziła, że trzeba mnie ratować przed każdym z nich. Gdy urodziły się bliźniaki, gdy w końcu miała własną rodzinę, myślałam, że może coś się zmieni, ale nie, wczepiła się we mnie mocniej niż kiedykolwiek. Myślę, że w głębi serca nawet się cieszyła, że nie mogę zająść w ciążę – martwiła się, że moja miłość do dziecka zmniejszyłaby miłość do niej. Z Paulem, słynnym pisarzem, było inaczej. Uznała, że jest dla mnie dostatecznie dobry, i cieszyła się, że nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy zamieszkali niecałą milę od niej. To było jak test – Paul go zdał, bo nie próbował mnie jej odebrać. Ale teraz oblał.

Robi mi się niedobrze. Wiem, do czego jest zdolna. Wychodzę z pokoju, odnajduję swój telefon i wybieram numer Claire.

Cisza.

Próbuję jeszcze raz, ale od razu włącza się poczta głosowa.

– On ich nie czytał. Nie rób tego, nie ma potrzeby – mówię jak najciszej.

– Czy wyście obie oszalały? – mówi Paul, wychodząc za mną na korytarz. – Przecież to tylko dzienniki jakiejś małolaty. Może w takim razie powinienem je przeczytać – dodaje nagle.

– Jeśli Claire zadzwoni do ciebie albo się tu zjawi, powiedz, że już je spaliłam. Nie otwieraj drzwi i nie wpuszczaj jej do środka. Gdzie twoje kluczyki do samochodu?

– Co ty wygadujesz?

Biegnę do kredensu, otwieram szuflady pełne różnych drobiazgów.

– Cokolwiek się stanie, masz jej nie ufać, rozumiesz? – Znajduję zapasowy komplet kluczyków, chwytam torebkę, nie sprawdzając nawet zawartości, i biegnę do drzwi.

– Amber, poczekaj...

Ale Paul jest za wolny, idę już ścieżką, próbując rozróżnić w mroku i deszczu przyciski na kluczu. Nie włożyłam płaszcza i od razu przemakam. Paul wychodzi za mną na dwór, nadal w swoich nowych świątecznych kapciach. Podnosi do ucha telefon.

– To ja, twoja siostra strasznie się czymś zdenerwowała. To chyba ma związek z tobą, oddzwoń do mnie, musimy to jakoś...

Odwracam się gwałtownie i wytrącam mu telefon z ręki. Rozbija się o podjazd. Paul gapi się na niego z otwartymi ustami, wreszcie patrzy na mnie.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?

– Nie zbliżaj się do Claire!

– Czy ty się w ogóle słyszysz? Chyba coś ci się popieprzyło! Nie możesz siadać za kółkiem. Za dużo wypiłaś...

– Nic mi nie jest!

W domu obok zapala się światło i widzę, że sąsiad wyszedł na dwór. Nie zdawałam sobie sprawy, że krzyczymy. Odwracam się do samochodu i klucze wypadają mi z ręki. Przykłam, próbując namacać je w mroku drżącymi rękami. Kiedy wreszcie je znajduję, Paul próbuje mnie zatrzymać, nie pozwala mi sięść za kierownicą. Odpycham go, wsiadam do samochodu i zatraskuję drzwi, przytraskując mu palce. Paul wrzeszczy z bólu, wyszarpuje rękę, a ja jeszcze raz traskam drzwiami. Wkładam klucz do stacyjki i odjeżdżam.

Teraz
Wtorek, 3 stycznia 2017

– Wrócę na trochę do domu, muszę sprawdzić, czy David nie zamordował jeszcze bliźniaków albo na odwrót – mówi Claire.

– Jasne – odpowiada Paul.

– O kurde, przepraszam, miałam nawet nie wspominać o bliźniakach, nie mówiąc już o...

– Nic nie szkodzi.

– Na pewno nie chcesz, żebym cię podwiozła?

– Nie. Więcej jej nie zostawię. Nie tym razem.

Słyszę, jak otwierają się drzwi.

– Claire?

– Tak?

– To nie twoja wina.

Chce być miły, ale się myli. To jest wina Claire. Wszystko, co poszło w moim życiu nie tak, to wina Claire. Słyszę, jak odchodzi, i cieszę się z tego.

Paul trzyma mnie za rękę, jego dłoń jest silna, ciepła i bezpieczna.

– Tak mi przykro – szepcze Paul. – Ciągłe tylko cię zawodzę. Powinienem tu być.

Wyobrażam sobie, jak ogląda, co Edward zrobił mi w tym pokoju. Wyobrażam sobie, jak siedzi w domu, tak daleko, i patrzy, jak jakiś nieznajomy człowiek wsuwa rękę pod moją pościel. Ja byłam uwięziona wewnątrz tego koszmaru, ale Paul był tak samo uwięziony na zewnątrz, musiał patrzeć, jak to przeżywam. Chciał się tu dostać tak bardzo, jak ja chciałam się wydostać.

– Bardzo cię kocham – mówi i całuje mnie w czoło.

Kiedy ja spałam w moim piekle, on przeżył swoje własne. Chciałabym mu powiedzieć, jak mi przykro, że z mojej winy musiał przez to wszystko przejść, i że ja też go kocham. Powtarzam te słowa w głowie raz za razem, aż robią się tłuste i rzeczywiste.

– Kocham cię.

– O Boże – mówi Paul i puszcza moją dłoń.

Odruchowo chcę sprawdzić, co się dzieje, więc próbuję otworzyć oczy. Jasne światło z początku mnie oślepia, a ból przebija mi głowę na wskroś.

– Paul. – Słyszę jakiś głos i zdaję sobie sprawę, że należy on do mnie.

– Jestem tutaj – mówi Paul i wreszcie go widzę.

Płacze i ja też zaczynam płakać. Całuje mnie, a ja go widzę. To rzeczywistość. Moje oczy naprawdę są otwarte. Już nie śpię.

Wtedy Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – wieczór

Wjeżdżam na podjazd Claire i widzę ją na ganku. Spodziewała się mnie. Wsiadam i idę do niej w deszczu, nie zatrzymując nawet drzwi samochodu. Moja sukienka cała przemokła i przywiera mi do nóg. To tak, jakby materiał próbował mnie spowolnić, nie dopuścić, żebym tam weszła.

– Cześć, Amber – mówi Claire. Ramiona ma skrzyżowane. Rysy rozluźnione. Ciało całkowicie nieruchome.

– Musimy pogadać.

– Chyba powinnaś się uspokoić.

– On nic nie widział, o niczym nie wie.

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

– Jeśli zrobisz mu krzywdę, jeśli cokolwiek mu się stanie...

Claire postępuje krok naprzód.

– No co? Co wtedy zrobisz?

Mam ochotę ją uderzyć. Bardzo chcę zadać jej ból, ale nie mogę. Moja miłość do niej nadal przewyższa nienawiść. Nie powinnyśmy tu o tym rozmawiać. Nigdy nie wiadomo, kto może słuchać.

– Mogę wejść do środka?

Claire patrzy na mnie przez chwilę, jakby oceniając ryzyko. Jej ramiona rozkładają się, a potem w jej oczach widać podjętą decyzję. Kiwa głową i wchodzi do przedpokoju, zostawiając akurat tyle miejsca, żebym mogła wsunąć się za nią.

– Cała jesteś mokra, zdejmij buty.

Cicho zamykam za sobą drzwi i robię, co mi każe. Stoję na bosaka na jej nowej kremowej wykładzinie i rozważam, co dalej. Znalazłyśmy się w miejscu, w którym nigdy jeszcze nie byłyśmy. Zastanawiam się, gdzie jest David i czy może nas usłyszeć.

– David jest na górze. Zasnął zaraz po tym, jak wyszłaś z mężem – mówi Claire, jakby czytając mi w myślach.

Z mężem, nie z Paulem. Już teraz Claire dystansuje się od osoby, którą uznała za problem. Jej oczy są ciemne, zimne. Widzę, że zdążyła już dotrzeć w to miejsce w głębi siebie, które tak mnie przeraża.

– Chcę je z powrotem – mówi.

Nie muszę pytać, co ma na myśli.

– Spaliłam je.

– Nie wierzę ci.

– On ich nie czytał.

– Skąd w ogóle je masz?

– Były tutaj. Na strychu. Znalazłam je po śmierci mamy i taty. Zachowali wszystkie twoje rzeczy. A z moich nie było nic.

– Więc je ukradłaś?

– Nie. Po prostu chciałam coś mieć. Wszystko zostawili tobie. Tak jakbym ja w ogóle

już nie istniała.

– Nie powinnaś była ich zabierać i nie powinnaś była pozwolić, żeby Paul je przeczytał. A może chciałaś, żeby coś go spotkało?

– Nie! On ich nie czytał. Nie zbliżaj się do niego!

– Opanuj się.

– A ty się odpieprz. – Popycham ją. Niechący.

Claire zatacza się do tyłu, widzę w jej oczach ten błysk z przeszłości. Znowu robi krok do przodu i przysuwa do mnie twarz. Czuję jej oddech.

– Przeczytał je i teraz trzeba się zająć tą sytuacją – mówi spokojnie.

– On nic nie wie.

– Przeczytał je.

– Nie, wcale nie – przekonuję, wiedząc, że jej uszy są zamknięte na prawdę.

– Dwa. Ziarna. Groszku. Z jednego. Strączka. Tak mi powiedział. Przeczytał je.

Claire wypluwa na mnie te słowa i z każdym z nich czuję coraz większy ból brzucha, aż zaczynam myśleć, że chyba mnie dźgnęła. Wtedy widzę krew. Spoglądam na ręce Claire, ale są puste, nie ma w nich noża. Teraz i ona patrzy na stróżkę czerwieni spływającą mi po wewnętrznej stronie prawej nogi. Łapię się za brzuch i ból zgina mnie wpół.

– O Boże – szepczę z trudem. I nagle kolana się pode mną uginają, a ja schylam się coraz niżej i niżej.

– Co się dzieje? – pyta Claire.

– Boże, nie.

– Czy ty jesteś w ciąży? – Spogląda na mnie z mieszaniną zdumienia i obrzydzenia na twarzy. Nie czeka na moją odpowiedź. – Jak mogłaś zataić przede mną coś takiego? Kiedyś o wszystkim sobie mówiłyśmy. – Widzę, jak jej umysł pracuje, zdumiony tą nową informacją. Wytacza nowy kurs.

– Przepraszam – udaje mi się powiedzieć, bo Claire sądzi, że powinnam ją przeprosić. Jej twarz nie zmienia wyrazu.

– To tylko lekkie krwawienie. Nic ci nie będzie. Daj kluczyki do samochodu.

Kręcę głową.

– Zadzwoń do Paula.

– Dawaj kluczyki i już. Szpital jest piętnaście minut stąd, tak będzie szybciej, niż wzywać karetkę. Zadzwońmy do Paula z samochodu.

Robię, co mi każe, jak zawsze.

Teraz
Wtorek, 3 stycznia 2017

– Jesteś głodna? – pyta Paul.

Spałam, ale tym rodzajem snu, z którego można się obudzić. Siadam na szpitalnym łóżku i pozwalam mężowi poprawić poduszki. Drzwi są otwarte i widzę na zewnątrz wózek z obiadem.

– Tylko niech się nie spieszy, powolutku – mówi Pielęgniarka z Północy do Paula, podając mu tacę z posiłkiem.

Rozpoznaję jej głos. W rzeczywistości wygląda inaczej niż w mojej głowie. Jest młodsza, szczuplejsza, nie tak zmęczona. Zawsze wyobrażałam ją sobie poważną, ona jednak się uśmiecha, i to nieustannie. Czasem ludzie wydają się na zewnątrz szczęśliwi i dopiero kiedy się ich posłucha, a nie wyłącznie na nich popatrzy, można poznać, że w środku coś się popsuło.

Paul bierze tacę i stawia ją przede mną. Kurczak, purée ziemniaczane i fasolka szparagowa. Kartonik soku oraz coś, co wygląda jak galaretka truskawkowa. Jestem bardzo głodna, ale teraz, kiedy widzę, co mi dali, odchodzi mi ochota. Paul bierze sztucce i nakłada trochę ziemniaków.

– Mogę sama – mówię.

– Przepraszam.

Biorę od niego widelec.

– Dziękuję.

Zjadam większość porcji. Przeżuwam i połykam małe kęsy, gardło nadal mnie boli po rurce. Jedzenie nie zapowiadało się najlepiej, ale w tej chwili mam wrażenie, jakbym właśnie zjadła najlepszy posiłek w życiu. Kurczak jest przegotowany, a w ziemniakach zostały grudki, lecz sama możliwość przeżuwania, połykania i smakowania sprawia, że każdy kęs to rozkosz. Bo oznacza, że żyję.

– Przypominasz sobie coś jeszcze? – pyta Paul.

Kręcę głową i odwracam wzrok.

– Nie bardzo.

Wygląda, jakby przyniosło mu to ulgę. Mówi o przyszłości, jakbyśmy ją mieli, i dzięki temu znowu czuję się rzeczywista. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musiało być uczucie widzieć to, co widział Paul, patrzeć, jak ktoś robi mi coś takiego. Ale wygląda na to, że to niczego nie zmieniło, przynajmniej na razie. Moje myśli zaczynają się rozpląszczać, słowa Paula rozprasowują fałdy, aż wszystko, co niedoskonałe, robi się schludne i porządne, jakby było zupełnie nowe, niezuzyte i niepopsute.

Telefon Paula wibruje na szafce nocnej. Paul bierze go, czyta wiadomość i patrzy na mnie.

– Co takiego? – pytam.

– Masz gościa.

Czuję, że zaczynam znikać.

– Kto to?

– Claire. – Paul czeka przez chwilę, aż coś powiem, ale ja milczę. – Może przyjść? Nie musisz się z nią widzieć, jeśli nie chcesz. Z nikim nie musisz się widzieć. Ale niezależnie od tego, co się między wami wydarzyło, wiem, że bardzo jej przykro.

– W porządku, może przyjść.

– Jest na parkingu, więc będzie tu za kilka minut. Powiem jej, że się zgadzasz.

Odwracam wzrok, kiedy wysłała wiadomość do mojej siostry. Paul nie wie, że pamiętam, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Jeszcze nie zdecydowałam, co zrobić, jak długo powinnam udawać, że zapomniałam.

– Przynieść ci coś jeszcze? – pyta Paul.

– Mam wielką ochotę na kieliszek wina – odpowiadam.

Paul się śmieje, brzmi to wspaniale.

– Nie wątpię, ale wydaje mi się, że jeszcze odrobinę za wcześnie na soczek winogronowy. Nie wszystko naraz.

Bierze tacę i wystawia ją na podłogę za drzwiami, jakbyśmy byli w hotelu i zamówili sobie posiłek do pokoju. Chciałabym dokąś pojechać, kiedy już będzie po wszystkim. Uciec na trochę od prawdziwego życia. Gdzieś, gdzie w ciągu dnia świeci słońce, a nocą widać gwiazdy.

Drzwi są otwarte, ale Claire i tak puka.

– Cześć – mówi, czekając na zaproszenie, zanim podejdzie bliżej.

– Wchodź – mówi Paul.

– Jak idzie? – pyta.

Patrzy na nas oboje, ale zwraca się do mnie.

– W porządku – mówię. Paul wstaje z krzesła.

– No dobrze. To ja wyskoczę na sekundę, a wy sobie pogadajcie.

Kiwam głową, żeby dać mu znać, że wszystko w porządku. Claire i ja mierzymy się wzrokiem, w naszych głowach zaczyna się już milcząca konwersacja. Claire siada na krześle zwolnionym przez Paula i czeka, by mieć pewność, że oddalił się od pokoju i nic nie usłyszy.

– Przepraszam – mówi wreszcie.

– Za co?

– Za wszystko.

Przedtem
Niedziela, 14 lutego 1993

Kochany Pamiętniczku,
dzisiaj są walentynki. Nie dostałam żadnych kartek, ale nieważne. Teraz mam rodzinę, prawdziwą rodzinę, o niczym więcej nie marzyłam. Mam nawet nowe nazwisko. Claire Taylor. Ładnie brzmi. Nazywam mamę Taylor mamą, a tatę Taylor tatą, i chyba im się to podoba. Mnie też. Wszystkim się podoba, z wyjątkiem Taylor. Dzisiaj przez całe rano się dąsała, bawiła się u siebie tą lalką ode mnie, jak mała dziewczynka. Nazywa ją Emily i rozmawia z nią, kiedy myśli, że nikt nie słyszy.

Po obiedzie spytałam, czy mogę iść do swojego pokoju, i mama się zgodziła. Powiedziałam, że chcę poczytać nową książkę. Uwierzyła mi. Jest niedziela, więc mieliśmy pieczeń. W niedzielę zawsze jemy pieczeń. Dzisiaj była z kurczaka, całego, z pieczonymi ziemniaczkami i puddingiem Yorkshire, i z masą sosu. Ja sprzątnęłam wszystko, a Taylor większość zostawiła. Zjadłabym i jej porcję, ale byłam tak opchana, że chyba bym pękła. Wchodząc na górę, słyszałam, jak mama pyta Taylor, co się dzieje. Ciągle ją o to pytają i denerwuje mnie to. Bo nic się nie dzieje. Taylor powinna się cieszyć tak samo jak ja i przestać wszystko psuć.

Po drodze minęłam jej pokój i zauważyłam siedzącą na łóżku Emily. Patrzyła prosto na mnie tymi swoimi szklanymi oczami. Pamiętam, że wybrałam ją podczas jednej z wizyt u pani z opieki społecznej, tak naprawdę należała do mnie i mogłabym ją zabrać z powrotem, gdybym chciała. Nigdy nie widziałam podobnej lalki, wyglądała tak rzeczywiście. Miała lśniące czarne włosy, różowe policzki i ładną niebieską sukienkę, i buciki. Była śliczna. Idealna. Nie lubiłam jej. Nie pamiętam, żebym ją brała albo zanosila do swojego pokoju. Pamiętam tylko, jak spojrzałam w dół i zobaczyłam w swojej dłoni cyrkiel z piórnika, a Emily siedziała na moich kolanach z wydrapanymi oczami.

Nie byłam pewna, co z tym zrobić, więc wzięłam ją za rękę i wyszłam przed dom. Jestem za duża, żeby się bawić lalkami, więc ją odłożyłam. Na drogę. Jej małe stópki leżały na krawężniku. Wciąż byłam strasznie objedzona, więc usiadłam na trawniku i zaczęłam wyrywać małe kępki trawy. Świeciło słońce i niebo było błękitne, ale było zimno. Lecz nie przeszkadzało mi to. Chciałam być na dworze, chciałam widzieć.

Nagle ogarnęło mnie to uczucie, kiedy wiesz, że ktoś cię obserwuje, i odwróciłam się w stronę domu. Taylor stała w oknie swojej sypialni na piętrze i patrzyła na nas. Jej oczy przesuwaly się ze mnie na lalkę i z powrotem. Odwróciła się, a ja zastanawiałam się, czy płacze. Ostatnio ciągle to robi.

Pierwszy samochód nawet nie dotknął Emily, co mnie zdenerwowało, bo

naszą ulicą nieczęsto coś przejeżdża. Ale Taylor wybiegła przed dom akurat, kiedy pojawiło się drugie auto, więc wszystko dobrze się złożyło. Ten samochód nie chybił. Przednie lewe koło przejechało po twarzy lalki, jej włosy wplątały się w nie. Patrzyłam, jak Emily kręci się razem z kołem, w górę i w dół, w górę i w dół. A potem przejechało po niej i tylne koło, ale tym razem się nie wkręciła, tylko leżała płasko na asfalcie. Taylor stanęła przy mnie, nie odrywając wzroku od lalki. Jej twarz się nie zmieniła, jej ciało się nie ruszało, po prostu tam stała. A ja dalej szarpałam źdźbła trawy i zwiјаłam je w palcach. Mimowolnie zaczęłam nucić.

Jadą, jadą misie, tra la la la la.

- Powiedziałaś komuś? - spytałam wreszcie.

Nie zapytała, co mam na myśli, tylko pokręciła głową i spuściła wzrok.

- I dobrze - powiedziałam. - Złe rzeczy przytrafiają się skarżypytom.

Wtedy popatrzyła na mnie, a jej twarz była jakby pusta, nie wesoła, ale i nie smutna. Poklepałam trawę obok siebie i wreszcie Taylor podeszła i usiadła obok. Nie miała na sobie płaszcz, wiedziałam, że na pewno marznie, więc wzięłam ją za rękę. Nie cofnęła jej. Ścisnęłam trzy razy i ona zrobiła to samo. Wtedy już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, że nic się nie zmieniło, nie tak naprawdę. Taylor trochę się pogubiła, ale ja ją odnalazłam. Może i jesteśmy teraz siostrami, ale zawsze będziemy jak dwa ziarna groszku z jednego strączka.

Wtedy
Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2016 – późny wieczór

Claire wsuwa mi głowę pod ramię, biorąc na siebie większość mojego ciężaru, i prowadzi mnie z powrotem do samochodu. Pozwalam jej na to, zresztą nie jestem pewna, czy sama utrzymałabym się na nogach. Idziemy chwiejnie przez podjazd. Nadal jestem boso i mokry żwir wrzyna mi się w stopy. Claire sadza mnie ostrożnie na fotelu pasażera i zauważam, że ma na rękach czerwone skórzane rękawiczki, których jeszcze nie widziałam. Obracam się na bok i słyszę, że ktoś w samochodzie płacze. Dopiero po kilku sekundach dochodzi do mnie, że to ja. Claire siada za kółkiem, zapina pas i zatrzaskuje drzwi.

- Amber, gdzie są te dzienniki?
- Już ci mówiłam, że je spaliłam.
- Kłamiesz.
- Na litość boską, zabierz mnie do szpitala.

Nigdy nie prowadziła samochodu Paula, ale wyjeżdża z podjazdu na wstecznym, jakby siedziała za własnym kółkiem. Jedna czerwona rękawiczka na kierownicy, druga nie puszcza dźwigni biegów, jak kierowca rajdowy, wszystko pod kontrolą. Zamykam oczy i obejmuję się rękami za brzuch, jakbym próbowała ją w sobie utrzymać – bo jestem pewna, że to dziewczynka.

Obie milczymy, kiedy Claire wyjeżdża z ulicy. Jedyne głosy, jakie słyszę, to te w radiu, ale nawet one nie są prawdziwe, wszystkie audycje zostały wcześniej nagrane. Od czasu do czasu otwieram oczy i wyglądam przez okno, żeby się upewnić, że jedziemy w dobrym kierunku, ale widzę tylko ciemność. Kiedy skręcamy na rogu, muszę oprzeć się ręką o deskę rozdzielczą, żeby nie polecieć na bok.

- Myślałam, że nie możesz zajść w ciążę – mówi Claire, wrzucając drugi bieg. Chyba jesteśmy na głównej drodze, to już niedaleko.
- Ja też.

Trzeci bieg.

- A Paul wie?
- Nie.

Czwarty bieg.

- Czemu mi nie powiedziałaś?
- Zawsze mówiłaś, że nie potrzeba nam już nikogo więcej.

Piąty.

Otwieram oczy i odkrywam, że skurcze ustały. Nie wiem, co to oznacza.

– Już mnie nie boli – mówię i próbuję usiąść prosto. – Chyba wszystko będzie w porządku. – Czuję ulgę. Patrzę na Claire, ale wyraz jej twarzy się nie zmienia, jakby w ogóle mnie nie usłyszała. – Ty też zaczęłaś raz krwawić, kiedy byłaś w ciąży z bliźniakami, prawda? – pytam.

- Mimo to lepiej, żeby zbadali cię w szpitalu, przezorny zawsze ubezpieczony.
- Masz rację. Ale możesz trochę zwolnić.

Claire nie odpowiada, patrzy tylko przed siebie.

– Claire, powiedziałam, żebyś zwolniła, już nic mi nie jest. – Moje ręce instynktownie na powrót obejmują brzuch.

– Powinnaś mi powiedzieć – mówi Claire tak cicho, że nie jestem pewna, czy w ogóle usłyszałabym te słowa, gdybym nie widziała ruchu jej warg. Jej twarz wykrzywia się brzydko. – Kiedyś wszystko sobie mówiłyśmy. Nic by się nie wydarzyło, gdybyś po prostu robiła to, co ci mówię, i przestała kłamać. Jeśli dziecko umarło, to sama jesteś sobie winna.

– Wcale nie umarło! – mówię.

Łzy wyciekają mi spod powiek i spływają po policzkach. Jestem pewna, że się nie myślę, przysięgłabym, że czuję puls swojej nienarodzonej córeczki. Claire kiwa głową. Wierzy mi, że dziecko żyje. Zamykam oczy i chwytam się nieco mocniej fotela. Muszę tylko wytrzymać, to już niedaleko. Jedziemy tak szybko, że na pewno jesteśmy prawie na miejscu.

– Amber.

Claire kładzie dłoń w rękawiczce na moją rękę. Jest zimna, a kiedy otwieram oczy, widzę, że siostra patrzy na mnie zamiast na drogę. Uśmiecha się i natychmiast ogarnia mnie obezwładniające przerażenie.

– Kocham cię – mówi Claire, a potem odwraca się z powrotem do przodu i kładzie obie dłonie na kierownicy.

Słyszę pisk hamulców i wszystko zwalnia. Moje ciało unosi się z fotela i lece. Przelatuję przez przednią szybę, najpierw uderzają w nią ręce, jakbym nurkowała w basenie szkła. Tysiące małych odłamków rozdzierają mi ciało. Nie boli, cały ból zniknął. Ulatuję wysoko w nocne niebo. Widzę gwiazdy, tak blisko, że mogę ich niemal dotknąć, ale wtedy moja głowa uderza w asfalt, a za nią ramię, potem pierś. Kawałki skóry zdzierają się ze mnie, kiedy sunę po nawierzchni. Wreszcie się zatrzymuję. Wszystko nieruchomieje. Już nie lece.

Ból wraca, tylko że teraz jest wszędzie i o wiele gorszy niż wcześniej. Jestem połamana w środku i na zewnątrz, i ogarnia mnie strach. Nie płaczę, nie mogę, ale czuję, jak krew spływa mi po twarzy niczym czerwone łyżki. Słyszę trzask samochodowych drzwi i słaby odgłos radia, w którym nadal leci jakaś kolęda. Ból narasta, aż wszystko ogarnia ciemność. I nagle nie czuję już cierpienia, w ogóle nic nie czuję, mogę tylko spać.

Teraz
Wtorek, 3 stycznia 2017

– Zostawiłaś mnie tam.

– Byłam po alkoholu, w ogóle nie powinnam była siadać za kółkiem. Przestraszyłam się.

– Ty się przestraszyłaś? Czy w ogóle wezwałaś pomoc?

Claire odwraca głowę.

– Myślałam, że nie żyjesz.

– Raczej miałaś nadzieję, że tak jest.

– To nieprawda, nawet tak nie mów, przecież cię kocham.

– Ty mnie nie kochasz, tylko potrzebujesz. To dwie różne rzeczy.

– Wiesz, co by się stało, gdyby się dowiedzieli, że to ja prowadziłam? Mam dwoje małych dzieci, które mnie potrzebują.

– A ja byłam w ciąży. A teraz nie jestem.

– Wiem. Tak strasznie mi przykro. Nigdy umyślnie bym cię nie skrzywdziła, przecież wiesz.

– Powiedziałaś Paulowi?

– O czym?

– Że to ty prowadziłaś.

– Nie. A ty?

– Myślisz, że dałby ci tu wejść, gdybym mu powiedziała?

Wtedy z sykiem uchodzi z niej wściekłość.

– Amber, to był wypadek. Próbowałam ci pomóc. Chciałam cię zawieźć do szpitala, nie pamiętasz?

– Pamiętam, że zapięłaś tylko swoje pasy, a potem jechałaś bardzo szybko i nagle wcisnęłaś hamulec. Pamiętam, jak poleciałam przez szybę.

– Musiałam hamować.

– Nie musiałaś.

– Jechałyśmy, a ty krzyczałaś z bólu i nagle powiedziałaś coś o dziewczynce w różowym szlafroku. Myślałam, że jakieś dziecko wyszło na ulicę. Krzyknęłaś, żebym się zatrzymała.

Wlewa mi w uszy słowa, które w końcu mnie odnajdują. Nie wiem już, co jest prawdą. Nie wiem, w którą wersję wydarzeń wierzyć. Siostry czy swoją. Pokój usiłuje pozszywać moje rany pełną napięcia ciszą, ale Claire wydziera szwy.

– Kiedy wysiadłam z samochodu, nie było tam żadnej dziewczynki, nikogo nie widziałam. Albo ci się przywidziało, albo uciekła – mówi.

Jedno i drugie.

Odwracam się, nie mogę już na nią patrzeć. Dużo trzeba było miłości, żeby aż tak ją znienawidzić.

– Nie powinnam cię tam zostawiać. Ale ty powinnaś była powiedzieć mi o dziecku. I o nim też. Tak to się kończy, kiedy się nawzajem okłamujemy.

– Nie okłamałam cię.

– Ale nie powiedziałaś też prawdy. Sprawdziłam go, tego Edwarda Clarke’a. Wyrzucili go z akademii medycznej wkrótce po tym, jak z nim zerwałaś.

– Z powodu twoich listów.

– Może. W każdym razie miałam rację, wiedziałam, że coś z nim jest nie tak. Podejmował się różnych prac w różnych szpitalach, aż zatrudnili go tutaj. Myślę, że wybrał ten szpital, żeby być bliżej ciebie. Rozumiesz? Myślę, że śledził cię przez te wszystkie lata, i to chyba jeszcze nie koniec. Powiedz mi, gdzie on mieszka.

– Nie pamiętam.

– Owszem, pamiętasz. Powiedz mi. Nie pozwolę, żeby znowu cię skrzywdził. Nikomu już nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Chciałabym się zdrzemnąć – mówię i zamykam oczy.

– Przyniosłam ci coś – mówi Claire i słyszę, jak kładzie na szafce jakiś przedmiot. Otwieram oczy na tyle, by go zobaczyć, ale na nią nie patrzę.

– Pomyślałam, że to ci przypomni, kim dawniej byliśmy, kim znowu mogłybyśmy być – mówi.

Nie odpowiadam. Złota bransoletka wydaje się o tyle mniejsza, niż pamiętam, z trudem mogę uwierzyć, że mój nadgarstek kiedykolwiek się w nią mieścił. To ta, którą Claire ukradła mi w dzieciństwie. Z wygrawerowaną datą moich urodzin. I zarazem jej urodzin. Straszliwe bliźniaczki. Wciąż jest na niej ta agrafka, którą ją spięłam, kiedy Claire popsuła łańcuszek. Taka delikatna. Zdumiewa mnie, że Claire wciąż ją ma, chcę jej dotknąć, ale tego nie robię. Zamykam oczy i odwracam się plecami. Pragnę, żeby wróciła cisza i połknęła mnie w ciemność, nie chcę już słuchać. Moje życzenie się spełnia. Drzwi się zamykają i zostaję sama. Bransoletka znika, a z nią moja siostra.

Potem
Sześć tygodni później
15 lutego 2017

Stoję w nogach łóżka, patrząc na twarz śpiącego Paula. Jego oczy poruszają się pod zamkniętymi powiekami, a usta są lekko otwarte. Postarzał się przez ostatnie miesiące, zmarszczki mu się pogłębiły, cienie pod oczami są ciemniejsze niż przedtem. Patrząc na dorosłego mężczyznę, a jednak widzę tylko wcielenie delikatności. Stoję w cudownej ciszy, jakiej można doświadczyć wyłącznie nocą, i zastanawiam się głęboko, czy podjęłam właściwą decyzję. Stwierdzam, że owszem. Nie pozwolę, żeby moja przeszłość determinowała naszą przyszłość.

Jestem w domu od nieco ponad miesiąca. Po tak długim czasie w ciszy i mroku po wyjściu ze szpitala czułam niemal nadmiar bodźców. Świat wydawał się za szybki, za głośny, za prawdziwy. Może zawsze taki był, tylko ja tego nie zauważałam. Trochę potrwało, zanim się przyzwyczaiłam i to wszystko przetrwałam. Byłam na miejscu wypadku, psycholog pourazowy w szpitalu uznał, że to mi pomoże. Pod drzewem leżał bukiet zwiędłych kwiatów. Widać jakaś miła osoba uznała, że wtedy zginęłam. Chyba jakaś wersja mnie rzeczywiście umarła.

Próbuję wrócić do normalnego życia. Wybaczyłam też Claire i wczoraj zaproponowaliśmy z Paulem, że zajmiemy się bliźniakami, żeby ona i David mogli spędzić romantyczny walentynkowy wieczór we dwoje. Pomyślałam, że zasługują na chwilę wytchnienia. Nawet przygotowałam im specjalny posiłek.

Miło było mieć u siebie bliźniaki. Ułożyliśmy je na popołudniową drzemkę w wolnej sypialni. Pierwszy raz tu spały i ciągle do nich zaglądałam, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. Stawałam w drzwiach i patrzyłam na ich różowe policzki, potargane włoski. Oba brzdące spały głęboko, wyglądały jak dwa ziarna groszku z jednego strączka. Przykleiłam do sufitu kilka świecących gwiazdek, chyba bardzo im się podobają. Na przemian włączałam i wyłączałam lampę, żeby im pokazać, że świecą tylko w ciemności. Dzisiaj płakały mniej niż zwykle, Paul doskonale wiedział, jak utrzymać je w dobrym humorze. Mówił do nich odpowiednim tonem, zawsze umiał pocieszyć. Teraz w domu znowu panuje cisza. Sprawdzam godzinę: trzecia zero dwie.

Nawet po kilku tygodniach wciąż doświadczam efektów ubocznych po śpiączce. Miewam straszliwe koszmary i problemy ze snem. Schodzę cicho na dół i Digby wychodzi mi na spotkanie. Mamy teraz szczeniaka, czarnego labradora. To był pomysł Paula. Idę do kuchni i przed rozpoczęciem swojego rytuału patrzę na zegar: trzecia zero siedem.

Zaczynam od tylnych drzwi, raz za razem przekręcam klamkę, póki nie upewniam się, że są zamknięte.

W górę, w dół. W górę, w dół. W górę, w dół.

Potem stoję przed dużą kuchenką, uginając ramiona w łokciach, jakbym zamierzała dyrygować imponującą orkiestrą gazowych palników. Moje dłonie układają się w znany kształt; wskazujące i środkowe palce obu rąk odnajdują kciuki. Szepczę do

siebie cicho, jednocześnie sprawdzając wzrokiem, czy wszystko jest wyłączone. Moje paznokcie stukają o siebie. Sprawdzam wszystko po raz drugi i trzeci.

Digby przygląda mi się od drzwi z przechyloną na bok głową. Idę do niego, przystając na chwilę, zastanawiam się, czy przed wyjściem nie sprawdzić wszystkiego jeszcze raz. Patrzę na zegar: trzecia piętnaście. Nie ma czasu. Wkładam płaszcz, biorę torebkę i sprawdzam zawartość. Telefon. Portfel. Klucze. I kilka innych drobiazgów. Sprawdzam to jeszcze dwa razy, a potem przyczepiam smycz do obroży Digby'ego i zmuszam się do wyjścia z domu. Trzykrotnie sprawdzam, czy drzwi są zamknięte, a potem ruszam ścieżką przez oświetlony księżycem ogród.

Odkryłam, że spacerować dobrze mi robią, a szczeniaki cieszą się na nie niezależnie od pory dnia lub nocy. Wystarczy, że obejdę kilka przecznicy, odetchnę trochę świeżym powietrzem i zazwyczaj mogę wracać do łóżka. Nic innego nie działa. Ruszam główną drogą, w żadnym domu nie świeci się światło, jakby wszyscy odeszli i na całym świecie zostałam tylko ja jedna.

Idę dalej śpiącymi ulicami pod kocem czarnego nieba pokrytego gwiazdami przypominającymi cekiny. To te same gwiazdy, na które patrzyłam ponad dwadzieścia lat temu, ale ja zmieniłam się na zawsze. Nie ma księżycy, więc kiedy skręcam w ulicę Claire, spowija mnie całkowity mrok. Patrzę na jej dom, przyglądam mu się uważnie, jakbym widziała go po raz pierwszy. Powinien należeć do mnie, w nim się urodziłam. Przywiązuję smycz Digby'ego do latarni, wydaję klucz i wchodzę do środka.

Najpierw zaglądam do Claire i Davida. Wyglądają tak spokojnie, leżą bez ruchu, odwrócenie twarzami w przeciwną stronę.

Jadą, jadą misie, tra la la la la.

To podobno coś znaczy, że leżą w ten sposób. Coś z ich związkiem, ale nie pamiętam co, zresztą teraz nie ma to już znaczenia.

Śmieją im się pysie, tra la la la la.

Sprawdzam puls Davida. Nic nie czuję, już wystygł. Przechodzę na drugą stronę łóżka, żeby sprawdzić Claire. Jej puls jest słaby, ale jeszcze wyczuwalny. Widać David zjadł więcej niż ona. Leki ze szpitala chyba podziałały. Miałam pewne wątpliwości, ale jeśli noszowy potrafi to ogarnąć, to i ktoś taki jak ja powinien sobie poradzić z pomocą internetu.

Przyjechały do lasu, narobiły hałasu.

Idę do pokoju dzieci, a potem wracam do Claire.

Przyjechały do boru, narobiły rumoru.

Ciszę przerywa płacz bliźniaków. Nachylam się niżej nad łóżkiem z nadzieją, że Claire to słyszy.

Tra la la.

– Jak dwa ziarna groszku z jednego strączka – szepczę jej do ucha.

Jej oczy się otwierają i odskakują od łóżka. Claire patrzy w kierunku korytarza, skąd napływa płacz jej dzieci. Rozluźniam się, widząc, że nie może ruszyć niczym poza oczami. Są szeroko otwarte i kiedy Claire patrzy w moją stronę, dostrzegam w nich wyraz, jakiego jeszcze nigdy u niej nie widziałam. Strach. Podnoszę kanister tak, żeby mogła go zobaczyć. Spogląda na niego, potem z powrotem na mnie. Po raz ostatni patrzę na siostrę, a potem biorę ją za rękę, ściskam trzy razy i puszczam.

– Nigdy nie lubiłam gazu – mówię, po czym wychodzę z pokoju.

Potem
Środa, 15 lutego 2017 – czwarta rano

Wracam do domu inną trasą, nadkładam z Digbym nieco drogi. Jest zimno. Słyszę straż pożarną i zaczynam iść nieco szybciej. Myślę o Edwardzie, może z powodu syren; policja nigdy go nie złapała. Pamiętam to popołudnie, kiedy komisarz Handley przyszedł mi powiedzieć, co znaleźli. Usiadł na naszej sofie tak delikatnie, jakby nie chciał zakłócić ruchu powietrza w pokoju ani zgnieść poduszek. Zaproponowałam herbatę, ale odmówił uprzejmie, kręcąc głową, po czym zamilkł na długą chwilę, wyraźnie próbując dobrać odpowiednie słowa i ustalić kolejność, w jakiej przekazać informacje. Jego twarz zbladła, gdy opisywał ślady krwi i spalonej skóry, które znaleźli w łóżku do opalania w mieszkaniu Edwarda. Sąsiedzi słyszeli wcześniej krzyki jakiegoś mężczyzny. Claire nie miała alibi na tamten wieczór. Ja też nie, ale to bez znaczenia, nikt nawet nie spytał, gdzie z Paulem byliśmy. Komisarz uważał, że być może chodziło o zwykły wypadek, doszło do jakiegoś spięcia. Pamiętam, jak potakiwałam mu głową. Chyba rzeczywiście gdzieś nastąpiło jakieś spięcie. Nie było ciała. Żadnego czystego zakończenia sprawy. Czasem trzeba narobić bałaganu, żeby zaprowadzić porządek.

Skręcam w główną drogę, moje myśli kierują się ku Madeline. Często o niej myślę, od kiedy się obudziłam. Mijam stację benzynową, gdzie tankowałam ponad dwa miesiące temu. Nagranie z monitoringu zostało już wykasowane, ale w systemie będą mieli zapisane, że za paliwo zapłacono kartą Madeline Frost. Ciągłe mi ją dawała, żebym kupiła jej lunch albo zapłaciła w pralni, ale wykorzystywałam ją też do wielu innych rzeczy, między innymi kupiłam drugi dodatkowy komplet kluczy, kiedy kazała mi załatwić jeden dla nowej sprzątaczkii. Ta praca, choć wyraźnie poniżej moich kwalifikacji, bardzo się przydawała do takich zadań, ale najlepsze w niej było to, że miałam dostęp do grafiku Madeline, bo jako jej asystentka sama go układałam. Wiedziałam z wielotygodniowym wyprzedzeniem, gdzie pani Frost będzie w każdej minucie danego dnia i kiedy nie będzie miała alibi.

Ostatni liścik z szantażem, który dostarczyłam jej przed świątecznym przyjęciem, podpisany był imieniem Claire, żeby nie było żadnych wątpliwości, kto za to odpowiada. Po tamtej masakrycznej akcji w popołudniowych wiadomościach – która udała się o wiele lepiej, niż myślałam, przerosła moje najśmielsze oczekiwania – Madeline była skończona. Twarz Kryzysowego Dziecka powiedziała na antenie tyle strasznych rzeczy, że w porównaniu z tym drobna kwestia porzucenia córki chrześnej i kradzieży jej dziedzictwa wydawała się trywialna. Ale jeszcze z nią nie skończyłam. Zawsze uważałam, że szantaż to brzydka rzecz, lecz to było coś innego, coś pięknego. To była sprawiedliwość. Ludzie uważają, że dobro i zło to przeciwieństwa, ale są w błędzie – to tylko lustrzane odbicia widoczne w potłuczonym szkłe.

Przećwiczyłam sobie wszystko, co powiem policji. Napisałam list od Madeline do Claire, w którym groziła, że załatwi ją tak samo jak jej rodziców. Jako asystentka Madeline wyćwiczyłam się w prowadzeniu za nią korespondencji, więc jestem pewna, że doskonale podrabiam jej pismo. Oczywiście Claire nigdy nie widziała tego listu, ale

kiedy przyjdzie pora, powiem, że przekazała mi go na wszelki wypadek, w razie gdyby doszło do najgorszego. Wszyscy sądzili, że Madeline straci rozum, jeśli przestanie pracować – poza audycją nie miała nic. A kiedy policjanci odkryją kanistry w jej zamkniętej na klucz komórce, pomyślą, że rzeczywiście tak się stało. Na dębowym biurku w salonie znajdą zaś długopis, którym napisano list do Claire. Znajdą wszystko, czego im będzie trzeba.

Wracam do domu, wchodzę cicho i zdejmuję płaszcz. Jest czwarta trzydzieści sześć. Wyrobiłam się nieco szybciej, niż zakładałam, ale nie mogę wrócić do łóżka, nie zdołam zasnąć. Czuję się brudna, skażona, więc idę na górę, żeby wziąć prysznic. Zamykam drzwi łazienki i odwracam się do lustra. Nie podoba mi się to, co widzę, i przymykam oczy. Zdejmuję z siebie ciało osoby, którą dawniej byłam, i wychodzę na zewnątrz: nowo narodzona rosyjska matroszka, nieco mniejsza niż ta poprzednia. Zastanawiam się, ile innych wersji mnie kryje się jeszcze w środku. Odkręcam prysznic i wchodzę pod niego, ale za szybko. Woda jest lodowata. Nie odsuwam się jednak – czekam, aż temperatura podniesie się wolno, tak że prawie nie czuję parzenia na skórze. Nie wiem, jak długo tak stoję, nie pamiętam tego. Nie pamiętam, jak osuszam się i okręcam szlafrokiem. Nie pamiętam, jak wychodzę z łazienki i idę na dół. Pamiętam tylko, że nagle znowu jestem w salonie, patrzę w duże lustro nad kominkiem i podoba mi się kobieta, którą w nim widzę. Biorę Digby'ego i siadam z nim na kolanach, w ciemnościach głaszczę go po grzbiecie. Teraz muszę już tylko czekać.

Jedno z bliźniąt zaczyna płakać. Zestawiam szczeniaka na podłogę i biegnę na górę, żeby ukołysać dziecko. Wcześniej, kiedy próbowałam nagrać ich płacz, maluchy tylko się uśmiechały, ale w końcu się udało. W ich pokoju jest już jasno. Odsuwam zasłonki i patrzę, jak świt rozświetla ulice i domy w dole. Paul wciąż śpi, więc zabieram bliźniaki na dół i robię im śniadanie. Sadzam je w dziecięcych krzeselkach i martwię się, czy w domu nie jest dla nich za zimno. Wpada mi do głowy kolejny pomysł i uznaję, że jest dobry, nie wiem, czemu wcześniej o tym nie pomyślałam.

Płomienie tańczą w kominku, napełniając pokój światłem i ciepłem. Bliźniaki wpatrują się w nie jak urzeczone, jakby nigdy dotąd nie widziały ognia, i przychodzi mi do głowy, że może to prawda. Biorę kolejno dzienniki, kartkuję je zdawkowo i wrzucam do kominka. Pochyliłam się nad ostatnim zeszytem, przesuвам palcem po wypisanych na okładce cyfrach 1992, po czym przewracam go do ostatnich kilku stron. Z początku nie mogę wymówić słów, więzną mi w gardle, ale zmuszam się do tego. Ten jeden ostatni raz przesuвам wzrokiem po słowach Claire z tamtej nocy – nocy, która wszystko zmieniła.

Taylor kazała mi to zrobić.

Wydzieram tę stronę i gniotę ją w kulkę przed wrzuceniem do ognia. Kiedy widzę, że spaliła się już na proch, dorzucam ostatni z dzienników Claire. Siedzimy z bliźniakami i patrzymy, jak wszystko, co napisała ich matka, obraca się w popiół i dym.

Później Wiosna 2017

Zawsze lubiłam moment zawieszenia między snem a jawą. Te kilka cennych ułamków sekund, zanim otworzy się oczy, kiedy człowiek przyłapuje się na wierze, że jego sny mogą być rzeczywistością. W tej chwili, jeszcze przez sekundkę, rozkoszuję się stworzonym przez siebie złudzeniem, które pozwala mi sobie wyobrażać, że mogę być kimkolwiek, gdziekolwiek, mogę być kochana.

Jakiś cień kładzie mi się na powiekach i natychmiast je unoszę. Jest tak jasno, że z początku nie pamiętam, gdzie się znajduję. Przez chwilę wydaje mi się, że znowu jestem w szpitalnym pokoju, ale wtedy słyszę szum morza, łagodne fale obmywają biały piasek w oddali. Podnoszę rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem. Patrzą na rozgałęziające się linie wyryte na moich dłoniach i odciski palców, które moja skóra nosiła przez te wszystkie lata. Ona wie, kim jestem – moja skóra – nieważne, jak źle się w niej czułam.

Słyszając dzieci, siadam prosto, ich zaraźliwy śmiech tańczy mi w uszach, aż sama uśmiecham się szeroko. Nieważne, że to nie ja wydałam je na świat, teraz są moje, a ja wiem, że woda potrafi być gęstsza od krwi, jeśli jej na to pozwolić. Karcę się za to, że zasnąłam, kiedy powinnam ich pilnować, ale rozejrzawszy się po plaży, uspokajam się nieco. Jesteśmy tu tylko my i kilka palm. Nie ma się czego bać. Próbuję się rozluźnić. Odchylam się na krześle i splatam ręce, opierając je na brzuchu. Kiedy spuszczam na nie wzrok, widzę dłonie swojej matki. Znowu patrzę na siostrzenicę i siostrzeńca i podejmuję decyzję, że zawsze będę kochać te dzieci tak samo, niezależnie od tego, co zrobią, jak się zmienią, kim lub czym się staną, kiedy dorosną.

Gorące słońce rozgrzewa mi skórę i rozświetla nasze nowe życie. Na dwa tygodnie to miejsce staje się naszym prywatnym rajem – przystankiem w drodze, zanim Paul będzie musiał jechać do Ameryki. Odwracam się w stronę hotelu, zastanawiając się, gdzie on jest. Zarezerwowaliśmy pokój na parterze, tuż przy plaży, tak żebyśmy rano mogli wyjść prosto nad morze, a wieczorami siedzieć pod gwiazdami. Pokój jest ogromny, to właściwie apartament, i prawie nigdy nikogo nie widzimy. Trwa pora deszczowa, więc poza nami nie ma wielu gości, choć od naszego przyjazdu ani razu nie padało.

Wszystkie okiennice są otwarte i dostrzegam w środku zarys postaci Paula, który siedzi na łóżku. Rozmawia przez telefon. Znowu. Nie przyzwyczył się do naszego nowego życia tak szybko, jak na to liczyłam, ale uwielbia dzieci, kocha je jak własne. Wreszcie dałam mu rodzinę, której zawsze pragnął, i teraz już nikt nam tego nie odbierze. Jeszcze raz spoglądam na maluchy. Są całe i zdrowe. Podnoszę się z leżaka, żeby zajrzeć do Paula. Ciągle zapominam, że nad nim również trzeba czuwać.

Gdy tylko wchodzę do pokoju, Paul odkłada telefon na szafkę nocną. Nie podnosi głowy i czuję się, jakbym w czymś mu przeszkodziła.

– Kto to był? – pytam.

– Nikt – odpowiada, nadal na mnie nie patrząc.

Łóżko tonie w arkuszach białego papieru w formacie A4, pokrytego czarną czcionką

i czerwonymi notatkami. Kolejne niekończące się zmiany redakcyjne.

– Z kimś przecież rozmawiałeś. – Próbuję ukryć irytację w głosie, w końcu jesteśmy na wakacjach. To miała być okazja, żeby spędzić trochę czasu jak rodzina, a nie chować się tutaj i gapić na słowa albo rozmawiać z agentem.

Wyglądam na dzieci – nadal wszystko w porządku, więc odwracam się z powrotem do Paula. Teraz już na mnie patrzy, kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.

– To miała być niespodzianka – mówi. Wstaje i podchodzi, żeby mnie pocałować. – Spaliłaś sobie ramiona, posmarować cię kremem?

– Jaka niespodzianka?

– Zamówiłem coś do pokoju. – Nadal mu nie wierzę.

– Co? Ale czemu? Kolacja już za dwie godziny.

– Wiem, ale przecież w naszą rocznicę zawsze pijemy szampana.

– To nie jest nasza rocznica...

– Nie mówiłem o rocznicy ślubu – uśmiecha się Paul.

Wiem, jaką rocznicę ma na myśli, i kąciki moich ust też się unoszą.

– Myślałam, że znowu rozmawiałeś ze swoją agentką.

– Tym razem jestem niewinny – mówi, podnosząc ręce. – Ale właściwie to o czymś mi przypomniałaś. Zadzwoń do niej na Skypie, tylko na kilka minut, zanim przyniosą nasze drinki, a potem jestem twój. – Przewracam oczami. – Tylko pięć minut, tyle mi chyba wybaczysz?

– No dobrze, pięć minut – mówię i całuję go w policzek.

Idę, żeby się odświeżyć, ale najpierw znowu wyglądam na bliźniaki – to mój najnowszy rytuał, muszę to robić po trzy razy. Nic się nie zmieniło, nadal budują zamki z piasku, burzą je i zaczynają od nowa. Tak się cieszą swoim towarzystwem. Zastanawiam się, czy to nietypowe. I czy zawsze tak będzie.

– Popatrz na to – mówi Paul.

Przeszedł już do małego biurka w kącie, siedzi przed otwartym laptopem. Zauważam, że zza kołnierzyka koszulki wystaje mu metka. Podchodzę i wyciągam rękę, żeby ją schować, po czym zmieniam zdanie. Nie jestem pewna dlaczego. Spoglądam przez jego ramię na ekran.

– To od opiekunki psa, wygląda na to, że Digby też ma fajne wakacje.

Uśmiecham się do zdjęcia. Pies sapie zmęczony, ale sprawia wrażenie, jakby się uśmiechał do aparatu.

– Wiem, że za nim tęsknisz, niedługo go zobaczymy – mówię.

Paul uwielbia tego zwierzaka, bardzo nie chciał go zostawiać. Wszyscy musimy mieć coś lub kogoś do kochania, inaczej nasza miłość nie znajduje ujścia.

– Rzuć okiem na bliźniaki, a ja wezmę szybki prysznic, dobrze? – mówię, oglądając się na dzieci.

– Jasne.

W drodze do łazienki zauważam, że Paul znowu włączył telewizję. Dźwięk jest wyciszony, ale mój wzrok zatrzymuje się na znajomym obrazie i zastygam, nie mogę oderwać oczu. Widzę reporterkę, którą kiedyś znałam, na tle budynku sądu. Na chodniku dokoła tłoczą się ekipy telewizyjne i inni dziennikarze. Obraz zmienia się i widać policyjną furgonetkę wjeżdżającą przez bramę. Potem następują ujęcia domu

Claire, budynku, w którym dorastałyśmy. Teraz to już tylko czarne zgliszcza. Czytam słowa przewijające się na dole ekranu. Sznur wielkich liter krzyczy na mnie bezgłośnie.

ROZPOCZYNA SIĘ PROCES MADELINE FROST, OSKARŻONEJ O ZABÓJSTWO.

Nawet bez dźwięku telewizor chodzi za głośno. Nie wiem, czemu Paul upiera się, żeby ciągle był włączony w tle, to jakaś obsesja. Wyłączam go i odwracam się, żeby powiedzieć coś do męża, ale on rozmawia już przez Skype'a. Znajomy sygnał łączenia milknie i Paul zaczyna mówić, zanim mam szansę otworzyć usta. Zostawiam go i wchodzę do łazienki. Widzę swoje odbicie w lustrze. Wyglądam dobrze. Wyglądam jak ta ja, którą miałam być, żyjąca życiem, którym miałam żyć. Życiem, które mi skradziono.

Zamykam drzwi i odkręcam prysznic. To potrwa tylko chwilę. Chcę po prostu spłukać z siebie piasek i krem przeciwsłoneczny, umyć włosy i się przebrać. Zdejmuję bikini i wchodzę do kabiny, a strugi chłodnej wody uderzają mnie po twarzy. Słyszę pukanie do drzwi i klnę na obsługę hotelową, że wybrała akurat ten moment.

– Proszę – mówi Paul.

Słyszę, że nadal rozmawia z agentką w Londynie, ale cieszę się, że zajął się sprawą, pięć minut sam na sam ze sobą to teraz dla mnie rzadki luksus, który nauczyłam się cenić.

– Świetnie, dziękuję, proszę tam postawić – mówi dalej Paul.

Szum prysznica tłumi jego słowa, ale Paul wydaje się rozkojarzony, prawie niegrzeczny, i mam nadzieję, że pamiętał o napiwku dla obsługi.

Uwieram się szybko, przeciągam szczotką po splątanych włosach i wklepuję w twarz i ramiona trochę kremu po opalaniu. Paul siedzi już na tarasie, z którego rozciąga się widok na turkusowe morze. Przyproceedził dzieci nieco bliżej, siedzą teraz na kocu w cieniu. Kocham go za to, że kocha je tak, jak pragnęłam.

– Jesteś wreszcie, już myślałam, że się utopiłaś – mówi, kiedy dołączam do nich na zewnątrz. – Ma pani ochotę na drinka? – pyta, wyjmując butelkę szampana ze srebrnego wiaderka na tacy.

– Cudownie, poproszę. – Siadam przy nim, czując przez spódnicę ciepło nagrzanego drewnianego krzesła.

Na dźwięk mojego głosu Katie odwraca się i uśmiecha.

– Mama! – mówi i wraca do zabawy.

Nigdy jeszcze mnie tak nie nazwała i ogarnia mnie wielka radość. W końcu byłam ich matką chrzestną, czy to tak źle, że chcę być czymś więcej? Paul rozcina paznokciem kciuka pozłotkę na szyjce butelki. Rozdziera ją, a potem rozkręca drut przytrzymujący korek i sprawnie otwiera szampana. Zero huku, zero zamieszania, zero bałaganu. Napęlnia kieliszki i odkrywam, że jestem szczęśliwa. Sytuacja między nami bardzo się poprawiła. Jest tak jak dawniej. Niczego więcej nie pragnęłam. Jestem w rajku ze swoją rodziną, tak właśnie wygląda szczęście. Nie mam pewności, czy kiedykolwiek wcześniej tak naprawdę go doświadczyłam.

Paul odstawia butelkę na okrągłą tacę i zauważam przy niej coś, co lśni w słońcu.

– A to co? – pytam, patrząc na złoty drobiazg na srebrze.

– Co takiego? – odpowiada Paul, podążając za moim spojrzeniem.

Uśmiecham się, myśląc, że to kolejna niespodzianka, upominek, gra.

Ale tak nie jest.

Przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Widziałeś, kto to przyniósł?

– Rozmawiałem przez Skype'a, kelner po prostu wszedł i postawił wszystko na boku.

A co? Coś się stało?

Nie odpowiadam. Nie mogę oderwać wzroku od leżącej na tacy delikatnej bransoletki, małej, jakby zrobionej na rękę dziecka. Spina ją stara, rdzewiejąca agrałka, a na złocie wygrawerowana jest data moich urodzin.

Nazywam się Amber Taylor Reynolds. Są trzy rzeczy, które powinniście o mnie wiedzieć:

1. Byłam w śpiączce.
2. Moja siostra zginęła w tragicznym wypadku.
3. Czasami kłamię.

Od autorki

Pragnę podziękować wielu osobom, które doprowadziły do powstania tej książki.

Przede wszystkim dziękuję mojemu wspomniałemu agentowi, Johny'emu Gellerowi, za to, że zaryzykował i wziął mnie pod swoje skrzydła. Dziękuję także Catherine Cho, Kate Cooper i wszystkim przemiłym ludziom z agencji Curtis Brown. Kari Stuart z ICM to prawdziwa legenda i jej również jestem dozgonnie wdzięczna.

Miałam ogromne szczęście, że *Czasami kłamię* zostało przygarnięte przez wydawnictwo HQ/HarperCollins w Wielkiej Brytanii oraz Flatiron/Macmillan w Stanach Zjednoczonych. Miałam dwie wspaniałe redaktorki, którym nigdy nie zdołam się odwdziaczyć: w Wielkiej Brytanii była to Sally Williamson, która tak gorąco wierzyła w tę książkę i tak cudownie się śmieje, a w Ameryce Amy Einhorn, prawdziwy huragan energii i czarodziejka słów.

W drugiej kolejności chcę wspomnieć o najlepszym nauczycielu, jakiego kiedykolwiek miałam: Richardzie Skinnerze. Nauczył mnie tak dużo, że nie zdołałabym wszystkiego wymienić, ale przede wszystkim tego, jak uwierzyć w siebie na tyle, by się nie poddać. Zawsze będę miała u Ciebie dług.

Chciałabym też podziękować wszystkim absolwentom Akademii Faber z wiosennej klasy w roku 2016 – wszyscy stanowiliście część mojej literackiej podróży i znalazłam wśród Was kilkoro przyjaciół na całe życie. Szczególnie dziękuję Kelly Allen, Danowi Daltonowi, Gilesowi Fraserowi, Alison Marlow, Trishy Sakhlechy i Helen Trevorrow za pierwszą lekturę książki i wspaniałe uwagi.

Dziękuję pracownikom Szpitala Uniwersyteckiego w Milton Keynes – przede wszystkim Maureen Peskett, Josie Warner i Amandzie Wilson – za to, że przyjęli mnie do siebie i odpowiadali na moje liczne, bardzo liczne pytania. Dziękuję również Wayne'owi Mouldsowi za rady i pomoc w zbieraniu materiałów.

Dziękuję moim rodzicom, którzy od wczesnych lat zachęcali mnie do lektury – nie można być pisarzem, nie będąc czytelnikiem. Z całego serca dziękuję też reszcie rodziny i przyjaciołom za nieustającą miłość i wsparcie. Specjalne podziękowania należą się Charlotte Essex, mojej najstarszej literackiej przyjaciółce, za to, że wiele lat temu wepchnęła mnie na boliwijskie urwisko i od tamtej pory stale popycha mnie do robienia rzeczy, które mnie przerażają. Dziękuję Jasmine Williams za to, że we mnie wierzyła, a moim drogim przyjaciółkom Annie MacDonald i Alex Valotti za to, że mnie rozśmieszają, uspokajają i zawsze są przy mnie, kiedy ich potrzebuję.

Na końcu chciałabym podziękować mojemu mężowi, Danielowi, towarzyszowi po piórze, który wie, ile czasu trwała ta podróż. Nie ma nikogo, z kim wolałabym ją przeżyć. Mój pierwszy czytelnik, mój najlepszy przyjaciel, moje wszystko – bez Ciebie bym tu nie dotarła. Dziękuję, że mnie znosisz i kochasz.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agnieszka Walulik
Redakcja: Sylwia Bartkowska
Korekta: Małgorzata Domosławska, Agnieszka Gzylewska

Jacket Design by Steve Attardo
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Klaus Vedfelt/Stone/Getty Images

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4944-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo